20

WACŁAW ŚLEDZIŃSKI

SWASTYKA NAD WARSZAWA

Dwa i pół roku pod okupacją niemiecką w Polsce

SKŁADNICA KSIĘGARSKA

EDINBURGH

1944

Printed in Great Britain by The Riverside Press, Edinburgh

WSTĘP

Jest to książka o Kraju. O Kraju takim, jakim go widziałem i w jakim żyłem podczas okupacji niemieckiej. Jest to książka o okupacji, o okupantach, o tym, jak Polacy znoszą tyranię, jak walczą o wyzwolenie, jak giną i wreszcie — jak wierzą w przyjście nowego Zmartwychwstania.

Książka napisana jest w formie pamiętnika, ale nie jest pamiętnikiem. Jest rekonstrukcją wspomnień — przeważnie moich wspomnień osobistych. Składa się ona z szeregu listów do przyjaciela, które można nazwać *listami niewysłanymi*. Kiedyś, w Warszawie, marzyłem o znalezieniu drogi, jaką możnaby wysyłać w świat, właśnie do przyjaciół, uczciwe listy o sytuacji w Polsce i o naszym życiu. Niestety, te marzenia mogę zrealizować dopiero teraz, gdy już nie jestem niewolnikiem niemieckim. Są to zatem listy *pomyślane* w Kraju, a przelane na papier na obczyźnie.

Wszystko co jest w tych wspomnieniach, jest prawdą. Względy bezpieczeństwa nie pozwoliły tylko ujawniać autentycznych nazwisk ludzi, o których w tej książce mowa, ani pisać szczegółów o pracy podziemnej. Nie mniej, żadne fakty ani wydarzenia, przewijające się przez kartki tych listów, nie są imaginacją i nie są przesadzone.

Książka ta nie była pomyślana w tym sensie, aby przedstawiła całokształt naszego życia pod okupacją i naszej walki konspiracyjnej. Są to obserwacje, przeżycia i refleksje *jednego* człowieka. Szczególnie w dziedzinie ruchu podziemnego ograniczyłem się do pamiętnikarskiego mówienia o małej grupce przyjaciół, z którymi pracowałem i o tajnym piśmie, którego byłem redaktorem. (W tych wspomnieniach tytuł pisma został świadomie zmieniony.)

Mój wyjazd z Polski doszedł do skutku w warunkach dość oryginalnych. W tym samym czasie, gdy w Warszawie agenci Gestapo martwili się nad wykryciem miejsca mego pobytu, niemiecki samolot unosił mnie razem z żoną i dzieckiem z lotniska w Berlinie, w wolny świat. To też, nieco miejsca poświęciłem mojej ucieczce z rąk niemieckich. Uważałem za potrzebne wspomnieć o tym dla podkreślenia mało znanej prawdy, że, mianowicie, Gestapo jest organizacją nietylko potężną ale i głupią. Tej głupocie zbrodniarzy z pod znaku trupiej główki nieliczne jednostki — spośród tysięcy mordowanych Polaków — zawdzięczają ocalenie życia; do nich właśnie należę.

W chwili gdy ta książka ukazuje się, Polska przeżywa wielkie

zmiany w swej wielkiej tragedii. Niemcy, pędzeni przez inne wojska najeźdźcze, opuszczają nasz kraj, zostawiając za sobą pola grobów i lasy krzyżów. Dla Polaków oznacza to tylko zmianę munduru żołnierza okupacyjnego.

Wydarzenia w tej wojnie rozwijają się w niezwykle szybkim tempie. Krew wczoraj przelewana, dzisiaj jest zakrzepła i zapomniana. To co wczoraj było aktualne, o czym mówił i pisał cały świat, jest dzisiaj przebrzmiałe, nikogo już nie interesuje.

Więc i ta moja książka, także, jest już nieaktualna. Jest ona jak echo krzyku Polski okupowanej, ale nie jest samym krzykiem. Jednak warto, aby zostało przynajmniej to echo. Warto szczególnie teraz, gdy coraz częściej, coraz więcej i coraz głośniej mówi się w Świecie Wolności o dobrych, poczciwych Niemcach.

Niechże ta książka będzie jeszcze jednym dokumentem prawdy: że Niemcy są narodem morderców. I niechże ona stanie się przypomnieniem, że Polska wystąpiła 1 września 1939 w roli szaleńca, który samego siebie poświęcił w obronie wolności narodów pragnących być wolnymi.

Jakie są konsekwencje tego szaleństwa — na to pytanie próbowałem odpowiedzieć, przedstawiając w przekroju przeciętny szary dzień w naszym kraju.

WACŁAW ŚLEDZIŃSKI.

LONDYN, *w styczniu* 1944.

LIST PIERWSZY

Powrót do Warszawy

Warszawa, w listopadzie, 1939.

Mój drogi,

przez kilka ostatnich dni mego pobytu w Dubnie, ciągle miałem wrażenie, że zobaczę Cię wśród tysięcy uchodźców, którzy nie zdążyli przedostać się przez granicę rumuńską i których bolszewicy pędzili dniami i nocami, drogą powrotną, przez tę tak bardzo zaludnioną we wrześniu mieścinę wołyńską. Nie uwierzysz, jak okropnie wyglądali ci ludzie! Były to stada wynędzniałych, zmęczonych śmiertelnie, głodnych uchodźców, pędzonych w upalne dni wrześniowe przez żołnierzy bolszewickich.

Ta wielka, powrotna fala przewalała się przez Dubno, w którym okręgowy sowiecki komisariat polityczny rozpoczął urzędowanie niemal w tej samej chwili, gdy na ulicach miasta zadudniły pierwsze czołgi z czerwonymi gwiazdami. Ciągnęły w nieładzie rozbrojone pułki polskie; wśród morza mundurów żołnierskich, połyskiwały srebrne paski na czapkach oficerów; pasy i szable, razem z karabinami, jechały, jako łup wojenny, samochodami ciężarowymi. Ale oprócz wojska, pędzono również masy ludzi cywilnych. W niekończących się o żadnej porze dnia ani nocy smutnych pochodach pełno było kobiet i dzieci. Każdy rozumiał, że te tysiące ludzi tylko przechodzą przez Dubno — ale jaki był cel ich wędrówki — nikt nie wiedział.

Powątpiewałem, czy uda Ci się jeszcze przedrzeć przez granicę, gdyż przecież w kilka godzin po naszym rozstaniu się przy fabryce bekonów, czołgi sowieckie, ukwiecone i uzielenione, przejeżdzały przez Dubno. To też, gdy otrzymaliśmy w Warszawie wiadomość, że dotarłeś szczęśliwie do Bukaresztu, spadł mi kamień z serca.

Mój pobyt pod okupacją sowiecką trwał niespełna dwa tygodnie. Ty tego nie zaznałeś, więc opowiem Ci pokrótce o tym okresie.

W Dubnie pierwszy raz w życiu widziałem bolszewików i tam pierwszy raz w życiu słuchałem rozmów z autentycznym krasnoarmiejcem. Do jakiejś żydowskiej herbaciarni, w której siedziałem przy kubku herbaty, przyszedł na „czaj" żołnierz sowiecki. Nie grzeszył rozumną twarzą ani solidnym ubraniem, grzeszył natomiast niebywałą chęcią rozmowy. Otoczyła go gromada ludzi. Szczególnie Żydzi miejscowi patrzyli na niego z zachwytem i połykali z przyjemnością jego słowa, tłumacząc je zaraz

głośno na polski. Żołnierz przekonywał, oczywiście, że Czerwona Armia idzie „na Giermańca". Najciekawsze jednak były jego opowieści o ustroju sowieckim i życiu Rosji, co zresztą, jak się później okazało, było wyuczoną formułą, powtarzaną przez każdego przybysza z Rosji — i wojskowego i cywilnego. Rosja, według słów tego żołnierza, przedstawiała się jako prawdziwy raj na ziemi, w którym każdy człowiek opływa w wielkich dostatkach i żyje w wielkiej swobodzie.

— Towarzyszu, co ja teraz będę mógł robić? — zapytał go jeden ze słuchaczy.

— To zależy co umiecie, towarzyszu, i czy jesteście specjalistą.

— Ja jestem kupcem.

— O, to zostaniecie zaraz komisarzem wielkiej kooperatywy, towarzyszu! . . .

— A ja? Jestem robotnikiem w bekoniarni — chciał się dowiedzieć inny.

— Co to jest bekoniarnia?

— Fabryka konserw z mięsa . . .

— O, jak robotnikiem byliście, towarzyszu, to będziecie teraz komisarzem fabryki albo sekcyjnym . . .

Po każdej odpowiedzi krasnoarmiejca, pytający zacierali z radości ręce, jakby już zostali zaangażowani na nowe stanowiska. I, kto wie, czy dla wielu z nich słowa żołnierza Czerwonej Armii nie były prorocze. Bo, na przykład, po trzech dniach „władzy sowieckiej", w Dubnie, wśród ogromnej ilości nowych plakatów zaczynających się jednakowo: „Towarzysze i towarzyszki!", był jeden podpisany: „Komunistyczna Rada Robotnicza Szpitala Powiatowego — Komisarz — Stanisława Poźniak, dawniej posługaczka".

W dniu triumfalnego wjazdu do Dubna, mimo bram powitalnych wystawionych przez komunistów i mimo transparentów z napisami na cześć Związku Sowieckiego, Stalina i Czerwonej Armii, mimo kwiatów rzucanych na czołgi przez ludzi ustrojonych w czerwone opaski, czerwone kokardki, w twarzach bolszewickich można było wyczytać pewne przerażenie. A w każdym razie, słuchając okrzyków, rzucanych z czołgów można było się łudzić, że ze Wschodu idzie . . . pomoc dla Polski. Nikt nie orientował się jeszcze w istotnych zamiarach Moskwy, a prawie każdy Polak, z którym rozmawiało się w Dubnie, żył odrobiną nadziei i wiary w szczerość zamiarów Rosji. Nazajutrz, gdy pędzono przez miasto pierwsze fale uchodźców, cofniętych ze szlaku zaleszczyckiego, gdy zobaczyliśmy pierwsze grupy rozbrojonego wojska polskiego, złudzenia prysły.

W Dubnie, właśnie na drugi dzień okupacji widziałem na rynku bardzo smutną scenę. Dwaj młodzi Żydzi, milicjanci komunistyczni, wyprowadzili z jakiegoś domu dwu oficerów

polskich — pułkownika i porucznika. Na rynku, w otoczeniu całej grupy milicjantów (oczywiście oni wszyscy uzbrojeni byli w karabiny) stał jakiś starszy rangą komisarz, młody chłopak o twarzy wybitnie semickiej. Do niego właśnie poprowadzono oficerów. „Komisarz" powiedział do pułkownika kilka słów po rosyjsku — i uderzył go silnie w twarz. Pułkownik przyjął uderzenie w spokoju, opuścił głowę na dół, jakby chciał właśnie spojrzeć na wiszący na piersi „Virtuti Militari". Po chwili na wrzask „komisarza", obaj oficerowie podniesli do góry ręce, aby dać się zrewidować i odpiąć sobie pasy. . . .

W nocy z 18 na 19 września Dubno trzęsło się, co najmniej przez osiem godzin, od nieustannej strzelaniny. Mieszkałem wtedy na plebanii, gdzie przygarnął mnie staruszek, prałat. Tknięty jakimś przeczuciem, przeniosłem się z łóżka na podłogę. Nie wytrwało pięć minut od tej zmiany mego legowiska, jak posypały się szyby, a następnie kołdra i poduszka na łóżku posiatkowane zostały kilkunastoma kulami karabinu maszynowego. No, miałbym łaźnię! Do dziś nie wiem o co bolszewikom chodziło, dlaczego urządzili wtedy tę strzelaninę. Jedno jest tylko pewne, że strzelali na oślep, do poszczególnych domów, na ulice i że wybili wtedy dużo ludzi.

Nigdy nie zapomnę ranka, 19 września, gdy do drzwi plebanii zaczęli dobijać się różni ludzie, błagając księdza o udzielenie rannym Sakramentów św. Nie zapomnę też zbolałej twarzy i tragicznych oczu kilkunastoletniej dziewczyny, która wpadła na plebanię, aby zabrać księdza do zastrzelonych o świcie jej rodziców przez dwu bolszewików, którzy wdarli się do mieszkania.

Wtedy też, pierwszy raz w życiu, podniosłem ręce do góry i pierwszy raz w życiu poczułem na czole zimną stal pistoletu. Rankiem przyszła na plebanię cała banda żołnierzy, wrzeszcząc dziko, że to my właśnie strzelaliśmy nocą do czołgów, stojących przed kościołem. Przez cały czas ich wizyty wszyscy staliśmy pod ścianą, jak skazańcy, z rękami podniesionymi do góry i przed każdym z nas stał żołnierz z rewolwerem, gotowym do strzału. Młody żołnierz o dzikich oczach i mongolskiej twarzy, wciskał mi lufę pistoletu w czoło. W rezultacie zabrali z sobą trzech wojskowych, którzy nocowali wtedy na plebanii i księdza, wikariusza parafii.

W najtragiczniejszych nawet chwilach zdarzają się sytuacje, przypominające raczej farsę niż dramat. Otóż, wyobraź sobie, w tym momencie, gdy my oczekujemy smutnego końca, pewni, że żołnierze pociągną za cyngle, bo tak właśnie patrzało im z oczu, na progu pokoju pokazuje się dwoje młodych ludzi. Oficer bolszewicki pyta ich poco tu przyszli. Okazuje się, że szukają nagwałt księdza, gdyż chcą natychmiast wziąć ślub! I właśnie

w kwadrans po wyjściu żołnierzy, kładłem podpis na jakiejś kartce papieru w charakterze świadka ślubu . . .

Uciekając przed Niemcami na Wschód, nocowałem raz w jednej wsi polsko-ukraińskiej pod Łuckiem. Oprócz mnie było tam już wielu innych uchodźców. Ukraińcy nie wszędzie przyjmowali mile Polaków, ale w tej wsi byli bardzo gościnni. Szczególnie gościnni, nawet serdecznie gościnni byli właśnie ci ludzie, u których nocowałem. Rozmawiałem z nimi, wiele godzin, o wojnie, o Polsce i o Ukraińcach. Zapraszali mnie nawet, abym „przesiedział" tę wojnę u nich. Gdy na drugi dzień rano odchodziłem w dalszą drogę, pożegnali mnie dobrym śniadaniem i pełnymi kieszeniami owoców. I słowami, które nie dadzą się zapomnieć:

— Polska nie zginie — mówił gospodarz, stojąc na progu swej chałupy. — My nie chcemy tu Niemców. Wrócicie z powrotem . . .

Teraz, uciekając przed bolszewikami na Zachód, znów wstąpiłem do tej samej wsi i przenocowałem u tych samych gospodarzy. Byli już przygnębieni sytuacją, przestraszeni. Ale przyjęli mnie z jeszcze większą serdecznością niż poprzednio.

— Polska powróci tutaj — wierzył Ukrainiec. — Przyjdźcie jaknajprędzej! — mówił, ściskając mi rękę na pożegnanie . . .

Powrót do Warszawy był przedsięwzięciem daleko trudniejszym, niż ucieczka przed Niemcami. Łatwiej było uciekać niż wracać. Ale ludzie nie zrażali się trudnościami; chcieli za wszelką cenę wracać do swych domów w zachodniej połowie Polski, byle tylko nie pozostać u bolszewików. Drogi zapchane były uchodźcami, których bolszewicy nie byli nawet w stanie rozpędzić. Nie znając jeszcze Niemców, wszyscy wyobrażali sobie — tak samo jak ja — że każde zło, jakie może jeszcze istnieć na świecie, jest mniejsze od okupacji bolszewickiej. Ale tymczasem bolszewicy ciągle pocieszali tłumy zatrzymywane na drogach i cofane do „punktów zbornych":

— Nie śpieszcie się! Czerwona Armia przekroczyła już Wisłę. Za kilka dni cała Polska będzie pod rządami sowieckimi. . . .

W jakiejś wiosce, miejscowy „komisariat ludowy" wydawał nawet przepustki imienne, upoważniające do swobodnego przejścia do Warszawy, Krakowa, Poznania i . . . Berlina. Dostałem właśnie taką przepustkę, w której zaznaczono nawet, że „przepustkę tę należy przedłożyć odnośnym władzom sowieckim w Warszawie".

Pewnego dnia gdy byłem już blisko Chełma Lubelskiego, zostałem aresztowany. Razem ze mną zamknięty został Romek Radwański, z którym spotkałem się we Włodzimierzu Wołyńskim. Romek był w dobrej formie, kombinował nad powrotem do

Warszawy i miał w kieszeni co najmniej dziesięć wierszy miłosnych o swojej Marylce. Zresztą nie ukrywał tego, że chciał wracać tylko do niej. Niestety jednak, ja wydostałem się z więzienia, a on został. Bolszewicy przeprowadzili nas do Chełma i zapakowali do jakiegoś wielkiego budynku, przerobionego naprędce na więzienie, w którym było już pod kluczem około tysiąc osób.

Oczywiście, od pierwszej chwili zaczęliśmy myśleć o zmianie naszego niezbyt przyjemnego i bezpiecznego miejsca zamieszkania. Najpierw rozmawialiśmy o tym we dwójkę — z Romkiem. Później podzieliliśmy się naszymi zamiarami z resztą współwięźniów. Wreszcie po czterech dniach, zorganizowaliśmy zbiorową ucieczkę. O tak szybkim czasie zrealizowania tego planu zadecydował głód. Dostawaliśmy bowiem na cały dzień tylko małą porcję chleba. W celi było nas kilkunastu. Drapnęliśmy dosyć ryzykancko: ponieważ siedzieliśmy na trzecim piętrze, pod dachem, więc wykombinowaliśmy sposób wydostania się oknem, wcale niezabezpieczonym, na dach. Dalej wyrachowanie mieliśmy już zupełnie logiczne: że z dachu naszego domu przedostaniemy się na jakieś domy sąsiednie; a jeżeli ta możliwość zawiedzie — od naszego domu musi iść przecież na dół jakaś rynna. Noc była dość ponura, zatym — pogoda sprzyjała. Wkrótce wszyscy byliśmy na dachu. Naokoło panowała cisza. Na niektórych ulicach i w niektórych oknach paliły się światła. Dach był dość spadzisty i pokryty blachą. Trzeba było zdjąć buty; ja swoje przymocowałem sznurowadłami u szyi. Okazało się, że obok naszego jest tylko jeden dom, nieco niższy, ale między obu domami jest luka, szerokości ponad metr. Bez zastanowienia, jeden za drugim przeskakiwał tę dziurę. Znaleźliśmy się na dachu sąsiednim. Dalej wszystko było jakby dostosowane do naszej ucieczki. Z rogów dachu szły na dół rynny. Nie było wprawdzie widać, czy one dochodzą do ziemi, ale nad tym nikt się nie zastanawiał. Ruszyliśmy!

Mnie i wielu innym udało się. Romek, niestety, chociaż zjeżdżał z dachu przede mną, podzielił los pechowców. Gdy wyrywaliśmy żywo w ciemne pola, rozległy się za nami gwizdki, a po chwili strzały karabinowe. Nie wiele pomogło skakanie z sąsiedniego domu. Bolszewicy obudzili się. Nie wiem, czy Romka złapano czy też trafiła go kula. Dość, że na umówione miejsce nie przyszedł i od tamtej pory nie zobaczyliśmy się już nigdy.

Następnego dnia po południu pełzałem na brzuchu, wśród kartoflisk, przez linię demarkacyjną, biegnącą wówczas w okolicy Lublina. Potem, droga do Warszawy poszła już łatwo. Zaledwie kilka razy zatrzymywały mnie posterunki niemieckie.

Gdy wychodziliśmy z Warszawy, pamiętasz, błękitniało cudow-

nie niebo, prażyło cudownie słońce. I była wielka wojna. I była tak samo wielka Polska. I była tak samo wielka nadzieja.

Gdy w dwadzieścia kilka dni później wracałem do domu, przemierzając, przeważnie na własnych nogach, kilkaset kilometrów, niebo było tak samo cudowne jak 7 września. I słońce było tak samo cudowne. I tylko nie było już wojny. I tylko nie było już wolnej Polski I tylko nie było już nadziei. Na drogach, których brzegi ubrane były masami świeżych grobów, przewalały się wojska — najpierw sowieckie, dalej niemieckie; na maskach samochodów niemieckich i sowieckich połyskiwały trofea: hełmy polowe z orłami polskimi. Na miejscu jeszcze wczorajszych wsi, miasteczek, miast, sterczały lasy kominów i dogorywały konającymi płomieniami zgliszcza. Wszędzie wyły bezpańskie, głodne psy, wszędzie biegały dzikie, bezpańskie, głodne konie, wszędzie skowyczały gromady dzikich, bezpańskich, głodnych, bezdomnych ludzi i płakały zagubione, niczyje dzieci. Na polach i wśród zgliszcz leżały jeszcze trupy ludzi i koni, którym pogrzeb wyprawiały psy i chmary czarnego, kraczącego ptactwa.

Wierz mi, miałem takie wrażenie, że idę do domu przez wielki, nie kończący się cmentarz polski. Szedłem do Warszawy, a ludzie ciągle powtarzali:

— Tam nie ma poco iść. Nie ma już Warszawy. Tam są tylko gruzy i tylko Niemcy . . .

To wszystko było tak niedawno, a zdaje się, że o wieki całe chodzi.

Ale oto Warszawa. Warszawa, której nie poznałem. Już na Grochowie zapomniałem o domu, o rodzinie, o najbliższych. Łzy cisnęły się do oczu. Warszawa, biedna Warszawa!

Ulice Grochowa zabarykadowane były gruzami zburzonych domów, poprzewracanymi żelaznymi słupami sieci tramwajowej, latarniami. Nogi wplątywały mi się ciągle w druty telefonów, telegrafu, tramwajów, w kable elektryczne. Saska Kępa — jedno wielkie pobojowisko. Między trupami domów i koni, między kupami gruzów, leżały rozbite i poprzewracane działa, czołgi, samochody. Most Poniatowskiego miał podziurawioną bombami jezdnię, porozbijane bariery, na całej jego długości leżały bezładnie, wśród kłębowiska drutów, latarnie, samochody, wozy; sterczały powyginane kikuty szyn tramwajowych i porozrzucane były bryły gruzów z rozbitych budynków wiaduktu. W pobliżu lewego brzegu Wisły wystawały z wody maszty zatopionych statków.

Centrum miasta. Gruzy, gruzy, same gruzy. Na Nowym Świecie i na Krakowskim Przedmieściu tylko wąskie ścieżki między i ponad kupami gruzów. W różnych stronach waliły się z hukiem resztki ścian i stropów zburzonych kamienic. Naokoło

— armaty, wozy ciężarowe wywrócone do góry kołami, zgruchotane czołgi. W poprzek ulic leżały na bokach wagony tramwajowe, przeważnie rozbite pociskami lub bombami i podziurawione kulami karabinowymi, odłamkami. Wszędzie pełno było jeszcze gryzącego dymu, kurzu, tliły się ostatnimi płomieniami spalone domy, ulice, dzielnice. Na wszystkich placach, trawnikach, na chodnikach, z których usunięto kamienne, kwadratowe płyty, były małe, większe i bardzo duże cmentarze. Wszędzie czuć było słodki, mdły zapach rozkładających się trupów.

Z głębi niektórych zburzonych domów dobywały się jak zpod ziemi, jęki ludzkie. Robotnicy polscy pracowali pospiesznie przy odgrzebywaniu żywych, słuchając rozkazów saperów niemieckich, oddalonych w bezpiecznej odległości od ruin. Trupy końskie zmieszane były z gruzami i resztkami barykad. Głodne psy szarpały ścierwo za przykładem ludzi, którzy wycinali dla siebie szynki zabitych koni.

Warszawa—wielkie pobojowisko. Warszawa—wielki cmentarz.

Nie przesadzę, mówiąc Ci, że obrazy Warszawy z pierwszych dni października, stwarzały jakąś niesamowitą, koszmarną panoramę. Ludzie byli inni niż nawet ci, z którymi byliśmy podczas ewakuacji wrześniowej. Na tle tego strasznego zniszczenia, tych cmentarzy ulicznych, tego zapachu trupów, czynili wrażenie upiorów. Wrażenie to potęgowały ich oczy obłędne, pełne łez, rozpaczy, krzyki kobiet szalejących nad mogiłami, potworne sceny urządzane przez wariatów, rozpuszczonych z zakładów dla obłąkanych i Niemcy, Niemcy, wszędzie Niemcy, którzy włóczyli się stadami, mieli zadowolone mordy, byli pijani zwycięstwem i fotografowali się na tle „malowniczych" ruin. Nad gmachem Komendy Miasta na Placu Piłsudskiego trzepotała się zwycięska płachta ze swastyką.

Pędziłem na przełaj do swego domu i do swojej rodziny.

Na miejscu domu było rumowisko, nad którym stała tylko jedna ściana, dziurawa od pocisków i okopcona od pożaru. Byłem przekonany, że rumowisko to stało się grobem moich najbliższych. Biegałem po mieście jak oszalały. Gdzie zajrzałem: do rodziny czy do znajomych, zastawałem zburzone domy albo puste mieszkania. Dopiero po jakichś dwu godzinach poszukiwań, odnalazłem żonę i dziecko w zupełnie obcym domu, u zupełnie obcych ludzi, na Żoliborzu. Muszę Cię też odrazu pocieszyć: byłem u Twojej rodziny; Twój dom ocalał, z małymi wyjątkami wszyscy żyją.

Nasze życie w Warszawie jest beznadziejnie smutne. Nawet nie kuszę się aby przedstawić Ci je w jakimś plastycznym opisie. Wiem, że nie jestem w stanie nakreślić piórem tego bezmiaru nieszczęścia, cierpienia. Warszawa, bohaterska Warszawa leży

dziś jak raniony śmiertelnie lew, pławiąc się we własnej krwi, dysząc ze zmęczenia i wycieńczenia.

Z zakończeniem wojny skończyła się wolność, zatrzasnęły się drzwi za wspaniałym życiem wczorajszym. Rozpoczęło się nowe życie. Życie głodu, cierpienia, niewoli. Zresztą, i tego życia, mówiąc ściśle, też jeszcze nie ma. Zaczyna się ono dopiero organizować. Zaczynamy się dopiero urządzać—jako niewolnicy.

Pomyśl tylko, że w Warszawie jeszcze w końcu października nie mieliśmy wcale tramwajów, elektryczności, wody. Dopiero w końcu października i na początku listopada ruszyły pierwsze tramwaje — i to na bardzo małych odcinkach, zapaliły się gdzieniegdzie pierwsze światła elektryczne i uruchomiono wodociągi. Ceny żywności podskoczyły ogromnie. Najgorsze jednak są szalejące epidemie, co idzie w parze z brakiem lekarstw w aptekach. Teraz otwarte są przynajmniej niektóre lokale, gdzie można dostać jakąś zupę z kawałkiem chleba, a nawet w droższych lokalach pojawia się już mięso. Ale w październiku i tego nie było. Przy okazji muszę Ci tu wspomnieć, że pierwszym lokalem warszawskim, otwartym w czasie okupacji, była cukiernia Lourse'a na Krakowskim Przedmieściu. Można w niej było dostać, oczywiście wyczekawszy się uprzednio w długim ogonku, szklankę herbaty bez cukru i dwa cieniutkie kawałeczki chleba, posmarowane marmeladą, za złotówkę. Zaraz po niej otworzył swoją cukiernię na Nowym Świecie Blickle, umieszczając, pierwszy w Warszawie, napis: „Żydom wstęp wzbroniony".

Przeprowadzaliśmy jeszcze niedawno kampanię za zlikwidowaniem dorożek konnych w centrum miasta. Całe szczęście, że w Polsce nawet w takich sprawach nikt nie liczył się z opinią dziennikarzy! Otóż dorożki przeżywają obecnie swój wspaniały renesans. Dorożka stała się bezkonkurencyjnym środkiem lokomocji stołecznej. Wiech, który najlepiej rozumiał powołanie dorożkarskie i który dorożkarzom poświęcił najwięcej swoich utworów, nie napróżno wierzył w przyszłość dorożki konnej.

Zaciekawi Cię oczywiście, co robią nasi przyjaciele i koledzy. Z nielicznymi wyjątkami — wszyscy jesteśmy bezrobotni. Z naszej budy trzy osoby dostały posady w magistracie, w brygadach roboczych przeznaczonych do odgrzebywania ruin i ekshumacji zwłok. Są to: Antoś Tatarkiewicz, Jurek Buzek i staruszek Kłobudzki. Reszta żyje nadzieją, że lada dzień zmieni się sytuacja i znów rozpoczniemy robotę w redakcji. Z tej „reszty" wielu kształci się nagwałt w zawodzie szklarskim. Domyślasz się, że w Warszawie nie ma chyba ani jednego domu, w którym ocalały szyby. Cała Warszawa jest bez okien. Tysiące ludzi rzuciły się na handel szkłem i szklenie; wśród nich nie zabrakło poetów, malarzy i dziennikarzy. Oczywiście, szklarstwo rozumie się u nas jako zabijanie dziur w oknach — wszystko jedno czym,

przeważnie jednak, z braku autentycznego szkła, dyktą, choć w ostatnich dniach pojawia się już więcej szkła. Leszek Majewski i Tadzio Piotrowicz wyszkolili się już na fachowców, mają nawet własne diamenty do krajania szkła i zapowiadają się na wielkich przedsiębiorców. Leszek jest najbardziej w swoim zawodzie: przed wojną ciął nożyczkami artykuły, teraz diamentem tnie szkło. . . . Narazie świetną karierę zrobił ten grafoman Czarecki, który drukował u nas swoje skandaliczne powieści kryminalne; ten otworzył sobie małą fabryczkę kitu, w której zatrudnia kilkunastu ludzi, a wśród nich jednego z redaktorów dawnego „Kuriera Warszawskiego". Najgorszy los spotkał tylko najlepszych spośród nas: tych kolegów, którzy trwali na posterunkach prasowych przez całą wojnę, całe oblężenie Warszawy i nawet w pierwszych dniach okupacji. Wszyscy siedzą dzisiaj na Pawiaku.

Użyłem określenia „dawnego" w odniesieniu do „Kuriera Warszawskiego", gdyż w Warszawie buszuje obecnie jedno jedyne pismo, sprowadzone z Łodzi, które nazywa się „Nowy Kurier Warszawski". Nie wiem kto to robi, ale faktem jest, że jest to podła gadzinówka, obrażająca nie tylko naród polski, ale i język polski. Właściciele i redaktorzy autentycznego „Kuriera Warszawskiego" są wściekli. Moim zdaniem niesłusznie, gdyż ta nazwa nie kompromituje przecież „Kuriera Warszawskiego" — pisma o przeszło stuletniej tradycji.

I właściciele i redaktorzy tego pisma powinni być zresztą raczej zadowoleni niż źli. Sądzę, że nie popełnię pomyłki, jeśli stwierdzę, że „Kurier Warszawski" należał do trzech zakładów wydawniczych w Warszawie, których domy nie zostały zburzone. Bo w Warszawie, niestety, prasa nie miała szczęścia. Na miejscu „Kuriera Porannego", „Robotnika", „Gazety Polskiej" i drukarń, w których tak wiele pism drukowano: „Artystycznej", „Literackiej" i szeregu innych, pozostały tylko gruzy. Koledzy z „Poranniaka" i „Robotnika" zawiązali „komitet", który miał na celu wygrzebać zpod gruzów maszyny rotacyjne i sprzedać na szmelc; ale w całej Warszawie nie można było znaleźć ani jednego kupca szmelcu.

Mówię, że prasa nie miała szczęścia. Ale czy tylko prasa? Zamek Królewski trzeba będzie zaliczyć do tej samej klasy zabytków, co ruiny zamków w Czersku czy Chęcinach. Po wspaniałym gmachu Generalnego Inspektoratu Sił Zbrojnych pozostały tylko ściany szczytowe z napisem na frontowej: „Honor i Ojczyzna". Gmach Ministerstwa Rolnictwa reprezentują jeszcze tylko filary, podobnie jak gmachy Opery i Ministerstwa Skarbu. Pałac Staszica jest jak dom w którym straszy: odrapany, bez okien, kompletnie zniszczony w środku. Liczne fragmenty Nowego Świata, szczególnie plac po stronie Ministerstwa Spraw Wewnętrznych z resztkami murów, stojących

w różnych kształtach na ziemi, cała Świętokrzyska, znaczna przestrzeń Krakowskiego Przedmieścia, Miodowa — przypominają znane obrazki z wykopalisk rzymskich, greckich. Czy nie uważasz, że jest pewien symbol tragedii Polski w tych trzech ruinach: Zamek Królewski, GISZ i gmach na rogu Szpitalnej i Zgoda, w którym była rządowa „Gazeta Polska"?

Przez kilka ostatnich dni włóczyłem się po Warszawie. Tak, niepotrzebnie, bez celu.

Właściwie, gdybym nie wiedział co tutaj działo się ostatnio, i gdybym oglądał Warszawę jako turysta, musiałbym tylko jedno stwierdzić: że Warszawa jest miastem na cmentarzu. Na jednym wielkim cmentarzu. Cmentarzu, ciągnącym się nieprzerwanie wszystkimi ulicami, rozpościerającym się na wszystkich placach, skwerach, ogrodach i parkach. Oglądałem właśnie te cmentarze w poszukiwaniu znajomych. I iluż ich naliczyłem! Na Marszałkowskiej, niemal nawprost naszej budy, leży Urszulka Grabowiczówna, bez której, jakoś dziwnie, nie wyobrażałem sobie nigdy naszej redakcji. Na skwerku Hoovera leżą, obok siebie, czterej aktorzy teatrów: Letniego i Polskiego. Ale zresztą, poco wyliczać właśnie *moich* czy *naszych* znajomych? Przecież oni wszyscy, beż żadnych wyjątków, są nam bardzo bliscy i bardzo drodzy. Grobów wojskowych jest mniej niż cywilnych, ale, oczywiście, tak samo bardzo dużo. Oznaczone są przeważnie hełmami wojskowymi. Szczególną opieką otoczony jest grób bezimienny nieznanego żołnierza Obrony Warszawy, na rogu Alei Jerozolimskich i Marszałkowskiej, na chodniku. Obok chełmu, na jednym ramiączku prymitywnego krzyża, skleconego z dwu patyków, wisi Virtuti Militari. Mogiłka obsypana jest mnóstwem kwiatów, naokoło palą się nieustannie świece. Na Woli, Mokotowie, Grochowie i Saskiej Kępie, hełmy na grobach są przeplatane: wśród wielu polskich — kilka niemieckich, to znów, wśród wielu niemieckich — kilka polskich.

Przed kilku dniami były Zaduszki. Dla Warszawy były to pierwsze od dawna, bardzo dawna Zaduszki, w których do zmarłych nie trzeba było wybierać się na dalekie cmentarze. Było to bardzo smutne święto. Gdyby Niemcy nie przeszkodzili, jestem pewien, że wieczorem, 2 listopada, łuna świec, zapalona na wszystkich grobach warszawskich, rozjaśniłaby niebo co najmniej tak, jak w dniach oblężenia, gdy Warszawa paliła się. Ale, oczywiście, Niemcy nie pozwolili na taką demonstrację.

Z dotychczasowych zarządzeń niemieckich można wnioskować, że okupanci nie mają zamiaru być zbyt łagodni i tolerancyjni. Tego samego zdania jest Starzyński, który prawie codziennie przychodzi do naszego „stolika dziennikarskiego" u Blicklego. Starzyński spodziewa się dużych zmian na gorsze, w miarę

obejmowania administracji przez cywilne władze niemieckie. Wspominając Ci o nim, muszę powiedzieć, że postawa tego człowieka jest na prawdę imponująca. Imponuje przede wszystkim jego spokój (może pozorny?) i pogoda ducha. Natomiast zupełnie inne wrażenie czyni Niedziałkowski, który również stale przychodzi do kawiarni. Znać wyraźnie, że jest złamany obrotem wojny, że nie może się opanować. Nie ma jednak w Warszawie człowieka, który by tych dwu ludzi nie cenił, nie otaczał jakąś szczególną czcią. W uszach ciągle jeszcze wibruje głos Starzyńskiego, przemawiającego wspaniale, jak tylko on potrafił, przez radio, w pamięć wryły sie nazawsze — i chyba wszystkim pokoleniom polskim — proste słowa Niedziałkowskiego: „Klasa robotnicza nie poddaje się; klasa robotnicza walczy dalej“. . . .

Szeptem mówi się coraz częściej o zamierzonym wyjeździe Niedziałkowskiego do Paryża. Jeden z kolegów z „Robotnika“ mówił, że Niedziałkowski jest zdecydowany na ucieczkę z Polski, zresztą namawiają go do tego serdecznie wszyscy jego przyjaciele. To byłoby wspaniałe. Ten człowiek rzeczywiście powołany jest najbardziej do bezpośredniego uczestniczenia w pracach rządu. Pozatem, jego dłuższy pobyt w Polsce może się skończyć tragicznie. Podobno Niedziałkowski jest całkowicie zdecydowany na wyjazd, oczekuje tylko jakiegoś formalnego powołania go, co ma rzekomo nastąpić w najbliższym czasie.

Natomiast Starzyński absolutnie nie zamierza opuszczać Warszawy. W odpowiedzi na namowy jednego z jego przyjaciół, prezydent miał odpowiedzieć:

— Owszem, po wojnie pojadę do Paryża na odpoczynek. Narazie, dopóki pozwolą mi pracować, będę bronił interesów Warszawy i ludności warszawskiej. Moja ucieczka byłaby dezercją. Najłatwiej jest podejmować łatwe decyzje. Niech pan pamięta, że gdy w Warszawie zabraknie polskiego prezydenta, odczuje to na swej skórze cała ludność. Nie, ja ustąpię dopiero pod naporem siły. . . .

Jesteśmy wszyscy oszołomieni. Nie oprzytomnieliśmy jeszcze po przeżyciach, wrażeniach i potwornych skutkach tej tak krótkiej wojny. Ale okupację zaczynamy odczuwać, z dnia na dzień, coraz wyraźniej.

Zachęcałeś mnie kiedyś do wydania w książce moich reportaży z Niemiec, Słowacji i Protektoratu. Książka, jak wiesz, została wydrukowana na samym początku wojny; teraz chcę Ci właśnie napisać, że jednym z takich drobnych, nieznacznych odczuć okupacji — w odniesieniu do mnie — jest smutny koniec tego całego wysiłku książkowego. Któregoś dnia zgłosiłem się do dyrektora wydawnictwa z myślą o otrzymaniu jakiegoś małego wyrównania. . . . Owszem, ucieszył się, gdy mnie zobaczył i

wystąpił z propozycją: czy nie mógłbym, przypadkiem, pomóc w paleniu mojej książki, której cały nakład jest właśnie w lokalu firmy! Czułem, że zgodzenie się na taką propozycję to poniekąd obowiązek autora — i tego samego wieczora rozpocząłem intensywną pracę nad istotnym wykończeniem mojego dzieła. W trzy osoby pchaliśmy świeżutkie egzemplarze do trzech pieców. Co za straszna praca, co za niebywały wysiłek! Jeżeli kiedyś w przyszłości będziesz pisał jakąś książkę, to pamiętaj, że daleko łatwiej jest napisać nawet bardzo dobrą książkę, niż spalić cały nakład nawet bardzo podłej książki.

Dyrektor wydawnictwa postąpił jednak więcej niż elegancko. Rozstając się ze mną dał mi sto złotych — ale, broń Boże, nie tytułem honorarium za książkę spaloną, lecz tytułem zaliczki na nową.

— Niech pan zbiera materiały do większej pracy o okupacji Warszawy — powiedział mi. — Na wiosnę, najpóźniej w maju, wydamy najpierwsi w Polsce tę rewelacyjną książkę. Ja postaram się o odpowiednie ilustracje i, jeśli pan tylko to dobrze ujmie, książka będzie miała niebywałe powodzenie. . . .

Nie wątpię, że taka książka rozejdzie się w dużym nakładzie, że może nawet mieć kilka tłumaczeń. Tylko mam trochę obawy, czy dam radę napisać to dobrze. I czasu jest, właściwie, na taką rzecz, też nie wiele.

Wiosna. . . .

Podobnie jak dyrektor wydawnictwa i ja nie wątpię ani na chwilę, że ta potworna, czarna noc polska skończy się na wiosnę. Zresztą, dlaczego mam Ci mówić: ja? My wszyscy wierzymy w to święcie, że tragedia nasza potrwa tylko do wiosny. Jesteśmy oszołomieni, przerażeni, ale nie straciliśmy przecież poczucia rzeczywistości. Napewno wczesną wiosną ruszy potężna armia francuska, wspaniale przygotowana, wyposażona, kierowana przez znakomitych generałów. Niemcy pokonali nas dosyć łatwo, bo byliśmy słabi, ale z jeszcze większą łatwością Francuzi pokonają Niemców. Pozatem, z armiami francuskimi pójdą przecież armie brytyjskie i amerykańskie. Nie jest też wykluczone, że istnieje już jakieś porozumienie między mocarstwami zachodnimi a Rosją i że Rosja również ruszy całą swoją potęgą od Wschodu. Warszawa jest w gruzach, ale — wierzymy w to wszyscy — na wiosnę Berlin zamieniony zostanie w kupę gruzów. Bo jak mogłoby być inaczej, jeśli stolica Niemiec będzie bombardowana przez tysiące samolotów francuskich, angielskich, amerykańskich, a może i sowieckich?

Sytuację naszą w Warszawie można określić słowami: głód i wielki znak zapytania — co nas teraz, w najbliższej przyszłości, czeka? Na temat tej przyszłości kursują fantastyczne pogłoski, których kuźnią jest, oczywiście, kawiarnia Blicklego. Nie wiemy

co zamierzają Niemcy zrobić z nami — i to niesłychanie niepokoi. Narazie jest pobojowisko. Co na nim powstanie — nikt nie wie, oprócz, naturalnie, samych Niemców, którzy dotychczas żadnych planów nie ujawniają.

Zaledwie skończył się pierwszy miesiąc okupacji, a niektórzy ludzie już zaczynają — użyję tu przenośni — dostosowywać sie do sytuacji. Myślę o wizycie, jaką złożyłem niedawno naszemu linotypiście Piotrusiowi Palusowi. Pamiętasz dobrze tego chłopca, który czasami był aż nieznośny, operując nieustannie słowami: braterstwo ludów, rewolucja światowa, wyzwolenie proletariatu, ostateczne zwycięstwo socjalizmu — itd. Odszukał mnie i zaciągnął do swego domu.

W Piotrusiu zawsze ceniłem twardy charakter, upór w słusznych sprawach i ideowość. Chociaż nie miał prawie żadnego wykształcenia, ale swoją wrodzoną inteligencją i cechami jakie podkreślam, przerastał niejednego z naszych kretynków dziennikarskich, gogusiów i imponisiów, nie mówiąc już o zecerach.

Weszliśmy do mieszkania Piotrusia, na poddaszu, w małym domu na Pradze. Pokój był zaśmiecony papierami, brudny i jedynym właściwie, oprócz stołu, meblem, była okrutnie sfatygowana, archaiczna kanapa, zponad której, z małych ramek za szkłem spoglądała miła, uśmiechnięta buzia młodziutkiej blondynki.

— Posłuchamy najpierw radia, zobaczymy co mówi Francja....

Powiedział to półglosem, przymrużył szelmowsko oko i po chwili wyciągnął spod kanapy okazałą superheterodynę. Tym radiem, Piotruś, jeżeli tak można powiedzieć, postawił się w moich oczach. Termin oddawania odbiorników dawno upłynął, wszyscy wiedzą o aresztowaniach ludzi, którym, w myśl obwieszczenia, grozi „za sabotowanie zarządzeń" kara śmierci, a ten częstuje radiem, spokojnie, jak papierosem, albo herbatą!

— Pokażę panu jedną ciekawą rzecz — mówi po kilkunastu minutach słuchania Francji. — Ciekawy jestem, co pan o tem powie. . . .

Wręczył mi kartkę zadrukowaną dwustronnie na powielaczu. Jakiś anonim, podpisany imieniem „Wojtek z nad Wisły", apelował do wszystkich Polaków o zachowanie godności narodowej, o pogardzanie towarzystwem Niemców, o zakładanie organizacji tajnych trzy- i pięcio-osobowych, wreszcie o przechowywanie broni i amunicji.

— Co myślę? Myślę — odpowiedziałem — że to jest bardzo mądre i potrzebne.

Piotruś wstał z kanapy, włożył ręce do kieszeni spodni i pochyliwszy się do mnie, utopionego w tej kanapie, zaczął mi wykładać:

— Myśl tego jest bardzo dobra, ale wykonanie fatalne. Ile tego mogli wydrukować i do ilu osób mogło to dojść? Zresztą

takie pisanie jest psu na budę. Każdy wie mniej więcej, jak się ma zachowywać i co powinien teraz robić. Mnie się zdaje, że obecnie co innego jest potrzebne. Odebrali odbiorniki radiowe, zamknęli wszystkie gazety i ludzie odcięci są od tego, co się dzieje na świecie. Dlatego też, widzi pan — mówi mi dalej Piotruś — należy tę myśl rozszerzyć i lepiej wykonać, niż jest wykonany taki świstek. Na frazesy i patos już od dawna chce się rzygać. Teraz jest konkretna potrzeba: wiadomości, wiadomości ze świata — i w tym widzę dopiero sens.

Słuchałem słów Piotrusia i porównywałem je w tej chwili z dyskusjami hyperinteligentów od Blicklego. Jakże bardzo odbija ta konstruktywna myśl młodego, zapalonego chłopca, byłego linotypisty, na tle jałowych pogwarek kawiarnianych — kawiarnianych polityków i kawiarnianych rewolucjonistów.

— Zdradzę panu moją wielką tajemnicę — mówi mi dalej, siadając obok. — Noszę się myślą wydawania tajnej gazetki. Ta myśl nie daje mi od kilku dni spokoju. I dlatego właśnie odnalazłem pana i przyprowadziłem do siebie, żeby usłyszeć od pana: co pan na to powie?

Domyślasz się, co odpowiedziałem Piotrusiowi. Od tego spotkania jesteśmy serdecznymi przyjaciółmi i widujemy się kilka razy dziennie. To jest, naprawdę, niebywale dzielny chłopak. Gdy wrócisz na wiosnę do Warszawy, napewno tak samo zaprzyjaźnisz się z nim.

LIST DRUGI

Życie „podziemne“ i życie „naziemne“

Warszawa, w lutym, 1940.

Mój drogi,

prawie wszyscy ludzie, którzy przeżywali oblężenie Warszawy, opowiadali mi, że dla Warszawy z września zeszłego roku groźniejsza była cisza przedkapitulacyjna, niż piekielny ogień armat i nieustanny grad bomb lotniczych.

— Woleliśmy — mówiła mi moja żona — niebo zasłane chmurami samolotów nieprzyjacielskich, pomnażających z każdą godziną straszliwe zniszczenie, pożary, śmierć, niż spokój i potworną wiadomość o zawieszeniu broni.

Ten zdecydowany wybór między zwycięstwem albo śmiercią był niewątpliwie instynktownym wyczuciem tego, co z przegraną naszą i niewolą wniosą nam okupanci. To wyczucie obrońców Warszawy — obrońców: rozumie się całego ludu warszawskiego —

nie myliło. Jesteśmy w niewoli, w okrutnej, jakże niezmiernie okrutnej niewoli.

Dziś, jak jakieś wielkie, minione bardzo dawno dni beztroskie, wspominam czasy przedwojenne i pierwsze dni września. Szczególnie pierwsze dni września!

Czy pamiętasz?

Czasem nocą, słuchając wpadającego przez okno odgłosu żelaznych, powolnych kroków żandarmów niemieckich, przymrużam oczy i błądzę we wspomnieniach dni, które należą już do odległej przeszłości.

. . . Syrena alarmowa. Wychodzimy z naszych szklanych pokojów do schronu. Siadamy na nagromadzonych tam olbrzymich belach papieru, palimy papierosy nie zważając na tabliczki: „Palenie wzbronione“ (wtedy już wszystko było wolno . . .) i tak, na cierpliwym oczekiwaniu końca nalotu, upływają nam długie kwadranse, często godziny. Po kilku dniach przyzwyczailiśmy się już do tego, kończyliśmy w schronie pisanie artykułów. Przypominam sobie na tle tego schronu niektórych kolegów, przeważnie starszych wiekiem i stanowiskiem; przypominam sobie ich naiwne sentencje o wojnie nowoczesnej; i przypominam sobie ich niespokojne kręcenie się między belami papieru przy silniejszych wstrząsach, gdy drżała betonowa podłoga, kołysały się lampy, ze stropu sypał się tynk. Pracowaliśmy wtedy bez przerwy. Redakcję opuszczało się na godzinę, najwyżej dwie godziny obiadu. Sypialiśmy na legowiskach z gazet.

Czasem rozpływam się we wspominaniu dokładnych szczegółów. Zapominam o wszystkim późniejszym. Wydaje mi się, że to właśnie *wtedy* i że właśnie *tam* jestem.

. . . Naczelni redaktorzy mówią, że teraz przechodzimy próbę ogniową charakterów i przypominają, że służymy nie wydawnictwu, ale Sprawie.

— Chyba tylko wtedy przestaniemy wydawać gazetę — mówi jeden z nich — gdy tuż ostatni z nas padnie na posterunku. . . .

Nazajutrz — w trzecim dniu wojny — zbieramy się podczas nalotu w schronie. Jesteśmy niemal wszyscy z wyjątkiem . . . naczelnych.

— Pojechali gdzieś samochodami. . . .

— Może zmobilizowani?

— Nie wykluczone. Ale jeden z nich wyjechał z rodziną. . . .

— Wczoraj były telefony do ambasady rumuńskiej w sprawie wiz. . . .

— To ciekawe. Tylko przecież wczoraj mówili o tej służbie Sprawie i o tym posterunku. . . .

Długie, często nudne siedzenie w schronie uprzyjemnialiśmy sobie rozmowami, których tematy nie zawsze jednak należały do przyjemnych. Tajemniczy wyjazd naczelnych redaktorów,

którzy pisali płomienne artykuły, manifesty o poświęceniu do ostatniego tchu, o ostatniej kropli krwi, zaskoczył nas i przygnębił.

Taka nocna nić wspomnień przerywa się jednak często. To jakiś rozdzierający okrzyk na ulicy, to znów jakaś gonitwa, to znów jakieś strzały.

Ale skoro już snuję te wspomnienia, nie sposób pominąć w nich i tego jednego:

7 września pracowaliśmy po raz ostatni. Znaczna część pracowników redakcyjnych i technicznych dała się unieść fali, pędzącej setki tysięcy ludzi na Wschód. Zresztą było to podporządkowaniem się rozkazowi władz rządowych, których przedstawiciel mówił przez radio poprzedniej nocy: wszyscy zdolni do walki z wrogiem mają natychmiast opuścić Warszawę. Nasz dyrektor żegnał nas w hallu na parterze. Był zmartwiony. Uważał, że nasz wyjazd jest zupełnie niepotrzebny.

— Dam wam tylko po parę złotych zaliczki, — powiedział — żeby wam wystarczyło na kilka dni. Zbierajcie informacje, notujcie wrażenia — doradzał — bo za dwa, trzy dni to wszystko przewali się i wydamy w najbliższą, sobotę szesnastkę, wydamy nasz tryumfalny numer, więc żeby materiału nie zabrakło, a przede wszystkim ciekawych reportaży. . . . Taki numer wydamy! — i zagiął prawą rękę ze ściśniętą pięścią, co, jak wiadomo, jest przyjętym w Warszawie znakiem siły, szczególności, specjalności.

— Dyrektor ma zawsze dobrą intuicję — mówił Romek Radwański, gdy już szliśmy w grupie kilkunastu osób, obok budowanych barykad, świeżo zburzonych domów, wśród mrowia ludzkiego, posuwającego się na Most Poniatowskiego i Grochów.

— Chyba rzeczywiście wrócimy za kilka dni — dodał ktoś inny.

Na zatłoczonych, smutnych, innych niż zawsze ulicach, gazeciarze wykrzykiwali tytuły komunikatów wojennych i aktualnych informacyj — wymyślane przez nas jeszcze tego rana. Jękliwe, zawodzące trwożnie i tragicznie syreny zwiastowały nowy nalot. Wśród piekielnego huku lecących na Warszawę bomb i ognia obrony przeciwlotniczej, oddalaliśmy się od naszych biurek redakcyjnych.

Dyrektor tym razem jednak „nie miał nosa“. Nie wróciliśmy po kilku dniach, nie pisaliśmy reportaży, nie wydaliśmy w najbliższą sobotę tryumfalnej „szesnastki“. Ani w żadną następną sobotę.

Piszę Ci, choć sam znasz to wszystko tak samo jak ja. Ale dziś takie rozpamiętywanie przeszłości, ucieczka od chwili obecnej, daje mi ukojenie. Wspomnienie takie jest wyrazem tęsknoty za tym co było, a im bardziej odległa jest ta przeszłość, tym większa jest tęsknota. Jakież to jednak dziwne dla młodego człowieka: tęsknota za przeszłością!

Ale jakże tu nie tęsknić — przynajmniej nie tęsknić — skoro nasza rzeczywistość dzisiejsza jest tak straszna.

Niedawno minęło Święto Niepodległości. Pierwsze Święto Niepodległości Polski w niewoli. Niemcy już na kilka dni przed 11-tym listopada zabrali się do przygotowań „uroczystościowych“. Zrobili wszystko co mogli, o niczym nie zapomnieli, żeby nam wszyskim przypomnieć i żeby nas wszystkich zapewnić, że skończyła się niepodległość, że jesteśmy tylko niewolnikami. Już 10 listopada można było wyczuć wyraźnie, że przygotowują się do „uczczenia“ naszego święta narodowego. Wydany zakaz wywieszania chorągwi narodowych lub jakiegokolwiek manifestowania uczuć patriotycznych, poparty został zarządzeniem ostrego pogotowia. W dniu święta już od rana defilowały po ulicach czołgi i samochody pełne wojska. Wszędzie krążyły patrole z krótkimi ręcznymi karabinami maszynowymi. Poza tym, w Warszawie była idealna cisza. Ten dzień świąteczny był taki sam jak każdy inny. Może tylko ulice były bardziej puste niż normalnie. Prawie nikt z przechodniów nie zwracał uwagi na oddziały sunące paradnym marszem z pieśnią i chorągwiami, ani na hałaśliwe kolumny czołgów. Nikt nie patrzył na te bezczelne mordy, z których każda zdawała się mówić: oto my, zwycięzcy, robimy wam defiladę, żebyście zobaczyli, że każdą waszą próbę rzucenia się na nas, zmiażdżymy bezlitośnie. . . .

Tego właśnie dnia widziałem sceny, jakże boleśnie godzące w naszą dumę. W Alejach Jerozolimskich, przy Brackiej, stanęła trójka elegancko ubranych oficerów z orderami na piersiach. Wszyscy mieli twarze rasowych Europejczyków dwudziestego wieku. Stanęli, rozejrzeli się, zamienili między sobą kilka słów. I rozpoczęli „działalność“. Przepuszczali swobodnie mężczyzn — zatrzymywali wszystkie bez wyjątku kobiety, okładając je pięściami, szpicrutami i kopiąc powalone na ziemię, ociekające krwią. Dlaczego ofiarami ich były właśnie kobiety? Oni wiedzieli dlaczego. Wiedzieli, że to więcej bolało mężczyzn, niż gdyby oni sami, meżczyźni, byli bici. U nas, Polaków, można kwestionować wiele naszych zalet: nie można jednak kwestionować naszej rycerskości. A Niemcy wiedzą o tym.

W nocy z 11 na 12 listopada, po mieście włóczyły się liczniejsze niż normalnie patrole żandarmerii. Z obawy, żeby Polacy nie zdobyli się na jakieś czyny . . . nierozważne. Ale, czy niewolnicy polscy zawsze kierują się rozwagą?

Ta noc utkwiła mi szczególnie w pamięci. Tak się bowiem złożyło, że po kilkunastu dniach różnych starań, zabiegów i przygotowań, zebraliśmy się owej nocy listopadowej małą grupką w mieszkaniu Antka Tatarkiewicza, by „puścić“ pierwszy numer tajnej gazety, która dziś stała się już całkiem

poważnym — a w każdym razie regularnie wydawanym — pismem.

Obrzęd rozpoczął się od szczelnego zasłonięcia okna w pokoju, w którym, oprócz Antka i mnie, „urzędowali": Stefek Kucharski, Piotruś Palus i Lolek Górecki. Zabieraliśmy się do roboty z bijącymi sercami, powiedziałbym, nawet, w głupim trochę nastroju. Byliśmy jeszcze dziećmi w tej robocie; drażnił nas każdy, najmniejszy szmer na schodach, każdy odgłos kroków — nawet z daleka — z ulicy. Maszynę do pisania ulokowaliśmy na łóżku, żeby przytłumić jej klekot, natomiast na stole Piotruś rozłożył nasz skarb ówczesny: nowiutki powielacz, o którego użyciu wszyscy mieliśmy słabsze pojęcie, niż o astronomii. Ale Piotruś, po zepsuciu pierwszej matrycy, kilkudziesięciu arkuszy papieru i po nieludzkim wysmarowaniu się farbą, odkrył wszystkie sekrety tego wcale nieskomplikowanego instrumentu. Przepisaliśmy na woskówkach artykuły, informacje radiowe z Francji, posprzeczaliśmy się trochę o tytuł pisma, które ostatecznie otrzymało nazwę „Warszawianka" i — zaczęło się „drukowanie". Nie uwierzysz, ile satysfakcji sprawiały nam świeżutkie kartki „nowego pisma", wychododzące spod siatki powielacza!

Z wspomnieniem tego pierwszego numeru łączy się wspomnienie śmiesznej przygody. Pracowaliśmy do godziny drugiej. Nagle w przedpokoju rozległ się głos dzwonka. Rany Boskie! Ktoś dzwoni do nas! W jednej chwili porozrzucaliśmy wszystko po różnych kątach, zgasiliśmy światło i, gdzie kto trafił, ułożył się do . . . twardego snu. Stefek, żeby go było trudniej znaleźć, zapakował się pod łóżko. Cisza trwała krótko, dzwonek znów się odezwał.

— Co robić? — szepnął Antoś.

Ale któż wiedział wtedy co robić? Antoś nie czekał już na trzeci dzwonek. Poszedł do drzwi. Zadźwięczał łańcuch, zgrzytnął klucz. Oczekiwaliśmy czegoś bardzo niedobrego. Ale z przedpokoju doszedł nas głos:

— Bardzo pana proszę, niech pan nie robi takiego hałasu nocą. Chodzi pan po pokoju, przesuwa pan meble, a u mnie jest dziecko chore, z wysoką gorączką. . . . Niech mi pan wybaczy, proszę o nierobienie takiego hałasu. . . .

Oczywiście był to sąsiad z mieszkania o piętro niżej. Zapaliliśmy światło, uśmieliśmy się serdecznie, choć, właściwie, należało się smucić ze wstydu za strach. I — o Boże, o Boże, co za wspaniała konspiracja: wybuchnęliśmy naprawdę wielkim śmiechem, stwierdziwszy, że ukryliśmy „w obliczu grożącego niebezpieczeństwa", wszystko prócz powielacza. . . .

Pozdejmowaliśmy buty i pracowaliśmy dalej. Koło piątej rano wszystko było gotowe. Już nikt nam nie przeszkadzał. Tylko automatycznie przerywaliśmy robotę, gdy za oknami, mniej

więcej w odstępach co pół godziny, stukały o chodnik buty żandarmskie.

Ale od 11 listopada do dziś — to kawał czasu. Wiele zmieniło się w naszej „Warszawiance", wiele zmieniło się w naszej sytuacji w Warszawie i w ogóle bardzo wiele zmieniło się w Polsce.

Zdaje się, że już wszystkie siły złe sprzysięgły się przeciw nam. Bo, naprzykład, na domiar całego nieszczęścia, mamy w tym roku wyjątkową zimę. Mrozy są naprawdę syberyjskie, a tu nie ma ani co jeść, ani czym palić, ani też — dla tysięcy ludzi — nie ma się w co ubrać. Na tle ruin miasta, które jako-tako zostały uprzątnięte tylko w centrum, płynie nasze życie niewolnicze. Warszawa zamieniła się w ciągu tych kilku miesięcy okupacji w jeden wielki stragan handlu starzyzną. Wszyscy wyprzedają się z wszystkiego. Na każdej niemal ulicy stoją ludzie — dziesiątkami i setkami — oferując przechodniowi (który najczęściej też marzy o sprzedaniu czegoś) ubranie, suknie, bieliznę, futra, nakrycia stołowe, poduszki, buty, biżuterię, książki, żywność — co tylko kto chce. Wszystko można kupić za grosze, bo konkurencja wśród sprzedających szalona, a amatorów kupna mało.

Handel stał się poza tym głównym zajęciem i źródłem utrzymania znacznej części ludności warszawskiej. Wojna wypędziła na bruk ogromne zastępy urzędników, nauczycieli, młodzieży szkolnej, robotników. A na bruku są tylko trzy możliwości: wegetacja z zapasów przedwojennych, żebranina i handel. Jeżeli chodzi o mnie — wybrałem tę trzecią możliwość: handluję. Zresztą nie sam. Do spółki z Piotrusiem Palusem i Romkiem Radwańskim, który niedawno zjawił się w Warszawie po wydostaniu się z więzienia bolszewickiego. Założyliśmy przedsiębiorstwo „kultury i oświaty" na dwóch kołach: uliczny handel książkami na wózku. Bardzo przyjemne zajęcie, nie mniej ciekawe niż dziennikarstwo, i dające nam wcale niezłe utrzymanie. Popyt na książki jest szalony. Doprawdy, nigdy chyba nie odkryję tej tajemnicy, skąd ludzie mają pieniądze na książki i dlaczego kupują właśnie książki! Ciekawe też, że największym powodzeniem cieszy się literatura poważna. Książki historyczne idą jak chleb z masłem, a niektóre są na wagę złota; z tego działu najwyższą cenę (do 80 zł.) osiągnęły trzy tomiki „Dziejów Polski" Bobrzyńskiego. Tak samo świetnie idą pamiętniki, a może jeszcze lepiej literatura rewolucyjna. Ludzie, szczególnie młodzież, rzucają się jak głodny na chleb, na wszelkie wspomnienia i opisy z roku 1905, z dziejów P.P.S., z dziejów powstań narodowych. Nadzwyczajne powodzenie mają też samouczki języka francuskiego — daleko większe niż niemieckiego. W specjalnej cenie są książki, które od razu w pierwszych tygodniach okupacji znalazły się na extra-indeksie: Kisielewskiego „Ziemia gromadzi

prochy“ i Wańkowicza „Na tropach Smętka“; każda z nich jest w cenie około 50 złotych.

Gdyby nie piekielny mróz, który dla nas, stojących znaczną część dnia na ulicy, jest nieprawdopodobnie dokuczliwy, zajęcie to mogłoby być wcale miłe. Cały dzień ludzie przesuwają się przed oczami jak w kalejdoskopie, opowiadają o różnych sprawach i sprawkach, dzielą się z nami, handlarzami ulicznymi, wiadomościami smutnymi i wesołymi, są czasem natrętni i nieznośni, czasem poprostu śmieszni.

Oto naprzykład podchodzi jakaś młoda dama, kupuje pierwsząlepszą książkę, niby odchodzi, ale wraca jeszcze i pyta:

— Czy pan nie ma przypadkiem jakiegoś podręcznika . . . wie pan . . . jedna znajoma mnie prosiła . . . coś o tem, jak uchronić się przed ciążą? . . .

Młoda dama nie patrzy wtedy w oczy, rumieńce występują jej na policzki, książkę dla znajomej chowa do torebki i odchodzi przyśpieszonym krokiem.

Albo inna dama. Wprawdzie ma ordynarną twarz, ale za to bardzo subtelne futro. Conajmniej pół godziny ogląda powieść pod tytułem „Nie przyjdę na kolację“. Wreszcie mówi:

— Kupiłabym tę książkę, ale ja bym chciała taką jakąś lepszą trylogię z przepisami na obiady i desery. . . .

— Niestety — odpowiedziałem — mogę pani narazie służyć tylko tym podręcznikiem, dotyczącym kolacji. . . .

Albo inny klient. Elegancki pan, w eleganckim futrze, z monoklem w oku. (Ah, à propos monokla: Wiech nie nosi już monokla; chodzi w zwykłych okularach i jest subiektem w małym sklepiku na Pradze.) Elegancki pan chwilę tylko rozgląda się po książkach i mowi:

— Szukam jakiejś porządnej książki kryminalnej. Nie chodzi o autora, ale żeby była taka naprawdę porządna książka, w której na każdej stronie jest przynajmniej jedno morderstwo i jeden trup. . . .

Mamy też dość śmiesznego przyjaciela naszego handelku, który przychodzi często, żeby zobaczyć co mamy nowego i żeby wypowiedzieć swoje zdanie o aktualnych sprawach politycznych. Ale szelma nie kupił do tej pory nawet najtańszej książki. . . . Jest to typowy emerytowany urzędnik, łysy jak kolano, w czystym, wysokim kołnierzyku zadużym o kilka numerów i ze staroświecką muszką. Zawsze jest ogolony, ma zaczerwienione oczy, fałdy na twarzy, wytarty letni płaszcz i nazywa się pan Dolski. Podczas rozmowy zamaszyście gestykuluje, a gdy trafiają mu do przekonania wypowiedzi jego słuchacza, czemprędzej przypisuje sobie autorstwo myśli czy słów, mówiąc:

— Otóż to, otóż to! Ja to mówiłem od czterdziestu lat, tylko nie słuchano mnie. To jest właśnie to, co ja zawsze mówiłem. . . .

Otóż pan Dolski nie zapatruje się wcale optymistycznie na naszą najbliższą przyszłość.

— Ta wojna — mówił któregoś dnia, opierając nogę o szprychę w kole wózka — będzie trwała w pierwszej fazie siedem lat, a w następnej fazie będzie to wojna czterdziestoletnia. Widzi pan — Francja będzie zmieciona tak, jak Polska. Ja nie byłem nigdy we Francji i cieszę się, że nigdy nie przyszło mi do głowy tam pojechać. Trzy rzeczy zgubiły Francję: wino, magazyny jubilerskie i Blum. Tam bogaci ludzie myślą o przepychu, a biedni zaś o komuniźmie. Taki kraj nie może wygrać wojny. Zobaczy pan, po dwóch tygodniach od rozpoczęcia ofenzywy, Hitler będzie przyjmował defiladę w Paryżu i będzie spał w tych Tuilleriach, czy jak tam to świństwo się nazywa. Wojnę w Europie wygra Rosja i na to nie ma rady. Dopiero za czterdzieści lat Rosja się rozpadnie i wtedy będzie spokój na dwadzieścia pięć lat. To mówi panu Dolski i tak będzie, na to nie ma rady....

Jak widzisz, mamy różnych klientów.

Wybór książek jest bardzo duży i, muszę powiedzieć — na ulicę wyszła książka dobra. Stało się to z tej prostej przyczyny, że książek swoich, często za grosze, wyzbywają się właściciele pięknych księgozbiorów. W moich zbiorach mam już exlibrisy z nazwiskami najwybitniejszych polityków, uczonych, pisarzy. Wszyscy sprzedają swoje książki, a przecież odbiorcami hurtowymi są tacy ludzie jak my, którzy handlujemy.

Wspomniałem Ci o Romku Radwańskim. Wyobraź sobie, w wigilię Nowego Roku, późnym wieczorem, zjawia się u mnie w domu dziwny człowiek: nieprawdopodobnie wynędzniały, zarośnięty, o oczach zapadniętych i podkrążonych czarnymi podkówkami, w strzępach letniego płaszcza. Poznałem go dopiero gdy odezwał się. Ze starego, przedwojennego Romka, naprawdę pozostał chyba tylko jego głos i jego wzrost. Odezwał sie, ale jak!

— Przyszedłem pożegnać się z tobą — mówi mi pierwsze słowa, na powitanie! — Jestem już nikomu nie potrzebny. . . .

Romka spotkał los wielu ludzi w Polsce; wielu naszych przyjaciół. Króciutka historia tych kilku miesięcy — od września do grudnia — jest równie banalna jak tragiczna. Ewakuował się razem z nami, na rozkaz. Dostał się do więzienia bolszewickiego. Próbował ucieczki; nie udało się. Przewieźli go do Kijowa. Siedział w więzieniu. Podczas jakiejś pracy katorżnej znów popróbował ucieczki: tym razem udało się. Szedł tylko nocami i tylko do jednego celu: Warszawa i Marylka. Jasną nocą, wśród wichury śnieżnej przechodził przez zamarznięty Bug. Ktoś go gonił, ktoś strzelał za nim. Ale wszystko skończyło się szczęśliwie: dotarł do Warszawy. Rozpoczął poszukiwania

Marylki. Odnalazł ją po dwu dniach — w parku łazienkowskim. Wśród setek świeżych, nie zlikwidowanych jeszcze mogił, na jednej była tabliczka: Maria Darowska, lat 20, siostra P.C.K. Tego samego dnia przed północą przyszedł do mnie. Tej samej nocy, zamiast spać w wygodnym łóżku, które mu przygotowałem, napisał cudowny wiersz, krótki ale naprawdę piękny: wiersz do Boga, którym, gdyby Bóg był nawet najbardziej łagodny i wyrozumiały, musiałby się poczuć głęboko urażony.

Ale właściwie jego załamanie, zupełne załamanie, trwało tylko kilka dni. Wciągnął się do naszej roboty i robi takie wrażenie, jakby cały świat i całe życie koncentrowały się w naszych nocnych spotkaniach, w naszej pracy. Muszę przyznać, że dopiero z przyjściem Romka nasza „Warszawianka" nabrała właściwych rumieńców. Nie jesteśmy już dzisiaj bowiem tylko tajnym pismem, ale i grupą polityczną, zaczynającą odgrywać pewną rolę w ogólnym, rozwijającym się coraz bardziej ruchu podziemnym. Poza tym, pismo dawno już wzięło rozbrat z powielaczem i drukowane jest normalną techniką drukarską. Nawet — pomyśl jaki szalony postęp! — w powiększonym numerze na rocznicę powstania styczniowego, daliśmy fotografię Sikorskiego.

Dla Ciebie, odbitego od Kraju, żyjącego w świecie wolnym, mającego możność dalszej *jawnej* walki o wolność Polski, te rzeczy są zupełnie obce, zupełnie nieznane, ten świat w którym my żyjemy nie jest bowiem podobny do świata normalnego, w którym są normalne dni, normalne noce, w którym są normalni ludzie i w którym jest normalne życie.

Kiedyś, po wojnie (obliczamy na maj, czerwiec bieżącego roku) na przykład taka rzecz jak tajna prasa będzie pasjonującym tematem różnych wspomnień i opowiadań. Ale i dziś dla ludzi, którzy robią tę prasę pasjonująca jest sama praca. Jakże oryginalne i jakże niepodobne do normalnego, przedwojennego, jest dzisiaj wydawanie polskiej gazety!

„Warszawianka" jest jednym z licznych już pism w Warszawie. Powstała — jak wszystkie inne — z instynktownego wyczucia konieczności dania społeczeństwu słowa polskiego. (Daruj mi to górnolotne określenie; ale czasem jestem w podniosłym nastroju. . . .) I, jak dotąd, ukazuje się regularnie co tydzień. Na przestrzeni tego czasu niespełna czterech miesięcy, przechodziliśmy trzy fazy „udoskonaleń". Najpierw mieliśmy ręczny powielacz, który nazywaliśmy „płaską maszyną"; później Gestetnera — „maszynę rotacyjną"; i wreszcie obecnie dorobiliśmy się zwykłej pedałówki, na której przed wojną, w jakiejś maleńkiej drukarni robiło się pewnie bilety wizytowe, blankiety firmowe i — conajwyżej — drobne ulotki reklamowe. Muszę powiedzieć, że Piotruś jest w tej robocie genialny Od początku

pracował bardzo dobrze, ale dziś, gdy wykombinował ten pedał — nie zdradzając zresztą nikomu tajemnicy skąd — pracuje wspaniale. Piotruś jest wspólnikiem naszego handelku, ale w tej dziedzinie nie ma z niego prawie żadnej pociechy. Rzadko rozstaje się ze swoim pedałem. Ciągle ulepsza go, poprawia, a poza tym, sam składa prawie całe pismo.

Technika drukowania naszej ,,Warszawianki“ niczym chyba nie różni się od techniki, stosowanej już przez Piłsudskiego w „Robotniku“ — w Łodzi czy w Lipniszkach wileńskich. Jego socjalistyczna ,,bostonka“ była prawzorem, a może nawet bratnim egzemplarzem naszego pedału. Piłsudski składał pismo ręcznie, ze zwykłych kaszt, drobniutkimi jak mak, pojedynczymi czcionkami — my też mamy takie same kaszty. Czasem, pomagając Piotrusiowi w drukarni, gdy biorę do ręki zardzewiały, zużyty winkielak, zastanawiam się: kto wie, czy to samo narzędzie zecerskie nie służyło kiedyś, przed tamtą wojną, do składania tajnych pism polskich? . . .

Drukarnia jest oczywiście tak ulokowana, że nie wyobrażam sobie, aby kiedykolwiek można było wykryć ją. Nie mamy w niej wprawdzie ani światła dziennego, ani elektrycznego, ani wody, ale za to mamy stuprocentowe bezpieczeństwo: nikt nie może usłyszeć ani naszych rozmów, ani stuku maszyny, ani też nikt nie jest w stanie domyśleć się dokąd my wchodzimy, ani skąd wychodzimy. Gdy koło czerwca, po wojnie, wrócisz do Warszawy i będę Ci pokazywał nasze ,,zakłady drukarskie“, zobaczysz jak można urządzić teraz w Warszawie taką zakonspirowaną drukarnię. A więc wejdziesz. . . . Ale mniejsza z tym jak i gdzie wejdziesz.

Zapalimy lampę naftową, wiszącą na ścianie i — zobaczymy drukarnię ,,Warszawianki“. Kaszty z czcionkami, pedał i piecyk naftowy — to całe umeblowanie. Poza tym zobaczysz jeszcze dwa granaty i dwa duże pistolety — pierwsze dla tych, którzy próbowaliby tutaj wedrzeć się siłą, drugie dla siebie, żeby nie pozwolić się wziąć żywcem. Gdybyś wszedł tutaj dzisiaj, zobaczyłbyś jeszcze dużo papieru, na którym drukujemy pismo. Romek, chudy jak szczapa, wymizerowany, przycina nożem introligatorskim papier. Piotruś, w cyklistówce głęboko naciśniętej na czoło, klęczy na szmatach przed kasztą i ciągle złości się, że ktoś źle rozebrał ostatni skład, przez co teraz będzie duża korekta. Zobaczyłbyś także mnie, wcale nieźle pracującego już na pedale. . . .

W naszej pracy drukarnia jest niewątpliwie rzeczą najważniejszą, ale nie jest wszystkim. Piszę o tym, abyś wiedział, że wydawanie tajnego pisma jest sprawą dość skomplikowaną. Najmniej kłopotu jest z redakcją, która mieści się przeważnie w naszych kieszeniach. Ale przecież podstawą wszystkiego jest informacja,

a ta pochodzi z radia. Tu oddaje nieocenione usługi superheterodyna Piotrusia, dla której musiała powstać cała komórka organizacyjna, kierowana znakomicie przez Antka Tatarkiewicza, który poświęca robocie cały swój czas, wolny od „zajęcia służbowego", to znaczy: odgrzebywania trupów.

Dziwisz się zapewne, dlaczego ta obsługa radia wymaga tyle zachodu? Oto cały sekret: odbiornik radiowy musi być zakonspirowany, gdyż w wypadku nakrycia go, Niemcy stosują tylko jedną karę: śmierć. Audycje Tuluzy trzeba odbierać regularnie, gdyż inaczej nie możnaby trzymać ręki na pulsie wydarzeń; muszą być stenografowane, przepisywane itd. Wreszcie są i takie kłopoty, napozór nieważne, jak lampy radiowe, których w Warszawie nie sposób kupić. Do tego wszystkiego potrzeba wielu ludzi. Nasze radio jest tak samo dobrze zakonspirowane jak drukarnia. I tak samo jak w drukarni, znalazłbyś w lokalu „radiowym" granaty, rewolwery. Inaczej być nie może. Chcę Ci tu odrazu powiedzieć, że znakomitą stenografką jest u nas Basia Jarnecka — pamiętasz ją chyba? Napewno ją pamiętasz; szczupła, bardzo zgrabna i ładna blondyneczka z lekko zadartym noskiem. Ona jedna z całego naszego, już dzisiaj dość licznego zespołu, nosi z sobą zawsze truciznę. Wyjaśniła mi kiedyś, że nie ma zaufania do rewolweru, że kula mogłaby ją tylko zranić, zamiast zabić. Z trucizną jest pewniejsza i spokojniejsza.

Drukarnia, redakcja i radio — to też jeszcze nie wszystko. Ostatnim elementem tajnej gazety, podobnie jak przed wojną było z gazetą normalną, jest kolportaż. Romek Radwański, kierujący tym „resortem" dokazuje niebywałych cudów. Pierwszy numer, kiedy Romek siedział jeszcze w najlepsze w więzieniu u bolszewików, wydaliśmy w nakładzie pięćdziesięciu egzemplarzy. Obecnie drukujemy dwa tysiące (choć zapotrzebowań jest na cztery tysiące), pismo dociera na prowincję, i dzięki dobrej organizacji, z dużym naddatkiem zwracają nam się koszty własne. Rosną więc „kapitały rezerwowe".

Nie sądź jednak, że kolportaż jest już tylko fraszką wobec innych trudów. W warunkach, gdy Niemcy ciągle wydają i wykonują wyroki śmierci za znalezienie u kogoś w kieszeni *jednego* egzemplarza tajnego pisma, gdy ciągle — dniami i nocami — robią niespodziewane rewizje w domach, na ulicach, w kawiarniach, gdy po mieście włóczy się wielka ilość szpiclów, kolportaż wymaga niebywałego sprytu; nawet — powiedziałbym — talentu. Widzisz, kolportaż polega na wręczeniu egzemplarza pisma człowiekowi znajomemu i pewnemu. Oczywiście do tego, aby rozprowadzić dwa tysiące egzemplarzy, trzeba zorganizować odpowiedni system łańcuchowy. Romek stworzył całą sieć kolportażu, z placówkami okręgowymi, oddziałowymi, blokowymi, i w ten sposób pismo trafia do poszczególnego czytelnika. System

ten ma jeszcze i tę dodatnią stronę, że gazeta wydrukowana — załóżmy — ostatniej nocy, z ostatnimi komunikatami, trafia do czytelników w ciągu dzisiejszego dnia.

No, ale dosyć na dziś o ,,Warszawiance“. Nie zamyka się na niej cała robota podziemna w Polsce. Pismo nasze stanowi zaledwie ułamek tego wspaniałego już dziś ruchu konspiracyjnego, który wyciska coraz mocniejsze piętno na naszym życiu niewolniczym. Wierzymy wszyscy, że z tego ruchu — naprawdę bezinteresownego, naprawdę patriotycznego — powstanie, po wypędzeniu Niemców, przyszła Polska, lepsza i zdrowsza niż kiedykolwiek. Musisz bowiem wiedzieć, że dziś, więcej niż kiedykolwiek ludzie w kraju myślą i że z tych myśli rodzą się w norach i mieszkaniach kónspiracyjnych, zdrowe, rzetelnie przemyślane programy społeczne, gospodarcze i polityczne.

Ale przecież oprócz tego, co nazywamy ,,życiem podziemnym“, płynie w Polsce normalne — a właściwie bardzo anormalne — życie — ,,naziemne“. Gdyby nie głęboka wiara wszystkich, pokładana w wiośnie, gdyby nie wielka nadzieja, pokładana we Francji, wegetacja nasza musiałaby się przerodzić w niesamowitą rozpacz. Ale mało kto rozpacza. Im jest nam gorzej, tym mocniej zaciskamy zęby i pięści i tym ufniej patrzymy w przyszłość, tym pewniejsi jesteśmy siebie. Nie pytaj dlaczego tak jest — bo właściwie nie wiem.

Narazie każdy dzień jest bardzo ponury i bardzo tragiczny. Chociaż muszę powiedzieć, że w tej całej naszej tragedii niektórzy ludzie traktują wszystko całkiem poprostu: na wesoło.

Kilka dni temu byłem z wizytą u doktora Maczka. Napewno pamiętasz go: mały człowieczek z czarną wielką czupryną, u którego bywaliśmy kiedyś obaj. Otóż stwierdziłem, że doktor Maczek jest człowiekiem, którego nigdy nie opuszcza dobry humor. Nawet wtedy gdy jest głodny, nawet wtedy gdy chodzi po mieszkaniu w futrze z postawionym kołnierzem i z rękami schowanymi po dorożkarsku w rękawy. Przeciwnie, w takich wypadkach dowcip trzyma się go więcej niż kiedykolwiek. Gdy zjawiłem się u niego, doktor chodził właśnie po pokoju, w którym na dykcie, zastępującej szyby porobiły się grube warstwy lodu i tłumaczył swojej żonie, ślicznej kobiecie, królującej jeszcze niedawno w najlepszych towarzystwach, skulonej teraz na kanapie, że nie potrzebnie się martwi. Ale jak tłumaczył!

— Mogłoby być jeszcze gorzej — mówił. — Nie będzie nam przez kilka dni zimno, tylko musisz się zgodzić na moją propozycję. Nie ma mowy o kupieniu węgla ani drzewa. Po pierwsze dlatego, że nie mamy pieniędzy; po drugie — ponieważ w Warszawie łatwiej teraz brylant znaleźć na ulicy, niż kupić dziesięć kilo węgla. Sprowadzimy się do tego pokoju, a z reszty mieszkania

będziemy palili po kolei wszystkie meble. Czy nie mam racji? — zwrócił się do mnie.

Oczywiście przytaknąłem. Ale doktorowa:

— Przecież to takie dobre meble; niektóre rzeczy pamiątkowe, po dziadach; żal. . . .

— No to patrz na nie i marznij — doktór na to — a Niemcy i tak wszystko zabiorą, jak zabierają z każdego domu. Moim zdaniem, trzeba palić, tylko w tym sęk: od czego zacząć? Myślę, że od kredensu, bo to stary grat, pamiętający chyba Napoleona; dużo drzewa. . . .

— O nie, kredensu nie dam! — jęknęła małżonka. — Jakże będziemy żyli bez kredensu?

— Nie to nie. No, ale nie będziesz się chyba kłóciła o sypialnię?

— O, nigdy! — odparła. — Przecież to drzewo oliwkowe. . . .

— Masz tobie! No niech pan powie! Z babami zawsze tak. To nie, tamto nie, co innego też nie. Więc od czego zacząć? Myślisz, że Niemcy będą się liczyli z twoim drzewem oliwkowym? Mam pomysł! — wykrzyknął po chwili. — Świetny pomysł! Zrobimy tyle karteczek ile mamy gratów. Na każdej napiszemy jeden przedmiot. I ty będziesz wyciągała. . . .

Doktor śmiał się, zadowolony z pomysłu, zatarł ręce i wziął się raźno do roboty. Los padł najpierw na kredens. Po chwili w rękach doktora śmigała siekiera, rozbijając z furią szacowny mebel. Pracował tak ochoczo, szczerze, zamaszyście, że nie słyszał nawet pojękiwań żony.

Odrazu poczułem, chociaż drzewo nie zaczęło się jeszcze palić, że w mieszkaniu doktorostwa zrobiło się znacznie cieplej. . . . W pół godziny potem przysunęliśmy kanapę bliżej pieca, doktór zdjął futro i piliśmy herbatę. Nawet doktorowa zauważyła, że wprawdzie połowa kredensu już spalona, ale nie kostnieją nam przynajmniej palce i można swobodnie trzymać filiżanki.

— Pamięta pan naszą Marysię? — zwraca się do mnie w pewnej chwili doktorowa. — Niedawno właśnie miałam z nią bardzo ciekawe spotkanie, które będę chyba bardzo długo pamiętała. Idę ulicą pogrążona w rozmyślaniach, nie widząc nikogo, zmarznięta nieludzko, gdy, nagle zaczepia mnie elegnacka dama w karakułowym futrze. Oczom nie wierzę: toż to moja służąca, Marysia!

„ — U pani zmieniło się na złe, u mnie na dobre“ — mówi. — „Wyszłam zamąż, mam mieszkanie, dwa pokoje, zajmuję się handlem żywnością i zarabiam dużo pieniędzy“.

— Przyglądam się jej, mówię, że bardzo się cieszę jej szczęściem, a ona dalej: „Dziwi się pani, że mam takie ładne futro? Mam pięć futer, a co jedno to ładniejsze. Bo — tłumaczy dalej — jak paliła się ulica Miodowa, to ze składów wyrzucali futra oknami i wołali, żeby brać. To ja wzięłam ile mogłam udźwignąć. A

widzi pani jakie mam brylanty?“ — Marysia pokazuje mi palce, ustrojone bogato pierścieniami. — „To jak palił się jubiler na Krakowskim Przedmieściu, wzięłam. Miałam więcej, ale kilka dałam koleżankom. Ale żeby pani zobaczyła moje mieszkanie, toby pani oczy wylazły z podziwu. Czego ja tam nie mam! Mam nawet taki landszaft, który drzwiami nie chciał się zmieścić do mieszkania, a ten co mi dawał, mówił, że to z zamku od pana prezydenta. . . .“

— Zaproponowałam Marysi, — ciągnie dalej doktorowa — żeby wobec tego przyjęła mnie na swoją służącą. A Marysia na to bardzo serdecznie: — „Jak pani chce, to jabym nawet nie śmiała odmówić“. I po chwili zaczęła mnie już nawet zachęcać: „ — Przecież znamy się tak dawno i możemy nie być jak pani ze służącą, ale jak dwie koleżanki. . . .“ Pocieszała mnie i zanim rozstałyśmy się, powiedziała jeszcze: „ — W życiu to już tak, że raz na wozie, raz pod wozem. . . .“

— No więc co? Bardzo dobra propozycja! — stwierdził doktor. — Marysia napewno dałaby ci w prezencie futro, albo pierścionek z brylantem, miałabyś wychodne nie dwa razy w miesiącu, ale dwa razy w tygodniu. . . .

Wychodząc od nich pomyślałem sobie, że wprawdzie w domu zimno, wprawdzie herbata była bez cukru, ale gdyby wszyscy ludzie w Polsce potrafili przyjmować dziejszą nędzę z taką pogodą ducha jak doktor Maczek, nie byłoby przynajmniej tylu samobójstw, o których słyszy się prawie codziennie.

Nędza wyciska coraz wyraźniejsze piętno na naszym życiu. Ale w Warszawie wyrastają jak grzyby po deszczu, restauracje, bary, kawiarnie, cukiernie. I każdy z tych lokali ma niebywałe powodzenie. Muszę Ci jednak powiedzieć, że dzięki temu bardzo dużo ludzi znalazło zatrudnienie w charakterze kelnerów. W Warszawie mamy obecnie przynajmniej pięć kawiarni aktorskich, w których usługują najpiękniejsze i najpopularniejsze przed wojną artystki, najznakomitsi aktorzy filmowi i teatralni. Są też kawiarnie dziennikarskie, w których pracują nasi koledzy. Biedny Miecio Zawadzki, który przez kilkanaście lat pisał wstępne artykuły, musi teraz wysłuchiwać przycinków w rodzaju:

— Proszę o kawę, ale żeby nie była mętna jak pańskie artykuły. . . .

Albo:

— Wolę małą mocną czarną, niż duży słaby artykuł kolegi Zawadzkiego. . . .

To jest nieprzyjemne, ale Miecio jest znakomitym kelnerem i wszystko przyjmuje z uśmiechem.

Kelnerstwo wciągnęło, zdaje mi się, najwięcej naszych kolegów. Tylko kilku rzuciło się na fach ultra-nowoczesny, jakim jest

riksza. Riksza jest to nasz warszawski wózek rowerowy do przewożnia gości, wykombinowany przez jakiegoś inżyniera z fabryki „Perkun". Pojawia się tego na ulicy coraz więcej. Myślę, że Warszawa ma już conajmniej pięćdziesiąt takich „taksówek" nie zużywających benzyny. Przy wielkim powodzeniu dorożek konnych i przepełnieniu tramwajów — riksza cieszy się ogromnym wzięciem.

Niestety jednak, los dziennikarzy, podobnie jak ludzi innych wolnych zawodów (może tylko z wyłączeniem lekarzy) zaczyna być coraz bardziej niepewny. Ilość ich zmniejsza się ostatnio z tygodnia na tydzień. Kilkunastu dziennikarzy siedzi w więzieniach, kilku rozstrzelano na początku stycznia. Zginął między innymi Staś Niżyński, młody chłopiec, bardzo mądry, energiczny i przystojny, który zajmował się przed wojną reporterką miejską. Pewnej niedzieli zdarzył się na Placu Zbawiciela wypadek: samochód niemiecki najechał na dorożkę konną. Z dorożki wypadła duża paczka, która pękła i na ulicę rozsypała się jej zawartość: świeżo wydrukowana odezwa jakiejś tajnej organizacji. Przewożący paczkę potłukł się tak bardzo, że nie mógł o własnych siłach podnieść się z ziemi. Był to właśnie Niżyński. W tydzień później został rozstrzelany.

Na nas, dziennikarzy, Niemcy patrzą teraz wyjątkowo złym okiem. Mogli się bowiem przekonać wyraźnie o naszej „złej woli". Gdy gadzinowy szmatławiec „Nowy Kurier Warszawski" przenosił się z Łodzi do Warszawy i urządzał w naszym „Domu Prasy", jego niemieccy wydawcy zwrócili się pisemnie do kilkunastu dziennikarzy z propozycją objęcia posad. Naturalnie, nikt się nie zgodził. W rezultacie wszyscy za to, że pogardzili „otwartymi" przez okupantów możliwościami pracy, zaproszeni zostali na dłuższą rozmowę w Aleje Szucha, do Gestapo. Dla niektórych te rozmowy trwają do dziś.

Musiałbym jeszcze bardzo wiele napisać, aby choć w najogólniejszych rysach odtworzyć obraz naszego dzisiejszego życia.

I teraz, gdy mam już przesłać Ci tylko pozdrowienia i postawić ostatnią kropkę, przed oczami przesuwają mi się sceny, obrazy, wydarzenia z naszego codziennego życia, o których aż żal nie wspomnieć, skoro już chcę, abyś po przeczytaniu tego mojego listu miał jakie-takie pojęcie o tym niesamowitym świecie, który nazywa się: życie pod okupacją niemiecką.

Gdyby już funkcjonowały urządzenia telewizyjne i gdybyś mógł, siedząc sobie przy tele-odbiorniku w jakimś Twoim cichym hotelu bukaresztańskim nastawić odbiór na falę „Warszawa", wówczas zobaczyłbyś bardzo ciekawy film, choćby tematem jego miała być tylko ulica.

Oto na przykład ulica Krucza, tuż przy Alejach Jerozolimskich. Jezdnia i chodniki nabite ludźmi, którzy kołem otaczają orkiestrę

symfoniczną, złożoną conajmniej z trzydziestu osób. Na małym stołeczku stoi kapelmistrz, ubrany jak wszyscy inni — w ciepłe palto z kołnierzem postawionym do góry — i dyryguje, wywijając pałeczką, pamiętającą zapewne Filharmonię Warszawską, po której — mowa o Filharmonii nie o pałeczce — pozostało tylko wspomnienie i trochę gruzów. Dźwięki melodii rozpływają po najbliższych ulicach. Publiczność nagradza wykonawców oklaskami. Do czapki „skarbnika“ sypią się drobne datki. Z tłumu wyrwie się co chwila jakiś Niemiec, który również wrzuci kilkadziesiąt groszy, czego mu, niestety, nie można zabronić.

Oto na przykład Krakowskie Przedmieście. Pod kościołem Bernardynów stoi starszy pan o długiej, bielutkiej brodzie i długich, bielutkich włosach. Zza szkieł okularów w złotej oprawie patrzą smutnie mądre, czarne oczy. Nie mówi wprawdzie: „proszę, błagam“, ale prosi, błaga, żebrze. Kapelusz, miętoszony w rękach, czeka na ofiarę przechodnia. Kilka kroków dalej: twarzą do muru stoi młody człowiek. Gra na skrzypcach rzewne melodie. U nóg leży czapka studenta Politechniki Warszawskiej. Jeszcze kilka kroków dalej: pan elegancko ubrany, w futrze, w pilśniowym kapeluszu wymawia jedno magiczne słowo: „wódka, wódka, wódka“ — i trzyma ręce w kieszeniach. Wszyscy go rozumieją: to sprzedawca wódki przedwojennej, albo samogonu.

Oto na przykład ulica Marszałkowska, tuż przy Wspólnej. Na wózku inwalidzkim rozparł się wygodnie żołnierz polski w mundurze. Bez obu nóg. Głosem potężnym, od którego zdają się drżeć mury, śpiewa: „Dopóki na Wawelu grzmi Zygmuntowski Dzwon, dopóki w sercach naszych choć kropla polskiej krwi. . . .“ Publiczność rzuca pieniądze, dużo pieniędzy; niektórzy wciskają mu banknoty. Niemcy przyglądają się inwalidzie i mijają go obojętnie. Nieco dalej inny żołnierz polski też, inwalida bez nóg, siedzi na ziemi i wygwizduje piosenki wojskowe. Obok leży czapka ułańska, denkiem odwrócona do ziemi.

Oto na przykład najruchliwszy punkt Warszawy — róg Marszałkowskiej i Alei Jerozolimskich. Wieczór. Na niskim murku, za którym sterczą ponuro gruzy domu, stoi trójka małych dzieci; pod murkiem, u stóp tej trójki, siedzi na ziemi pięcioro takich samych, a może jeszcze mniejszych dzieci. Wszystkie śpiewają chórem jedną piosenkę. Piosenkę o żołnierzu polskim, któremu zabrali ojczyznę, a dali krzyż drewniany. Prószy śnieg, tłumy ludzi przewalają się przed dziećmi. Przejeżdżają z hałasem tramwaje. Na skrzyżowaniu policjanci niemieccy regulują ruch. Na dzieci pada światło lampy ulicznej. Wszystkie są bardzo małe i bardzo nędzne. Z przechodniów mało kto rzuci jakąś monetę. Dzieci śpiewają i rozglądają się uważnie: żeby zdążyć uciec przed policjantem. . . .

Oto na przykład Nowe Bródno. Brama cmentarna, z poza której wyglądają potężne kasztany, dźwigające na gałęziach grube warstwy śniegu. Przed bramą stoi urzędnik biura cmentarza, z notatnikiem. Przepuszcza karawany, „czarne wozy“, zwykłe wozy chłopskie, dorożki — każdy pojazd conajmniej z jedną trumną. Na ulicy, prowadzącej do bramy cmentarnej posuwają się korowody pogrzebów. Cały dzień — i każdego dnia bez przerwy przez bramę przechodzą trumny. Dzwon kaplicy cmentarnej milczy. Musiałby jęczeć od świtu do zmroku.

Dosyć. Myślę, że i Ty, gdybyś nawet miał taki aparat telewizyjny, miałbyś tego dosyć. Ale my widzimy te obrazy ciągle. Żyjemy wśród nich. Jesteśmy ich aktorami i statystami. I to wszyscy! Czekamy, jak zbawienia, kiedy wreszcie ten koszmarny obraz zejdzie z afisza. Kiedy zmienimy nasze role.

Cieszymy się myślą, że na wiosnę.

LIST TRZECI

Nowe pokolenie konspiratorów

Warszawa, w maju, 1940.

Mój drogi,

od kilkunastu dni żyjemy pod znakiem teroru. Nigdy jeszcze nie było tak wielkiej ilości aresztowań i egzekucyj, jak obecnie. Warszawę najechała ostatnio nieprawdopodobna masa policji niemieckiej. Ciągle, nocami, odbywają się po domach rewizje. Zabierają tysiące mężczyzn. Nikt nie wie, gdzie oni są, co się z nimi dzieje. Codziennie poczta roznosi depesze, zawiadamiające rodziny o śmierci zabranych. Na Pawiaku rozstrzeliwują podobno po pięćdziesiąt osób dziennie — przeciętnie. Na Śląsku, w Oświęcimiu, powstał obóz koncentracyjny, o którym krążą najbardziej niewiarogodne wiadomości. Jest to jedna z licznych katowni niemieckich, w której więźniowie, po doświadczeniu straszliwych męczarni, są z reguły mordowani. Samochód stał się dla nas zmorą i przekleństwem. Dźwięk klaksonu, albo warkot silnika denerwuje dzisiaj każdego. Wieczorami, gdy pod jakąś bramą zatrzymuje się samochód, mężczyźni z całego domu dają sobie o tym wzajemnie znać i ukrywają się — jak i gdzie kto może. Pojawienie się samochodu ciężarowego na ulicy wytwarza często nastrój paniki: mężczyźni, szczególnie młodzi, uciekają, kryją się po bramach, po obcych mieszkaniach. Jesteśmy tropieni i chwytani jak psy bezpańskie przez hyclów. Po wszystkich ulicach stale defilują korowody zielonych ciężarówek na bardzo wysokich

podwoziach, w których, po kilkudziesięciu w każdej, siedzą policjanci niemieccy, ubrani w hełmy i uzbrojeni w karabiny maszynowe. Niezależnie od aresztowań i masowych obław ulicznych, Niemcy urządzają ostatnio w Warszawie ćwiczenia, zaprawiając się widocznie do walk ulicznych, których prawdopodobnie się spodziewają. Jesteśmy przekonani, że są to zupełnie wyraźne oznaki rozpoczęcia w najbliższym czasie kampanii zachodniej, której oczekujemy już teraz z dnia na dzień. Niemcy łudzą się, że jeśli zastosują wobec nas teror, damy im spokój wtedy, gdy na Zachodzie zaczną ich miażdżyć armie koalicyjne. O, przekonają się wówczas ile w nas tkwi jeszcze siły i przekonają się jak straszna będzie nasza zemsta.

Dotarłeś do Francji i jesteś w wojsku. Jesteś człowiekiem szczęśliwym! Jakże serdecznie zazdroszczę Ci tego szczęścia! Nie tylko ja. Krew gotuje się w każdym z nas. Jesteśmy tu bezsilni, a świadomość bezsilności jest straszna. Walczyć, walczyć — to jakieś utajone głęboko, wewnętrzne zawołanie, które nam, młodym, rozpala serca, rozsadza umysły i zmusza do szukania drogi walki. Nam pozostaje tylko jedna droga: walka podziemna. I na tę jedną, jedyną drogę wstępuje coraz więcej ludzi. Ale na dziesięciu zapytanych, dziewięciu odpowie napewno: to nie to samo. I z tych dziesięciu pytanych, dziewięciu szuka ciągle jeszcze drogi, prowadzącej stąd do Was, przyszłych bohaterów, do Francji. Ciągle szuka i, bardzo często kończy poszukiwania gdzieś na granicy węgierskiej albo słowackiej, zastygając w śniegu. Z kulą karabinową w plecach. Jednak również często, przedziera się — i realizuje marzenia.

W ciągu ostatnich miesięcy nasza grupa wyekspediowała wielu ludzi. Od niektórych są już wiadomości z Francji, o wielu zaginął całkiem słuch. Ostatnio urwało się. Granice obstawiono gęstymi kordonami. Ale jeszcze i teraz, od czasu do czasu — bardzo rzadko — przychodzi ktoś pożegnać się: idę do Francji. . . . Odpowiedź jest przeważnie jednakowa: śpiesz się, żebyś doszedł na miejsce, zanim ci z Francji przyjdą do Warszawy. . . .

Oczekujemy was z coraz większym utęsknieniem. I im cieplej przygrzewa słońce, im bardziej zielenią się trawy, im więcej kwiatów zaczyna rozkwitać — tym większe jest zdenerwowanie, tym obłędniejsza tęsknota. Kiedyż, kiedyż nareszcie to się rozpocznie? Rozmawiamy o tym i jesteśmy jak dzieci. Odmalowujemy sobie w wyobraźni obrazy tego, co niedługo ma być rzeczywistością. Widzimy flagi polskie, rozwieszone na wszystkich domach. Widzimy kolumny wojsk polskich, maszerujące z orkiestrami — Krakowskim, Nowym Światem, Alejami Jerozolimskimi; defiladę na Placu Piłsudskiego z trybuną tuż przed pomnikiem Poniatowskiego, na której stoi uśmiechnięty Sikorski,

w towarzystwie generałów polskich, francuskich, angielskich. Jadą czołgi, z których Francuzi i Anglicy kiwają rękami zgromadzonym tłumom. Ulice zasłane są kwiatami. Ze wszystkich stron rozbrzmiewają orkiestry wojskowe. Nigdzie nie ma ani jednego Niemca.

Kiedyż, kiedyż nareszcie przestanie to być snem i marzeniem? Maj już się rozpoczął. Wiosna w pełni. Czemu Francja każe nam tak długo czekać? Uspokajamy sami siebie: cierpliwości, cierpliwości; już bliżej niż dalej.

Ostatnio kilka razy wyjeżdżałem z Warszawy. Oczywiście nie w sprawach handlu książkami. Jestem pod wrażeniem wspaniałej postawy ludzi na prowincji, którzy bardzo często robią jeszcze lepszą robotę, niż ta, którą my robimy w Warszawie. Chcę Ci o tych ludziach parę słów napisać.

W Skarżysku, gdzie nota bene, była niedawno masakra robotników, zetknąłem się z kierownikami jednej z miejscowych organizacyj robotniczych. Młodzi ludzie, pełni zapału, poświęcenia i przepojeni do głębi — nie używam tych słów jako oklepanego banału — miłością Polski. Ze względu na to, że Skarżysko jest jednym wielkim zbiorowiskiem fabryk, pracujących obecnie na rzecz zbrojeń niemieckich, rola ruchu podziemnego rozwijanego tam, jest olbrzymia. Celem tego ruchu jest w pierwszym rzędzie zabezpieczenie urządzeń na wypadek odwrotu niemieckiego; nie ulega bowiem wątpliwości, że Niemcy będą chcieli niszczyć wszystko za sobą, żeby kraj jaknajbardziej ogołocić. Następne zadanie — to przygotować ludzi, którzy w decydującej chwili wystąpią zbrojnie przeciw takim zamiarom okupantów. A wreszcie — tak zorganizować pracę obecnie, aby łupieżcy mieli z niej jak najmniej pożytku.

— Praca jest w naszych warunkach koniecznością — mówił mi jeden z robotników. — Ale naszym hasłem jest: ,,Pracuj powoli!". O tym haśle każdy pamięta, rozpoczynając i kończąc pracę. Przez pewien czas rozpowszechniano ulotki, nakazujące oszczędzanie sił własnych kosztem nerwów niemieckich i rysowano na budynkach fabrycznych żółwie. Teraz już to jest niepotrzebne. Niemcy wściekają się. Rozstrzelali nam kilkunastu ludzi, my sprzątnęliśmy kilku gorliwców. Oni swoje, a my swoje. Jeden z obecnych dyrektorów, Niemiec, przemawiając do nas niedawno, powiedział, że jesteśmy wrogami fabryki i zagroził nowymi rozstrzelaniami. Sabotaż, uprawiany systematycznie, codziennie przez wszystkich robotników daje w sumie lepsze rezultaty, niż jakiś jednorazowy akt, unieruchamiający na pewien czas nawet cały oddział fabryki.

Dłużej niż o wszystkich innych sprawach, rozmawiałem z nimi o przyszłości. Tak sobie, na marginesie spraw aktualnych

obecnie, gawędziliśmy o Polsce, która przyjdzie, która wyłoni się po przejściu burzy wojennej i mroków niewoli. Nie wiem, co który z tych ludzi mówił, nie pamiętam tych wspaniale sformułowanych określeń, wobec których to wszystko co mówi się w Warszawie wydało mi się dziwnie blade i niekonkretne, ale pamiętam dokładnie sens tego, co mówią robotnicy, kierujący w tamtym, skarżyskim okręgu, walką podziemną:

— Polska przyszła nie może już powrócić do wzorów z okresu naszych dwudziestu lat niepodległości. Wojna i okupacja zburzyły państwo. My, po odrodzeniu państwa, musimy odrodzić się jako naród. Jedyna droga, prowadząca do tego odrodzenia, to socjalizm. Polska, która przyjdzie, musi być Polską ludu polskiego, Polską socjalistyczną. W przyszłej Polsce nie będą miliony pracowały na jednostki, poto, aby te jednostki używały za miliony. My, młodzi robotnicy, staniemy razem z młodymi żołnierzami, którzy przyjdą z emigracji. Gotowi jesteśmy stoczyć nawet najkrwawszą walkę z tymi, którzy odważyliby się rozpoczynać od początku po staremu. Zbudujemy nową Polską na nowych fundamentach; młodą Polskę — kierowaną przez młode mózgi i młodymi rękami.

Podaję Ci tę relację naprawdę autentyczną, bez żadnej przesady. Może nawet nie potrafię we właściwy sposób oddać tej niesłychanej siły, z jaką robotnicy wykładają swoje credo; tego świętego ich przekonania, że musi być tylko *tak* i nie inaczej. Na jedno też jeszcze nie sposób nie zwrócić uwagi: to na niezłomną wolę walki tych ludzi — dziś i w przyszłości. Walki o jedną tylko rzecz: o rzetelną wielkość Polski. Byłem, poza Skarżyskiem, w wielu środowiskach robotniczych i rozmawiałem z wielu robotnikami, uczestnikami podziemnej roboty politycznej. To dążenie do siły i wielkości Polski przez stworzenie państwa naprawdę demokratycznego jest wszędzie jednakowe. I wszędzie jest jednakowa wola walki o realizację tego dążenia.

Miałem polecenie przeprowadzenia rozmowy z grupką nauczycielską w małej mieścinie pod Lublinem. Trafiłem na moment gorączkowej pracy. Ludzie, do których szedłem, kończyli właśnie na powielaczu druk numeru tajnego pisemka. Ich praca przypomniała mi listopadowy start naszej „Warszawianki“ i oczarowała jednym faktem: oto cały ten trud ponosiła garstka entuzjastów, w dziurze prowincjonalnej, liczącej kilka tysięcy mieszkańców. Młodzi ludzie pozbawieni pracy zawodowej, mają poczucie obowiązku pracy — tak samo jak nieznani im choć bliscy towarzysze walki podziemnej w Warszawie, Skarżysku i w tylu jeszcze, tylu wielkich ośrodkach ruchu konspiracyjnego. Pismo ich miało tytuł „Biuletyn radiowy“; zawierało wiadomości z Tuluzy i z Londynu, była to więc już robota zorganizowana, połączona z posiadaniem tak wielkiego dzisiaj skarbu, jak aparat

radiowy. Tuż pod nazwą pisemka, wydrukowane było hasło: „Dla Polski Niepodległej i Demokratycznej".

Przywiozłem tam z sobą trochę bibuły warszawskiej i prowadziłem o niej z moimi nowymi przyjaciółmi wielogodzinne dyskusje. Wrażenie moje z tych dyskusyj jest jaknajlepsze: ludzie, którzy poświęcili się bez reszty robocie, ludzie, którzy wiedzą czego chcą —czego chcą teraz i czego chcą później. To „później" wypowiadane przez ludzi różnych warstw, w różnych stronach kraju, ma jednak prawie jednakową barwę. Jeden z redaktorów owego biuletynu, dwudziestokilkuletni chłopiec o czarnych, płomiennych oczach, powiedział mi, gdy mowa była o naszej najbliższej przyszłości:

— Zdaje się, że wszyscy już rozumieją tę prawdę, że dla Polski jest tylko jeden wybór ustroju: państwo pracy. Jednak już organizacja tego ustroju i kierowanie państwem od pierwszych chwil jego powstania musi przejść wyłącznie w ręce chłopów, inteligencji pracującej i robotników. Kapitaliści, właściciele większych obszarów ziemi i kler muszą zrozumieć, że ta wojna jest dla nas również rewolucją społeczną; że Polska, powstająca po zrzuceniu okupacji, będzie państwem ludzi odrodzonych; że w pojęciach naszych nastąpił wyraźny zmierzch przeszłości. My, którzy takiej Polski pragniemy, oczywiście nie pójdziemy z nikim na żadne kompromisy. A jeśliby ktoś siłą popróbował zaprowadzić w Polsce ład na dawnych podstawach, wówczas lud polski powstanie do rewolucji.

Głos ten jest wyrazem nastrojów nurtujących dzisiaj w kraju. Nasza organizacja prowadzi w Warszawie archiwum, w którym przechowywane są tajne pisma i różne druki konspiracyjne. Pism, w rodzaju konspiracyjnego „Biuletynu radiowego", wydawanych w małych ośrodkach, mamy już znaczną ilość. To co mówi ten młody nauczyciel z miasteczka lubelskiego, jest najczęściej treścią ideologiczną tych gazetek. Te same prądy nurtują w Warszawie, te same prądy nurtują w ośrodkach robotniczych, te same prądy nurtują w środowiskach inteligenckich — zarówno w dużych miastach, jak w małych mieścinach. Wreszcie, te same prądy nurtują na wsi.

Teraz jest maj. Szmat czasu za nami — ósmy miesiąc okupacji. Wierzę że w ciągu następnych ośmiu miesięcy ukaże się w Polsce mnóstwo książek, w których różni, nieznani dzisiaj ludzie, będą wspominali szczegóły toczonej obecnie podziemnej walki z Niemcami. Wspomnienia te, gdy kraj odetchnie już trochę po okupacji, będą niewątpliwie pasjonującą lekturą. Nie mogę jednak oprzeć się pokusie podzielenia się z Tobą niektórymi obrazkami, nazwijmy je „migawkami", teraz, na gorąco. Są to wszystko paciorki nieprawdopodobnie długiego różańca, na którym tysiące ludzi odmawia swą codzienną modlitwę o wolność Polski.

Kraków. Przyjechałem na miejsce umówione zgóry, i w dokładnie ustalonym czasie. Miał mnie oczekiwać delegat jednej z organizacyj krakowskich. Przyjechałem jednak naprożno. Dopiero w kilka dni później dowiedziałem się, że ów delegat, student, nocy poprzedzającej nasze spotkanie, brał udział w montowaniu krótkofalówki nadawczej, zainstalowanej w jakimś grobie rodzinnym na cmentarzu rakowickim. Pracowali w pięciu, wszyscy studenci. Nakrył ich patrol policji. Podobno zupełnie przypadkowo. Tylko kilka dni siedzieli w więzieniu. Wszyscy zostali rozstrzelani.

Radom. Pierwsza rzecz, jaką zauważyłem po przyjeździe, to masa małych ogłoszeń na murach, zatytułowanych krótko: wyrok. Za znalezienie broni, za opór zbrojny, za sabotaż zarządzeń, za słuchanie radia — za wszystko. Wśród tych wyroków, jedno ogłoszenie było najbardziej znamienne: pięciu chłopców, uczniów, w wieku od lat 15 do 18, skazano na śmierć za przecinanie kabli telegraficznych. W całym mieście wszyscy mówili o tym właśnie wyroku więcej niż o czymkolwiek innym. Mówiono o tym najczęściej w takiej wersji: harcerze założyli organizację, która miała na celu przecinanie drutów telefonu i telegrafu oraz przepiłowywanie drewnianych słupów. Przedmiotem tego sabotażu były najważniejsze linie komunikacyjne. Niemcy stosowali różne środki zaradcze: rozstrzeliwali ludzi w promieniu kilkuset metrów od miejsca sabotażu, rozwieszali na słupach wzdłuż szosy ostrzeżenia, grozili rozstrzelaniem zakładników radomskich. Organizacja pracowała mimo to conajmniej kilka miesięcy. Jej działalność skończyła się zapewne wraz z rozstrzelaniem ostatniego jej członka.

Lublin. Po ujawnieniu wypadków sabotażu w kilku fabrykach i na dworcu kolejowym, w całym mieście Niemcy chodzili jak wściekłe psy. Na Dziesiątej i Kalinowszczyźnie urządzono główne miejsca straceń. Podobno w ciągu kilku ostatnich dni kwietnia mordowano tak masowo, że trupy grzebane były warstwami. W takiej gorącej chwili przyjechałem do Lublina. Odrazu na dworcu rzucił mi się w oczy szczegół, świadczący o reakcji organizacyj niepodległościowych w Lublinie na niemiecką politykę teroru. Wysoko, na szybach i na murach wiszą resztki kartek, których nie zdołano jeszcze zdrapać i dzięki temu łatwo odcyfrować ich jednakową treść: „Im słoneczko wyżej, tym Sikorka bliżej“. Pozornie jest to tylko zabawka, tylko dowcip, ale w gruncie rzeczy taka niewinna nalepka ma bardzo duże znaczenie.

Opowiadano mi o znakomitym figlu zrobionym Niemcom, którzy właśnie zaczęli zabiegać około zapisywania się ludności na Volkslistę. Ktoś zawiadomił policję, że w Bystrzycy utopił się jakiś Niemiec. Ponieważ marynarka, leżąca na brzegu rzeki zawierała w kieszeni dokument na nazwisko niemieckie i oprócz

tego wymieniony był jakiś niebywale wysoki tytuł służbowy topielca, na miejsce zjechali natychmiast różni dygnitarze cywilni i policyjni. Zaczęły się poszukiwania i wkrótce wyciągnięto na brzeg ciężki worek, na którym, czarną farbą, dużymi literami, wypisane było tylko jedno słowo: Volksdeutsche. Po rozerwaniu worka okazało się, że w środku było zwykłe prosię. . . . Podobnie zdarzyło się w Kielcach. W parku Staszica opatrzono któregoś dnia kilka ławek napisami: „Nur für Deutsche". Tej samej nocy jakieś nieznane duchy przeniosły te ławki na pobliski cmentarz, ustawiając je nad świeżo wykopanymi, pustymi jeszcze grobami. . . .

Nie zaprzeczysz chyba, że jeśli w tej całej potwornej naszej sytuacji, są ludzie, którzy pozwalają sobie jeszcze na humor, na dowcip, to przecież dobry znak.

Takich wypadków jest mnóstwo. Ciągle jednak Warszawa będzie największą ich kopalnią. Bo w Warszawie najwięcej się dzieje, w Warszawie koncentruje się cały ruch podziemny, w Warszawie jest mózg i serce tej wspaniałej już obecnie roboty, oplatającej cały kraj.

Rozwija się cały ruch konspiracyjny i — muszę się przecież pochwalić — rozwija się nasza „Warszawianka". Już kiedyś pisałem Ci, że wyszliśmy z ram pisma i że jesteśmy grupą pilityczną. O tak, teraz robimy już istotnie ciekawą robotę. Przede wszystkim, jednak ciągle rozbudowujemy drukarnię. Pomyśl tylko, że posiadamy już dzisiaj własną cynkografię! Robota idzie niczym w normalnych warunkach. Nauczyliśmy się konspirować, jesteśmy obecnie prawdziwymi wygami wobec wielu naszych starszych kolegów, pamiętających jeszcze życie podziemne zprzed tamtej wojny.

Niemcy są bezradni w Polsce, gdzie istnieje stara tradycja konspiracji, gdzie mieliśmy najbogatszą chyba na świecie literaturę o walkach narodu z okupantami, gdzie przecież z konspiracji zrodziło się nasze państwo. Wydaje mi się, że są pewne zasady tej pracy, obowiązujące tak przed tamtą wojną, jak obecnie. Z pamiętników starych bojowców polskich wynika, że konspiracja to nietylko talent ukrywania się z pracą w miejscach niedostępnych dla oka i ucha wroga, ale często talent pracowania na oczach wszystkich i umiejętność maskowania tej pracy. Z wszystkich wspomnień konspiratorów przedwojennych przebija także jeszcze jedna zasada, a mianowicie, że konspiracja to sztuka zachowania zimnej krwi. Te kardynalne zasady są wspólne obu pokoleniom konspiratorów. Jeżeli chodzi o błyskawiczną orientację i panowanie nad nerwami w chwilach niebezpieczeństwa, to młodzi adepci „sztuki konspirowania" doszli naogół do znakomitych wyników.

Dam Ci taki drobny przykład: Antek Tatarkiewicz i Piotruś Palus siedzieli któregoś wieczora w mieszkaniu Romka Radwańskiego. Romek, jak każdy z nas, miał w domu różne drobiazgi, za które idzie się na tamten świat w ciągu tygodnia. Takie rzeczy, jak np. podręcznik jakiegoś komisarza policji o prowadzeniu walk ulicznych, o obronie domów i t.p., należały do najniewinniejszych. Nagle przyszła niespodziewana rewizja wszystkich mieszkań w domu. Dom obstawiony, o żadnej ucieczce nie ma mowy. Niebawem dwu przedstawicieli Gestapo zjawia się w pokoju naszych przyjaciół.

Zanim jednak weszli, pokój został przygotowany na ich przyjęcie. Romek wyglądał upiornie: leżał w łóżku, wyciągnięty jak na godzinę przed śmiercią, twarz miał wysmarowaną smalcem i upudrowaną kurzem zebranym z podłogi. Antek otworzył drzwi i powitał Niemców słowami:

— Dobrze, że panowie przyszli. Może wy coś poradzicie. . . .

Niemcy weszli, wytrzeszczając oczy.

— Proszę — mówił Antek, — człowiek umierający prawie, a tu żadnej pomocy z nikąd. Dzwoniliśmy już do wszystkich szpitali i wszędzie odpowiadają odmownie. . . .

— Co jemu jest? — zapytał Niemiec, stojąc w odpowiedniej odległości od łóżka.

— No przecież widać, że tyfus — odpowiedział Antek. — A poza tym od dawna choruje na gruźlicę płuc . . . — dodał zaraz ciszej.

Niemcy w tej chwili wyskoczyli z mieszkania jak oparzeni. I na tym skończyła się rewizja.

Albo jeszcze inny przykład: pewnego dnia umówiliśmy się, że o dwunastej w nocy Piotruś zabierze od Antka nasłuch radiowy i przewiezie go na rowerze do mnie do domu. Piotruś, jak zwykle w takich wypadkach, uzbroił się w pistolet, założył na rękaw opaskę „Eisenbahn“ (takie opaski przez pewien czas nosiło wielu naszych ludzi; wszystko jedno czy to była kolej, poczta, czy stróż nocny, byle tylko była do tego legitymacja służbowa i przepustka nocna, które drukowaliśmy w dowolnej ilości egzemplarzy) i pojechał. Pojechał na Pragę. W pierwszą stronę bez żadnej trudności. Załatwił sprawę z Antkiem i chciał zabrać w drodze powrotnej pieczęcie metalowe, które właśnie tego dnia przysłano od grawera z prowincji i złożono w pewnym mieszkaniu na Pradze. Pieczęci było około trzydziestu, a wśród nich oryginalna pieczęć kancelarii gubernatora generalnego, pieczęcie różnych instytucyj, fascimille podpisów różnych dygnitarzy. Wszystko to było w małej walizeczce, zamkniętej na kluczyk.

I oto przed mostem Kierbedzia, do którego Piotruś dojeżdżał właśnie z wielką szybkością, policjant niemiecki daje latarką

sygnał zatrzymania się. Piotruś staje. Policjant oświeca bindę na rękawie, żąda legitymacji, jednej, drugiej (Piotruś oczywiście musi mieć zaufanie do tych legitymacyj, bo sam, własnymi rękami je drukował) i pyta, co jest w walizce.

— Różne moje drobiazgi rzemieślnicze — odpowiada Palus. Ja jestem ślusarzem kolejowym. . . .

Policjantowi to nie wystarcza. Potrząsa walizką i każe ją otworzyć. Teraz Piotruś zaczyna szukać po wszystkich kieszeniach kluczyka; nie może znaleźć, ale wreszcie tonem wielkiej pewności siebie i pogardy dla policjanta, który jest taki głupi, mówi:

— No, gdzież będę teraz szukał kluczyka, jak muszę być o dwunastej dziesięć na dworcu gdańskim, bo pociąg mi odjeżdża. Nie widział pan obcęgów, młotków?! . . .

Policjant jeszcze raz potrząsnął walizką, oddał ją Piotrusiowi i, oświecając latarką swój zegarek na ręce, powiedział:

— Ale musisz pan ciągnąć bez wytchnienia, bo do dwunastej dziesięć jest jeszcze tylko pięć minut czasu. . . .

Wspomniałem Ci, że jedną z zasad konspiracji, jest pracowanie na oczach wszystkich. Przypominam sobie właśnie ciekawy przykład, stwierdzający mądrość tej zasady. Zależało nam kiedyś na przewiezieniu aparatu radiowego do nowego lokalu. Niestety jednak, był to okres, w którym Niemcy i policjanci warszawscy kontrolowali dosłownie każdą przewożoną czy przenoszoną paczkę. A za wykrycie radia groziła, tak samo jak grozi dziś, tylko jedna kara: śmierć. Załatwienia tej sprawy podjął się Romek. Wynajął dorożkę, załadował na nią odbiorniki w biały dzień, wiózł go bez opakowania najruchliwszymi ulicami — przez nikogo absolutnie nie zaczepiony. Dopiero gdy wysiadł niedaleko właściwego adresu, wielką skrzynię radiową okrył pokrowcem i zaniósł tam, gdzie należało. . . .

To są, oczywiście, maleńkie zaledwie epizodziki, wobec wspaniałych, naprawdę imponujących czynów innych ludzi z, poza naszej grupy, czynów, które, na zdrowy rozum, nie powinny mieć zastosowania w realnym życiu. Przypominają one raczej zdarzenia z sensacyjnych filmów. Są to, poza tym, wydarzenia, obrazki, wszystko jedno jak je nazwać — przyjemne, bo przyjemnie się kończą. Ale niestety, w naszym życiu, szczególnie w tej dziedzinie pracy, nie zawsze szczęście uśmiecha się tam, gdzie jest najbardziej pożądane. Napewno dochodzą do Was wiadomości o niektórych wydarzeniach na tle działalności podziemnej, kończących się tragicznie dla jej uczestników. Wspomniałem Ci o Krakowie, o Radomiu. Ale przecież takich studentów jak ci, którzy montowali krótkofalówkę na cmentarzu, takich chłopców jak ci, którzy przecinali druty telefonów i telegrafów, w Polsce są

już tysiące. Walka podziemna jest taką samą walką jak bitwa dwóch wrogich armii. I, podobnie jak na polu bitwy, ta walka pociąga za sobą ciągle nowe ofiary. Tak samo w miarę jej rozwoju, a przede wszystkim w miarę rozwoju jej ducha ofensywnego, liczba tych ofiar ciągle wzrasta. Tylko, dziwna zaiste tajemnica kryje się w charakterze naszych ludzi: im obficiej leje się krew patriotów, im więcej trzeszczy szubienic i gra plutonów egzekucyjnych, tym więcej ludzi garnie się do roboty. Jeżeli użyję określenia, że w społeczeństwie naszym następuje zanik poczucia lęku przed śmiercią, to napewno będzie to się odnosiło do znacznej części tego społeczeństwa. Frazes: „nie boję się" przestał być frazesem. Dziś nikt wprawdzie tego nie mówi, ale z oczu tysięcy ludzi wyczytasz: ja się niczego nie boję. . . . I na tych właśnie ludziach, na tym najmasywniejszym fundamencie zbudowana jest nasza wewnętrzna walka o niepodległość.

Ostatnio mieliśmy w Warszawie kilka starć zbrojnych między małymi grupami walki podziemnej, a silniejszymi jednostkami niemieckimi. Na Powiślu urządzone było duże laboratorium, produkujące materiały wybuchowe. Agenci Gestapo wykryli je i któregoś dnia około czwartej popołudniu rozpoczęła się walka. Spiskowcy zabarykadowali się, zamienili dom w twierdzę, wyrzucali granaty, prażyli z karabinów maszynowych. Niemcy odpowiadali tym samym. Po kilku godzinach, gdy dom stanął w płomieniach, walka ustała. Zginęła cała grupa bohaterów: dwie młode kobiety i czterech młodych mężczyzn. Nie wiadomo ilu Niemców zostało zabitych, ale rannych było kilkunastu. Druga podobna walka była na Poznańskiej, gdzie mieściła się zakonspirowana stacja radiowa. Agenci zatrzymali w bramie domu jednego ze spiskowców, żądając wylegitymowania się. Ten sięgnął po dowód i zamiast portfelu wydobył pistolet: położył trupem dwu szpiclów. W tym samym momencie, na odgłos strzałów, do domu wpadła cała szarańcza policji, która zaczęła dobijać się do mieszkania bojowców. Obie strony użyły granatów i karabinów maszynowych. W ręce oprawców nikt nie wpadł jednak żywcem. Zemścili się dopiero na lokatorach tego domu i całego szeregu domów sąsiednich; rozstrzelali stu Polaków za każdego Niemca, zabitego podczas walki.

Walka podziemna, prowadzona obecnie w stolicy Polski jest dalszym ciągiem Obrony Warszawy. Nie skapitulowała Warszawa, nie skapitulowali jej obrońcy, nie skapitulował duch walki — i walka trwa dalej. Zresztą, przecież nietylko Warszawa walczy!

W naszej „Warszawiance" zamieszczamy prawie w każdym numerze opisy tego rodzaju spotkań z Niemcami, jak te dwa — z Powiśla i Poznańskiej. Ileż tego już jest! Często odnoszę jednak takie wrażenie, że Wy wszyscy, odbici od tak dawna od

kraju, jeżeli nawet dochodzą Was echa choćby takich tylko strzałów jak w Warszawie, wzruszacie niedowierzająco ramionami. Że, całkiem poprostu, nie jesteście w stanie uwierzyć w to, że my nie tylko żyjemy, nie tylko trwamy, ale i walczymy.

Opisywałem Ci już różne szczegóły naszego życia, opisywałem Ci obrazy Warszawy wojennej. Jednak chciałbym, żebyś widział nie tylko nędzę, głód, żebraków, orkiestry uliczne, handlarzy, kawiarnie, bary, Niemców rozkoszujących się ruinami miasta, groby uliczne, których zresztą już jest niewiele, riksze,wożące przeważnie Niemców, ogonki przed sklepami — słowem, to wszystko, z czego składa się dzień powszedni miasta; chciałbym natomiast, żebyś widział w tym wszystkim tylko tło, na którym żyje Warszawa prawdziwa choć niewidoczna — Warszawa walcząca.

Pamiętasz zaułek: Świętojańska, Piwna, Plac Zamkowy. Któregoś dnia szedłem obok zamku. Słońce wiosenne srebrzyło mokre po deszczu dachy małych domów Starego Miasta. Błyszczał granit Kolumny Zygmunta. Na placu rozłożyły się cienie ruin zamkowych. Na chodnikach bawiły się dzieci. W drzwiach sklepu Łopackiego stał znudzony człowiek i palił papierosa. Dozorcy miejscy pracowali przy spędzaniu wody do rynsztoków. W pewnej chwili, z ulicy Świętojańskiej wyszła grupa ludzi; kilkunastu żandarmów niemieckich i policjantów w granatowych mundurach otaczało pięciu młodych chłopców, w wieku lat 17 do 22. Wszyscy chłopcy mieli twarze skąpane we krwi i wszyscy razem byli skuci z sobą kajdanami. Żandarmi trzymali w rękach pistolety; dwaj z nich mieli na głowach hełmy i nieśli w rękach, przed sobą, karabiny z bagnetami. Nie zwróciłbym może uwagi na ten pochód, bo właśnie skręcałem już w ulicę Piwną, ale powstrzymał mnie śpiew, śpiew niesamowity: „Warszawianka“! Głosem silnym i głębokim jak spod ziemi, wszyscy chłopcy śpiewali pieśń rewolucyjną, rozbrzmiewającą potężnym echem na wielkim, cichym placu Zamkowym. Pod kolumną Zygmunta zaczęli krzyczeć:

— Śmierć katom! Hańba Niemcom! Niech żyje Polska!

Żandarmi kopali ich, tłukli kolbami rewolwerów po głowach. Oni tymczasem darli się jeszcze głośniej. Poszli w stronę Krakowskiego Przedmieścia, gdzie na rogu Miodowej czekała już karetka. Śpiewali, wołali: śmierć katom!, wiedzieli bowiem, że jest to ich ostatni skrawek drogi wśród żywych, że są to ostatnie dni, a może godziny ich życia.

Od tamtej pory, ile razy przechodzę Placem Zamkowym, zawsze dźwięczą mi w uszach słowa i melodia tej pieśni: Hej kto Polak na bagnety! . . .

Ale nie: źle mówię. Ta melodia dźwięczy mi w uszach nie tylko na Placu Zamkowym. Wszędzie. I nie tylko mnie. Wszystkim. I nie tylko w Warszawie. W całej Polsce.

LIST CZWARTY

Po kapitulacji Francji

Warszawa, w lipcu, 1940.

Mój drogi,

z poza chmur, które zawisły nad nami od jesieni zeszłego roku, zaczęło już, wiosną, prześwitywać słońce. Cieszyliśmy się promieniami tego słońca, czuliśmy ich ciepło na skroniach i w sercach. Dziś, na niebie naszych nadziei widzimy czarniejsze niż kiedykolwiek chmury. Katastrofa Francji uderzyła w nas jak piorun. We Francji były wszystkie nasze nadzieje. Wierzyliśmy, że Francja uratuje i nas i świat cały. Z upadkiem Francji zawaliły się nasze wielkie nadzieje i zawalił się chyba cały świat. Gdy kolumny niemieckie wjeżdżały w tryumfie do Warszawy, wielu jej obrońców pakowało sobie w głowę ostatnią kulę. Ci uważali, że wszystko kończy się z upadkiem Polski. Ale gdy te same kolumny pancerne przewalały się 14 czerwca pod Łukiem Tryumfalnym w Paryżu, a uliczne odbiorniki radiowe w Warszawie transmitowały tę uroczystość najsmutniejszą ze smutnych, przez Polskę znów przeszła epidemia samobójstw. Ci, którzy tym razem odbierali sobie życie, uważali, że wszystko, absolutnie wszystko kończy się z upadkiem Francji.

Właśnie 14 czerwca popełnił również samobójstwo Stefek Kucharski. Zażył wielką ilość trucizny. Szkoda chłopca. Szkoda każdego kto ubywa w naszej robocie. Ale jego — z jego temperamentem i inteligencją — szczególnie szkoda. Tylko Piotr Palus zareagował na to samobójstwo w sposób jedynie jemu właściwy:

— Tak, szkoda chłopaka — powiedział. — Ale mamy teraz o jednego durnia mniej. Jak można było popełniać samobójstwo z powodu Francji?

Po wydarzeniach na Zachodzie jesteśmy oszołomieni. Ale zrozumieliśmy wiele rzeczy, których do tej pory nie byliśmy w stanie zrozumieć. Teraz dopiero widzimy czym była wojna w Polsce, czym było bohaterstwo żołnierza polskiego. Teraz dopiero widzimy jak lekkomyślnie obciążaliśmy winą za wynik wojny garstkę ludzi, którzy nami rządzili i jak lekkomyślnie szafowaliśmy terminem: kompromitacja. Słowem, jak lekkomyślnie przyjmowaliśmy w skrytości ducha za słuszne to wszystko, co Niemcy pompowali w nas od pierwszych chwil okupacji. Nie zdawaliśmy sobie sprawy z tej potwornej prawdy, że właściwie tylko jedni Niemcy w Europie byli przygotowani do wojny.

Z upadkiem Francji, u nas jakoś dziwnie wszystko uległo zmianie. Pomijam to, że wzmógł się jeszcze bardziej teror niemiecki, że coraz dotkliwiej odczuwamy głód, że sklepy z artykułami pierwszej potrzeby świecą pustkami. Ale zmieniły się nastroje. Na ulicach widać więcej niż dotychczas twarzy przybitych, przerażonych. Odnosi się także takie wrażenie, że przygasł nasz tak wspaniale już rozwinięty ruch podziemny. Tajnych pism wychodzi znacznie mniej. Poprostu nie ma o czym pisać. Pocieszające wiadomości Londynu nie stoją w żadnej proporcji do ogromu klęski po dojściu Niemców do Kanału La Manche. Dziś wszyscy drżymy z obawy o Anglię, która stała się ostatnią nadzieją nie tylko naszą, ale i tylu narodów w Europie.

Francja skapitulowała, a z jej upadkiem prysnęły, jak bańki mydlane, nasze marzenia o Wiośnie i Wolności. Niemcy robią tu wszystko co w ich mocy, aby zohydzić Francję, abyśmy ją znienawidzili za zawód jaki nam sprawiła, aby zabić utajone w sercu każdego Polaka uczucia przyjaźni i sympatii dla Francuzów.

Tak, istotnie, Francja zbyt łatwo upadła i zbyt silnie nas rozczarowała. Ale nie wiem czy znalazł się jeszcze inny naród na świecie, który Francję tak by rozumiał jak Polacy i któryby tak jak Polacy odczuł jej tragedię. Już dziś nie liczymy na Francję. Już wiemy, że armia francuska nie pokona armii niemieckiej i że nasze wyzwolenie nie leży w możliwościach Francji.

Francuzi upadli taksamo jak my. Nie wiem, co mówiono i pisano we Francji we wrześniu i październiku zeszłego roku, kiedy Polska wiła się w śmiertelnych zmaganiach i kiedy wreszcie została pokonana. Ale jakże bardzo pragnąłbym posłać Francuzom zbiór tajnych gazet, wydawanych u nas obecnie. Jakże bardzo pragnąłbym, żeby Francuzi, zrozpaczeni tak samo jak my po wrześniu, posłuchali tego chóru głosów podziemnej Polski o Francji. Przeżywamy boleśnie własną tragedię, ale, oprócz tego przeżywamy razem z Francuzami tragedię Francji. I, jeżeli modlimy się o wolność Polski, to równocześnie modlimy się o wolność Francji. Francja miała w nas zawsze wielkich przyjaciół. Dziś, w nieszczęściu, które wspólnie dzielimy, blask wielkości Francji jest dla nas taki sam jak przed wojną, taki sam jak w miesiącach naszych złudzeń, kiedy wierzyliśmy, że nad Sekwaną zerwie się huragan wolności, który zmiecie totalną niewolę. Wierzymy w zmartwychwstanie wielkiej Polski, podobnie jak wierzymy w zmartwychwstanie wielkiej Francji. Nasz Staszic powiedział sto lat temu: ,,Paść może i naród wielki; zginąć — nie może". My w to wierzymy.

Hitler zapowiada defiladę na Trafalgar Square w Londynie. Zapowiada zdobycie wysp brytyjskich. Szmatławce niemieckie,

ociekające radością i szczęściem, drażnią nas sugestią, że Anglia podda się, bo tylko to jej pozostaje. Ale optymizm Polaków jest tym przysłowiowym Wańką-wstańką, który choć powalony, zawsze stanie równo, głową do góry — i zawsze wstanie odrazu.

— Nie, ten szaniec nie będzie już zdobyty!

Wielkie wydarzenia rozwijają się swoją drogą, a życie codzienne, nasze szare, podłe życie niewolnicze, płynie swoją drogą. Stoję każdego dnia przy swoim wózku z książkami i obserwuję z tego maleńkiego ale jakże czułego na nastroje odcinka, gruntowanie się w Polakach wiary w Anglię. Pomyśl tylko: Polska, Norwegia, Belgia, Holandia, Dania, Francja — zmiażdżone; dzwony niemieckie głoszą wciąż nowe i coraz większe zwycięstwa; Hitler kracze o defiladzie w Londynie, a Polacy w Warszawie zabierają się na gwałt do nauki języka angielskiego!

Niemieccy szefowie kultury umieścili na indeksie tysiące książek, a wśród nich wszystkie bez wyjątku książki w języku francuskim i angielskim, razem ze słownikami i podręcznikami nauki tych języków. Nie przeszkadza to jednak, oczywiście, że ten towar cieszy się największym wzięciem. „Tysiąc słów po angielsku" i samouczek McCalluma doszły już do ceny masła, czyli — każda z tych książek kosztuje około stu złotych. Jakiś uczniak gimnazjalny, który spreparował na powielaczu mały słowniczek angielskiego, sprzedaje mi codziennie 50 egzemplarzy, które idą jak woda sodowa. Słowniki polsko-angielskie osiągają ceny fantastyczne, największa jednak bieda, że jest ich w obrocie tak mało. Taksamo prawdopodobnie dopiero teraz przechodzą swój złoty okres książki o Anglii. Wspaniała monografia Andrée Maurrois „Dzieje Anglii" zniknęła w sprzedaży zupełnie, a liczne egzemplarze kursują od domu do domu i stały się pasjonującą lekturą. Na światło dzienne wyszły jakieś stare, od wieków leżące w zapomnieniu wydawnictwa: opisy Anglii, podróże do Anglii, które są przez Warszawę poprostu połykane.

Oczy Polaków skierowane są na Londyn. Anglia jest od nas tak bardzo daleko, ale dziś jest nam tak bardzo bliska, jest tak bardzo naszą!

Przez jesień, zimę i wiosnę czekaliśmy na ruszenie armii koalicyjnych z Zachodu. Nie pragnęliśmy niczego więcej, jak tylko właśnie rozpoczęcia działań. Że zwycięska lawina przewali się przez Niemcy i dotrze do Polski — tego wszyscy byli pewni, o tym nawet nie rozmawiało się, bo to było zrozumiałe samo przez się. I tej wiosny oczekiwaliśmy niecierpliwie, choć w spokoju ducha.

Przecież licząc na Francję, na odsiecz Zachodu, spodziewaną z wiosną, żołnierz polski trwał jeszcze gdzieniegdzie z bronią w

ręku, staczając ciągle walki z Niemcami, chociaż wojna była od dawna zakończona. Ten żołnierz wiedział, że sam nie pokona potężnego wroga, ale wierzył w przyjście wielkiej pomocy, pragnąc jaknajdłużej, za wszelką cenę, utrzymać się na polu bitwy, dając każdym strzałem świadectwo, że Polska ciągle trwa, że Polska ciągle walczy. Nie wiem, czy mówią Wam coś takie nazwy, jak Szałasy, Samsonów, Mniów, Anielin — nazwy wsi i osad w samym sercu Polski, albo czy mówi Wam coś takie nazwisko jak Hubal? Te miejscowości i to nazwisko wiążą, się z jednym z najciekawszych fragmentów naszej wojny z Niemcami; są niewątpliwie najromantyczniejszym epizodem tej wojny.

Zimą 1939 w Warszawie zaczęły kursować wieści, że w środku Polski, w lasach, ukrywają się liczne oddziały wojska polskiego, które ciągle toczą walki z Niemcami. Padało nazwisko majora Hubala, jako wodza tych oddziałów, padały nazwy różnych miejscowości, w których odbywały się starcia z okupantami. Wreszcie tajne pisma zaczęły drukować rozkazy dzienne Oddziału Wydzielonego Wojska Polskiego, podając jako źródło ich pochodzenia — radiostację polską. W Warszawie, szczególnie wśród młodzieży, wrzało. Gdy o jakimś młodym człowieku mówiono, że pojechał do Kielc albo do Radomia, rozumiało się, że pojechał szukać szeregów walczących. O wojsku Hubala było z każdym tygodniem głośniej. Walki tych żołnierzy, którzy nie złożyli broni i nie zdjęli mundurów, odbijały się w Warszawie wielkim echem i wywierały wielkie wrażenie. Na początku 1940 prasa tajna pełna była opisów walk, które brzmiały jak legenda. W jednym piśmie widziałem mapę terenu walk, na której kółkami oznaczone były dwie miejscowości w pobliżu Końskich: Czarniecka Góra i Barycz. Ze sprawozdania wynikało, że Niemcy zgromadzili tam około dwóch tysiecy wojska. Z bitwy wyszli zwycięsko Polacy, zdobywając kilkadziesiąt samochodów ciężarowych, lekkich czołgów i dużo sprzętu wojennego. Zabito wtedy około trzystu Niemców, raniono znacznie więcej. Podczas mego pobytu w Kielcach opowiadano mi, że zdarzają się dni, w których do Kielc przyjeżdżają korowody samochodów i furmanek z rannymi Niemcami, zwożonymi z miejsc walk z Polakami.

Najgłośniej było jednak o Hubalu na wiosnę, gdy Niemcy, korzystając ze sprzyjającej pogody, chcieli nareszcie zlikwidować to niebezpieczne ognisko, które zachęcało Polaków do tworzenia oddziałów zbrojnych w innych częściach kraju, co, przed kampanią zachodnią, zaczęło trapić okupantów jak zmora. Niemcy przygotowywali się do bitwy od kilku dni, koncentrując znaczne jak na tego rodzaju przeprawę siły, łącznie a artylerią, czołgami i lotnictwem. Bitwa trwała około tygodnia i toczyła się w okolicach Szałas, wśród wielkich lasów, w których Polacy mieli doskonałe zaplecze i osłonę. Radiostacja „Oddziału Wydzielonego"

ciągle pracowała, podając szczegóły bitwy, która jeszcze raz okryła chwałą sztandary Wojska Polskiego, choć to wojsko było przecież od tek dawna pokonane. . . . Bitwa była wielka, straty własne Hubala, w zabitych i rannych, przekroczyły tysiąc ludzi.

Niemcy drogo zapłacili za tę wyprawę, znów tracąc dużo ludzi, dużo sprzętu — i znów nie osiągając zamierzonego celu: wojsko Hubala było już tak liczne i tak dobrze zaopatrzone, że ta tygodniowa bitwa była tylko szczerbą, nie ciosem śmiertelnym. To też całą swoją wściekłość okupanci wyładowali na tych, którzy najbardziej zasilali szeregi Hubala ludźmi i najszczodrzej dopomagali tej garstce wojska produktami żywnościowymi: na mieszkańcach okolicznych wsi. Wiele wsi poszło z dymem, a masa chłopstwa przypłaciła życiem swój patriotyzm. W dwu większych osadach: Mniowie i Samsonowie Niemcy wymordowali wszystkich mieszkańców, domostwa spalili, a wyludnione obszary przeorali czołgami. W Mniowie kazali wykopać dwa wielkie doły, głębokości dwu metrów; wpędzili tam po sześćset osób i wybili granatami. Doły, pełne konających, rannych i zupełnie zdrowych, zarzucili wapnem i zasypali ziemią.

Hubal walczył dalej, ciągle odpierając natarcia niemieckie. Wreszcie tajna prasa podała wiadomość, że 30 kwietnia major Henryk Hubal-Dobrzański poniósł bohaterską śmierć na czele szarży kawaleryjskiej w bitwie pod Anielinem. Uczcił w nim bohatera nawet wróg, wyprawiając mu pogrzeb ze starannym ceremoniałem wojskowym. Nawet żałobnego marsza Chopina grali mu Niemcy nad trumną.

Ale wojsko Hubala nie przestało walczyć po śmierci swego wodza. Komendę objął porucznik Bem. Już wtedy gdy z Zachodu dochodziły echa bitew, po których tyle spodziewaliśmy sie, stoczył on krwawą bitwę pod Huciskami, rozbijając brawurowym natarciem znaczne siły niemieckie, z czołgami, artylerią i piechotą zmotoryzowaną. Straty własne były znów poważne, ale „Oddział Wydzielony" pozostał jeszcze bardzo silny. Bem w rozkazie dziennym po stoczeniu tej bitwy mówił, że przychodzi moment zwrotny w historii obecnej wojny — wolność idzie z Zachodu szybciej, niż się spodziewaliśmy; że po trupie Niemiec przejdzie żołnierz francuski i żołnierz polski do Wolnej Rzeczypospolitej. . . .

Niestety, odsiecz z Zachodu nie przyszła. 29 czerwca, gdy już nie było na co liczyć, Bem wydał rozkaz rozwiązujący szeregi wojskowe Hubala.

Ale to wojsko wywierało ogromny wpływ na umysły ludzi, którzy palili się do jakiejś konkretnej pracy wyzwoleńczej, którzy zazdrościli tym, co mogli walczyć z bronią w ręku i którzy marzyli

o tej walce, czując w niej najrealniejszą drogę do odzyskania niepodległości.

— Zanim wiosna przyjdzie, powinno nas być jaknajwięcej pod bronią! — to było rozumowanie bardzo powszechne, od jesieni aż do wiosny. Ów duch „powstańczy“ był przez szereg miesięcy bardzo zaraźliwy.

W tym właśnie czasie i nasza grupa zaczęła również marzyć o powstaniu. Zaczęło się od tego, że Piotruś Palus oświadczył nam na odprawie organizacyjnej, iż nawiązał porozumienie z jakąś grupą wojskową, która planuje powstanie w Polsce. Rozwinął przed nami perspektywy tego powstania i powoływał się oczywiście na sukcesy majora Hubala. Rozłożył na stole mapę (świetnie skopiowaną mapę sztabową) i mówił:

— Naturalnie to są marzenia, z których może nic nie być. Ale gdy zacząłem myśleć o realizacji tych marzeń, doszedłem do przekonania — chociaż nie jestem żadnym strategiem — że największe szanse powodzenia mogą mieć u nas oddziały powstańcze, mające jako zaplecze Karpaty, a dokładnie: Beskidy Wschodnie. Zdaję sobie sprawę z trudności zorganizowania takich oddziałów i z tego, że jest to w obecnych warunkach rzucaniem się z motyką na słońce. Ale ja nie wierzę w istnienie trudności niepokonalnych, ani nie uważam za rzecz zupełnie pozbawioną sensu wybieranie się z motyką na słońce. Wystarczyłoby, moim zdaniem, opanować niewielki obszar w Beskidach Wschodnich — powiedzmy, że tylko ten klin, wbijający się w Sianki, którego jedna ściana opiera się o granicę sowiecką, a druga o węgierską. Zaopatrzenie, broń, amunicja — to rzecz drugorzędna, gdyż wszystko dostaniemy z Francji. Myślę, że taka armia partyzancka mogłaby posiadać dość silne lotnictwo, które w ciągu krótkiego czasu mogłoby popędzić Niemców z tego trójkąta, otwierając nam obszar od Sanoka do Dukli i Gorlic. Byłby to pierwszy skrawek Niepodległej Polski, na którym szybko zgromadziłyby się tysiące polskiego wojska. . . .

Wykład Piotrusia wywarł niezwykłe wrażenie. Romek, skłonny bardziej niż każdy z nas do entuzjazmu, zamienił się w słuch; widziałem, jak oczy zachodziły mu łzami.

Po jakichś dziesięciu dniach, Piotr znów mówił w tej sprawie:

— Organizacja powstania jest na dobrej drodze. Byłem z dowódcą grupy wojskowej, porucznikiem Stefanem w Nowym Sączu, Jaśle, Krośnie, Gorlicach, Dukli, Sanoku i w Haliczu. Jestem oczarowany postawą ludzi w całej tej okolicy. Nawet stare baby we wsiach mówią, że już nie chcą w życiu niczego więcej, tylko tej biedy, która była przed wojną, byle tylko polskiej. . . .

Jednak, jak wiele rzeczy pięknych, jak wiele marzeń, prysło i to. Okazało się, że organizacja porucznika Stefana była za słaba na podjęcie tego zadania. Nic też nie pomógł wielki zapał

Piotrusia, któremu zresztą, jak ciągle skarżył się, pompowano w głowę na lewo i na prawo, że to niepotrzebne, że to za wcześnie, że na wiosnę wszystko się skończy, że szkoda każdego człowieka, który miałby paść w tych walkach.

Pomyślisz sobie zapewne, że nam dziwne pomysły chodzą po głowach, że myślimy jak dzieci, niepoważnie. Że takie rzeczy są nierealne. Nie będę się temu dziwił. Ale musisz zrozumieć jedną rzecz istotną: innymi oczami patrzycie na rzeczywistość naszą wy wszyscy, ludzie wolni, a innymi my, niewolnicy. Dla więźnia każdy promień światła przenikający przez szparę mrocznej celi jest szczęściem i radością; człowiek żyjący w świecie wolnym, w pełnym świetle dnia i słońca, nie stara się nawet widzieć pojedynczych promieni. Wy, wygnańcy, też wprawdzie jesteście nieszczęśliwi. Ale znów: inne jest nieszczęście tęsknoty, a inne zupełnie nieszczęście niepewności dnia ani godziny, w której zakładać będą stryczek na szyję, albo postawią w szeregu skazanych, przed lufą karabinu maszynowego. Dlatego nie będę się dziwił, jeśli nawet pomyślisz, że my tutaj jesteśmy naiwnymi głuptasami, nie zdającymi sobie sprawy z tego, że sami siebie ośmieszamy naszymi pomysłami. Ale my tacy już jesteśmy: zapalamy się do przedsięwzięć najbardziej — na zdrowy rozum — nierealnych i niecelowych. Być może jednak, że to wszystko co robimy, przeżywasz taksamo jak my; że nas rozumiesz taksamo jak my siebie rozumiemy i jak my Was rozumiemy.

Myślę, że z tego co do tej pory napisałem Ci o Piotrusiu Palusie urobiłeś sobie właściwe pojęcie o umysłowości i charakterze naszego dawnego linotypisty. W naszej grupie Piotruś odgrywa rzeczywiście znaczną rolę. Ale, jakby tej pracy było mu jeszcze mało, od kilku tygodni współpracuje z jedną z czołowych organizacyj polskich. Piotruś, moim zdaniem, wyrabia się na jednego z najwybitniejszych przewódców ruchu podziemnego.

Przypominam sobie tego chudego, wysokiego chłopca, o czarnej, gęstej czuprynie i czarnych, pełnych życia oczach, który jeszcze niedawno pukał nieśmiało do mego pokoju redakcyjnego i mówił na przykład:

— Panie redaktorze, czy koniecznie musi iść ta notatka o bezdomnym, nigdzie nie meldowanym, który wyrwał jakiejś damie torebkę z ręki? Przecież za to nie on powinien iść do więzienia tylko minister pracy. . . .

Czasem nocą, gdy miałem dyżur, zapraszałem Piotrusia na kawę i pogawędkę. Prawie każde jego zdanie czerwieniło się rewolucją.

— Weźmy taką naszą budę — mówił. — Pracujemy dzień, noc, staramy się, zresztą musimy się starać, bo inaczej wyrzuciliby

naş na bruk. Właściciele zbijają w ciągu roku ponad półtora miliona złotych dochodu. Kupują sobie majątki, bawią się w najdroższych lokalach, trwonią pieniądze zagranicą. Nie chcę, żeby taki dochód miał być podzielony między nas. Ale ile możnaby za to wybudować szkół, ochronek, szpitali, przytułków dla bezdomnych, czy też ile możnaby wydrukować dobrych książek, żeby je rozdzielić darmo po wsiach. . . .

Minął już chyba rok od tych rozmów, w których zresztą nieraz i Ty brałeś udział. Piotruś nie zmienił dzisiaj swoich przekonań społecznych. Przeciwnie, stał się apostołem idei rewolucyjnej, dążącym do oparcia odrodzonej Polski o ustrój szczerze demokratyczny. I stał się bojownikiem o niepodległość państwa. W całej naszej grupie wszyscy są cenni i niezastąpieni. Ale nie ma człowieka, któryby w tę robotę wkładał tyle wprost nadludzkiego wysiłku, co Piotruś. Nieraz, gdy po kilku nocach nieprzerwanej pracy ma jedną noc wolną, właśnie tej nocy zjawia się u mnie w mieszkaniu z jakimś nowym pomysłem, który nie daje mu spać. Wymyślam mu od idiotów i oczywiście zmuszam go, żeby się przespał. Rozkłada się na kanapce albo w moim łóżku. A rano, gdy tylko obudzę się, pociesza mnie:

— Dobrze, że nie mogłem usnąć. . . . Całkowicie zmieniłem mój pierwotny plan. . . .

Od początku okupacji zawsze na coś czekamy, zawsze spodziewamy się czegoś. Teraz zaczynamy patrzeć na wschód, wsłuchując się, kiedy padną tam pierwsze strzały. Nie wiemy wprawdzie jak przygotowują się Rosjanie, ale Niemcy budują wzdłuż granicy kilka pasów fortyfikacyjnych. Będąc pod Lublinem, oglądałem z daleka potężne forty betonowe i rowy przeciwczołgowe, które nawet nie były maskowane. Piotruś, po przyjeździe z terenu, na którym miało się organizować jego powstanie, opowiadał, na podstawie relacyj miejscowej ludności, że pewnej nocy Niemcy i Rosjanie „dyskutowali" poprzez granicę, przy pomocy karabinów maszynowych; miało to być, rzekomo, w odpowiedzi na rzucenie granatu sowieckiego na niemiecki posterunek graniczny. (Ten wypadek Piotruś opisał szczegółowo w jednym z numerów naszej „Warszawianki".) A więc wierzymy, że niedługo dojdzie do wojny Niemców z Rosją. Ale nie wierzymy już, aby wojna skończyła się niedługo i aby niebawem nastąpiło nasze wyzwolenie. Niebo zaniosło się chmurami. Widzimy tylko czarne, przewalające się nad nami nawałnice.

Narazie sprawdza się smutne proroctwo pana Dolskiego. Rzeczywiście, wywróżył Francji taki los, jaki ją spotkał. Żadnej usługi nie oddała Francji linia Maginotta, a może istotnie zgubiły ją te trzy, wymienione przez Dolskiego rzeczy: wino, magazyny jubilerskie i Blum? Z obawą myślę o dalszych jego proroctwach:

o wojnie siedmioletniej i . . . czterdziestoletniej. Z takim starym idiotą nigdy nic nie wiadomo: może mieć rację. Zresztą od dawna przekonałem się, że najczęściej mądre rzeczy mówią ludzie, uważani za głupich.

Któregoś dnia, gdy byłem zajęty klientami, pan Dolski poklepał mnie po ramieniu.

— Dzień dobry panie Karpiński! A co, nie mówiłem? A widzi pan. Ot co. Dolski powiedział i święte.

Dolski nazywa mnie panem Karpińskim, ponieważ kiedyś, gdy przedstawiał mi się, musiałem przecież powiedzieć jakieś nazwisko. Więc powiedziałem:

— Karpiński się nazywam. . . .

Wtedy, pamiętam, pan Dolski zaczął mi wymieniać po kolei conajmniej dwudziestu jego znajomych Karpińskich, przyczym utrzymywał, że niejaki Arnold Karpiński, urzędnik VIII kategorii Sądu Apelacyjnego, był bardzo do mnie podobny. Stąd ustaliliśmy, że Arnold Karpiński był moim stryjem.

Nigdy nie obeszło się bez wynurzeń staruszka Dolskiego na tematy polityczne.

— Pan myśli, że Anglia pokona Niemców? Eh, panie Karpiński, mówię panu, że to bajka. Niemcy zostaną pokonane przez Rosję. Zobaczy pan. A wojna Hitlera ze Stalinem wisi na włosku, tylko patrzeć jak się rozpocznie. Mówię panu, panie Karpiński, Rosja to wielka potęga; z nią tak łatwo nie pójdzie. Przecież pamiętam, jak byłem jeszcze urzędnikiem w Odesie. . . .

Po dłuższych wywodach na temat pracy w dyrekcji kolejowej w Odesie, pan Dolski zaczął oceniać aktualną siłę Rosji:

— Przez dwadzieścia parę lat nie dojadali, źle mieszkali, a za to były budowane fabryki i była wyrabiana broń. Zobaczy pan, panie Karpiński, jaka Rosja jest silna. Jeszcze my będziemy mieli bolszewików w Warszawie, a Niemcy będą ich mieli w Berlinie, a kto wie czy Rosjanie nie dojdą do Paryża. I to nie później jak w ciągu siedmiu lat, licząc od 1 września 1939. Zobaczy pan, panie Karpiński; to panu Dolski mówi. . . .

Niemcy od pierwszych dni okupacji byli butni i barbarzyńscy. Teraz, po upadku Francji, ich buta wzrosła stokrotnie. Był wprawdzie krótki okres, na początku kampanii francuskiej, gdy Polacy poprostu na ulicach poszturchiwali Niemców łokciami. Ale to trwało bardzo krótko. Tą naszą postawą, naszą „butą", dawaliśmy okupantom do zrozumienia, że jesteśmy przekonani o ich klęsce i ufni w zwycięstwo Francuzów. Obecnie oni czują się już zupełnie pewnie. Jesteśmy tylko igraszką w ich krwawych łapach.

Niedawno wypuścili z więzienia na Pawiaku jednego mego znajomego, który siedział tam jako „zakładnik", wzięty 10 listo-

pada, w przeddzień święta niepodległości. Wypuszczony został, razem z kilkoma innymi, na skutek . . . amnestii po zwycięstwie nad Francją. Opowiadania jego są tak koszmarne, że poprostu trudno w nie uwierzyć. A jednak są prawdziwe. Pawiak pozostanie w historii tej okupacji symbolem naszego męczeństwa.

Cele są tak nabite więźniami, że nieraz całymi tygodniami nie ma gdzie już nietylko spać, ale nawet siedzieć. Ciągle odbywają się badania, polegające właściwie na ponownym zbiciu i zmaltretowaniu badanego. Cele niemal systematycznie nawiedzane są przez pijane żołdactwo, które znęca się nad więźniami w najbardziej wyrafinowany sposób. Szczególnym wyróżnieniem darzą te dzikie bestie cele kobiece, w których odbywają się haniebne sceny gwałtów i bicia, kończące się nierzadko śmiercią ofiar. Inni żołdacy przychodzą znów z psami policyjnymi, które wpuszczają do cel i szczują na więźniów, bawiąc się widokiem rozrywania ludzi, wyszarpywania kawałami ciała, napawając oczy widokiem krwi i przerażenia więźniów, a uszy bezsilnym krzykiem.

— Najsmutniejsze wrażenie czynią dzieci — opowiadał mi były więzień Pawiaka. Męki zadawane małym dzieciom są naprawdę straszne. W mojej celi byli trzej chłopcy — dwaj po dziewięć lat i jeden dwunastoletni. Dwaj pierwsi siedzieli jako zakładnicy za swoich ojców, którzy nie zgłosili się na wezwanie Gestapo i następnie uciekli, a ten dwunastoletni za zdarcie afisza „Anglio, twoje dzieło!“. Dzieci te zachowywały się w więzieniu z rozbrajającym spokojem i cierpienia znosiły może nawet bardziej męsko niż niejeden mężczyzna. Płakały tylko przez pierwszych kilka tygodni. Później, żaden z chłopców nie płakał nawet wtedy, gdy dozorca więzienny wciągał ich półprzytomnych, okrwawionych, po biciu na badaniu. Jeden z nich, dziewięcioletni Karolek, chłopczyk o cudownych, naprawdę dziecięcych oczach niebieskich, syn wyższego oficera, zmarł pewnej nocy, bezpośrednio po przyniesieniu go z badania. Pytaliśmy go, co im odpowiada. „ — Nic, tylko to, że chociaż mnie zabiją, to i tak nie powiem nic ani o tatusiu, ani o mamusi, ani o nikim“. Ci, którzy wzywani byli z celi między czwartą a piątą rano, nigdy już nie wracali. Mieliśmy zwyczaj żegnać ich na zawsze; wiedzieliśmy, że idą na stracenie. Pewnego dnia o świcie wywołali z naszej celi trzy nazwiska. Między innymi: Pawlak Tadeusz! To właśnie ten dwunastoletni, który zdarł afisz na ulicy. Dawno nie widziałem łez w zagasłych oczach tego dzieciaka. Dopiero teraz zaczął płakać i powtarzał cicho, jakby nie chciał budzić tych, którzy spali: „ — Mamusiu najdroższa, mamusiu kochana. . . .“ Od początku opiekowałem się nim, jak własnym dzieckiem, pokochałem go i, naprawdę, wolałbym, żeby wtedy wywołali byli moje nazwisko. Dzieciak

rzucił mi się na szyję, powtarzał to jedno słowo: „ — Mamusiu!“, a gdy dozorca wywołał jeszcze raz jego nazwisko, popatrzał mi w oczy i powiedział: „ — Pan wie, gdzie ja teraz idę . . . .“ „Wiem“ — odpowiedziałem. Pocóż miałem go pocieszać, czy oszukiwać. Istotnie, Pawlaka Tadeusza, którego nazywaliśmy w celi Dzidkiem, nie zobaczyliśmy już nigdy więcej.

System badań na Pawiaku przechodzi wszelkie wyobrażenie o zbrodni i sadyźmie. Bicie odbywa się prętami żelaznymi, po powieszeniu za nogi u sufitu, a często połączone jest z laniem wody do nosa. Nietylko młodzi gestapowcy, ale i starzy, siwi Niemcy rozkoszują się stosowaniem takich metod, jak wbijanie za paznokcie rozpalonego drutu, wlewanie za szyję kubka wrzącej wody, przymocowywanie bosych nóg do płyty żelaznej, która nagrzewa się elektrycznością, zmuszanie do jedzenia kału ludzkiego — itd. itd. Najkrócej trwa z reguły badanie tych, którzy posądzani są o utrzymywanie stosunków płciowych z Niemkami i Żydów, posądzanych o utrzymywanie takich stosunków z aryjkami. Po straszliwym zmasakrowaniu takich ludzi, poddawani oni są operacji wyrzynania narządów płciowych. Ci ludzie nie siedzą nigdy długo w celach, a po pierwszym wezwaniu na badanie już nigdy nie wracają do współwięźniów.

Nie mniej zwyrodniałym torturom poddawane są kobiety. Stara, niemiecka tradycja, jeszcze z tamtej okupacji, nakazuje zbrodniarzom prowadzącym śledztwo, gaszenie niedopałków cygar o piersi i podbródki ofiar. Również stara tradycja nakazuje im grać na najczulszych u kobiety instynktach macierzyńskich. A więc naprzykład, badanie rozpoczyna się od pokazania kobiecie fotografii jej dziecka, trzymanego na rękach Niemca i równocześnie innych fotografii: dzieci pomordowanych za to, że ich matki nie chciały złożyć prawdziwych zeznań. Ale, oprócz tego, kobiety poddawane są tym samym systemom zbrodniczych tortur co i mężczyżni.

Gdy wspominam o Pawiaku, rysuje mi się jeszcze przed oczami scena, którą opowiadał mi ktoś z personelu więziennego. Otóż, w jednej z cel siedziało kilku chłopców, po siedemnaście i osiemnaście lat, złapanych na kolportowaniu tajnego pisma. Na parę minut przed egzekucją, każdego z nich pytano, jakie ma ostatnie życzenie. Ten, którego pytano na końcu, odpowiedział spokojnie:

— Moje życzenie nie może być spełnione, bo największym moim pragnieniem byłoby zabicie własnymi rękami przynajmniej jednego Niemca. . . .

Wydaje mi się, że dla pełnego wyrażenia zbrodniczości Niemców, nie wynaleziono jeszcze odpowiedniego słowa w żadnym języku świata. Pomyśl tylko, ile w Polsce jest takich Pawiaków. Pomyśl, ilu ludzi cierpi, i pomyśl, że cierpienia te są za to jedno przestępstwo, że jesteśmy Polakami.

Chociaż nie! Bądźmy dokładniejsi: cierpimy za to, że przegraliśmy wojnę, którą musieliśmy toczyć sami jedni przeciw dwu potęgom, z których jedna jest naszym śmiertelnym wrogiem, a druga. . . .

Napewno będę w zgodzie z rzeczywistością, gdy powiem, że cień Pawiaka przesłania całe nasze dzisiejsze życie. Każdy czeka swojej kolejki. Bo dla nas, w Warszawie, droga na tamten świat prowadzi przez Aleję Szucha, na której mieści się centrala Gestapo, przez Pawiak, lub przez jakiś obóz koncentracyjny.

Używam słowa „życie" i sam się uśmiecham. Bo pod pojęciem „życie" rozumiemy przecież zupełnie co innego. Ah, pieskie, nieprawdopodobnie parszywe życie niewolników!

Opieram się czasem o mur przed moim sklepem na kółkach i obserwuję Niemców, tych którzy są elegancko ubrani, którzy przyglądają się ulicznym galeriom obrazów, którzy kupują dla swoich dam kwiaty, którzy uśmiechają się, którzy pieszczą psy; tych, którzy spacerują Bracką, Alejami Jerozolimskimi, Kruczą, Szpitalną. I zastanawiam się, kto tych ludzi właściwiej symbolizuje: Goethe, Beethoven — czy Upiór z Düsseldorfu i Himmler? I dochodzę do wniosku, że wyrazicielami duszy narodu niemieckiego są ci dwaj ostatni. Przecież najwięksi zbrodniarze czekający na egzekucję, również mają kształty ludzkie, również ubierają się jak inni ludzie, również lubią kwiaty i również potrafią kochać muzykę i poezję. Natura była niesprawiedliwa. Odróżniła wyraźnie psa od wróbla czy krowy, ale zbrodniarza czy hieny ludzkiej nie odróżniła od człowieka.

Gdy kot chwyta na ulicy wróbla, patrzymy na to ze wstrętem i mówimy: wprawdzie koty są oswojone, ale jeszcze trochę dzikie. A teraz, jaka jest różnica w pojęciu dzikości: Oto ulica Nowy Świat, w pobliżu Alei Ujazdowskich. Niedziela. Południe. Dużo słońca. Młoda, ładna dziewczyna idzie z młodym człowiekiem — może mężem, może narzeczonym. Trzymają się pod ręce, idą wolnym krokiem i po oczach obojga widać, że się kochają. Ulicą przejeżdżają samochody — również spacerem, bo to dzielnica parków i ogrodów. Jeden z samochodów, zatrzymuje się tuż przed młodą parą. Wyskakują dwaj oficerowie niemieccy. Jeden uderza pięścią w twarz młodego człowieka, drugi porywa dziewczynę i siłą ciągnie do samochodu. Samochód odjeżdża. Na ulicy zostaje echo wrzasku dziewczyny i oniemiały człowiek, który nie wie co ma z sobą zrobić. Trzyma jeszcze w ręce beret swojej najdroższej.

Widziałem tę scenę sam, od początku do końca. I pytam: czy ta dzikość jest inna niż zwierzęca?

Goethe i Upiór z Düsseldorfu. Mieszkam obecnie na Żoliborzu. Okna mojego mieszkania wychodzą na willę, w której mieszka

jakiś dygnitarz niemiecki. Długi czas nie widziałem go i nie wiedziałem kim jest. Aż latem, gdy w ogródku jego willi rozkwitły kwiaty, zacząłem go widywać ze swego okna codziennie wieczorem. Chodził w szlafroku, z konewką w ręku. Podlewał kwiatki i grzebał się w ziemi. Potem widziałem jak na drzewach przybijał deseczki aby karmić tam wróble, jak dokazywał z psem. Wreszcie zacząłem go widywać w oknie, jak sypał pokarm do akwarium ze złotymi rybkami. Moja służąca mówiła mi, że to musi być wyjątkowo dobry i porządny człowiek. Że on napewno nie jest taki zły jak inni Niemcy. Radziła mi nawet, gdy aresztowano kogoś z mojej rodziny, żebym popróbował interwencji u niego, z tytułu sąsiedztwa. Z czasem służąca doniosła mi, że mój sąsiad nazywa się Otto Schubert. Tyle o nim wiedziałem. Aż kiedyś dowiaduję się z raportu naszej organizacji, że dla uśmierzenia gorących nastrojów w Radomiu, z Warszawy wysłany został do Radomia jeden z najkrwawszych katów niemieckich, SS-Obergruppenführer Otto Schubert. . . . Od tej pory istotnie mój sąsiad nie pokazywał się już w szlafroku w ogródku. Wyjechał do Radomia!

Oto dusza Niemca. Oto jeszcze raz maska poety na twarzy zbrodniarza.

Wszyscy Niemcy są jednakowi. Pozornie mogą czynić miłe wrażenie. Ale gdybym naprzykład był w stanie wywieźć wszystkich Niemców gdzieś w morze, wszystkich absolutnie: razem z dziećmi, kobietami, poetami, malarzami, wynalazcami — i zatopić ich, nie wahałbym się ani jednej sekundy i zrobiłbym to. Spełniałbym ten czyn z przeświadczeniem, że tracę kilkadziesiąt milionów zbrodniarzy, że tracę naród — łotra.

Dlatego też zadziwiające jest, że mimo tej całej bandyckiej krwiożerczości Niemców, nasze społeczeństwo umie swoją pogardę nietylko kryć w sercach, ale okazywać ją wyraźnie w życiu codziennym. Że lęk przed śmiercią nie ugina równocześnie naszych kolan przed tymi, którzy nas mordują.

Pierwszym, wyraźnym świadectwem postawy Polaków wobec Niemców, było wywieszone w listopadzie 1939 ogłoszenie o rozstrzelaniu dwu Polek. Zdarłem sobie tę kartkę na pamiątkę. Oto jej treść:

„Obwieszczenie. Wyrokiem Polowego Sądu Wojennego skazano na śmierć: wdowę Eugenię Włodarz oraz studentkę Elżbietę Zahorską za zamach na żołnierza niemieckiego, względnie sabotaż, t. zn. zrywanie plakatów. Warszawa, 3.11.1939. Komendantura".

Ta postawa wobec okupantów jest niezmiernie kosztowna. Los tych dwu kobiet podzieliły już tysiące innych i wiele tysięcy mężczyzn — i bardzo dużo dzieci. Wy, którzy jesteście teraz

rozsiani po całym świecie, często napewno kierujecie myśli do kraju i przede wszystkim pragnęlibyście wiedzieć, jak wobec żołdactwa niemieckiego zachowują się kobiety polskie. Zapewne wierzycie, że z godnością, ale mimo to, gdzieś na dnie serc Waszych tkwi odrobina nieufności: czy aby każda kobieta polska zachowała uczucie pogardy dla najeźdźców? . . .

Chciej mi wierzyć: z całą pewnością — tak! Polka, pozostawiona własnemu losowi, skazana na ciężką walkę o byt napastowana dzień w dzień przez rozpasane żołdactwo, prześladowana, męczona, teraz właśnie w tych najcięższych w naszych dziejach chwilach, okazuje swoją wartość, swoją prawdziwą wielkość. I właśnie kobieta, może częściej i dosadniej niż każdy z nas, mężczyzn, przypomina Niemcom dzień po dniu — swoją postawą, swoim zachowaniem się — że cała nasza śmiertelna nienawiść do nich jest ciągle jednakowa; że to uczucie wstrętu, pogardy dla całego narodu niemieckiego pali się w naszych sercach wielkim płomieniem.

Niedawno siedziałem w kawiarni, założonej i prowadzonej przez aktorki filmowe i teatralne. Panie, które niedawno jeszcze spędzały znaczną część życia w studiach filmowych i na scenach teatrów, ubrane są teraz w maleńkie haftowane fartuszki, a przez ramię, na kolorowym sznurku mają zawieszone torby na pieniądze. Są kelnerkami. Wszystkie są ładnie uczesane, mają śliczne twarze i zgrabne figury. Prawdopodobnie każda z taką samą staranością o siebie występuje tutaj, na sali kawiarnianej, jak niegdyś występowała „w świetle kinkietów". Piję kawę, przeglądam gazety — „Krakauer Zeitung", „Nowy Kurier Warszawski" — gdy nagle w kawiarni powstaje zamieszanie. Przy stoliku pod oknem siedziało dwu oficerów w eleganckich mundurach i z orderami na piersiach. Obaj mieli twarze jak czerwony plusz na starej kanapie i oczy bestii. Kelnerka podawała kawę i jeden z nich zachował się wobec niej wyzywająco. Wtedy odruchowo uderzyła go w twarz. Wściekły Niemiec sięgnął machinalnie po rewolwer, ale po chwili schował go, zaklął i obaj wybiegli na ulicę.

Romek był świadkiem podobnego zajścia w innej kawiarni, które niestety skończyło się tragicznie. Oficer niemiecki, spoliczkowany przez kelnerkę, zastrzelił Bogu ducha winnego . . . szatniarza!

W pierwszych miesiącach okupacji drukowano apele do kobiet, aby pamiętały o swej godności; grożono stworzeniem „czarnej listy". Ale już sam pomysł tej akcji był obrażający. Polki nietylko pamiętały o swej własnej godności, ale na równi z mężczyznami garnęły się do pracy niepodległościowej, stając bardzo często na najodpowiedzialniejszych i najniebezpieczniejszych posterunkach.

Wybacz mi to zestawienie w jednym szeregu — ale w Warszawie nawet prostytutki nie oddawały się spontanicznie Niemcom. Słyszałem kiedyś jak taka panienka powiedziała do przyjaciółki o innej panience:

— Ona ma forsę, małpa jedna, bo chodzi ze szkopami!

Mówiąc o tej kategorii kobiet, przypominam sobie wspaniałą scenę, jaką widziałem wczesną wiosną na ul. Złotej, w pobliżu Żelaznej. Żołnierz niemiecki szedł pod rękę z dziewczyną tego rodzaju. Oboje byli porządnie zawiani. On miał kołnierz płaszcza rozpięty, czapkę na bakier i obrzydliwą gębę. Ona nieludzko wymalowana i wyperfumowana. Zataczali się na całej szerokości chodnika. Ona śpiewała głośno, po polsku oczywiście:

— Nie będzie Niemiec pluł nam w twarz. . . . Twierdzą nam będzie każdy próg. . . . Tak nam dopomóż Bóg. . . .

Niemiec szczerzył zęby z zachwytu. Nie rozumiał ani słowa. Był szczęśliwy, że „najdroższa" jest muzykalna i śpiewa mu serenadę.

Niemcy doskonale orientują się w uczuciach, jakie żywią dla nich Polki. Dlatego starają się zmienić te uczucia . . . siłą. W tym celu urządzają specjalne obławy, właśnie na kobiety. Dziś, gdy młoda kobieta wychodzi z domu, nigdy nie ma pewności, że powróci. Niedawno, poprostu w mgnieniu oka porwano z ulicy, sprzed domu „Polonii" w Alejach Jerozolimskich, kobietę, która wyszła na spacer z małym dzieckiem w wózeczku. Ona uprowadzona została do samochodu, a dzieckiem, jak normalnie w takich wypadkach, zaopiekowała się policja. Na Żoliborzu, w moim domu, kobieta wyszła rano do sklepu po mleko — i nie wróciła. O przerażającym wypadku opowiadał mi kilka dni temu Piotruś. W sąsiedztwie jego domu mieszkała wdowa z dwiema córkami — siedemnastoletnią i dwudziestoletnią. Któregoś dnia wieczorem pod dom podjechał duży samochód ciężarowy. W domu wdowy była właśnie kolacja, gdy odezwał się dzwonek. Weszli dwaj wojskowi. Sprawdzili tylko nazwiska — i kazali się ubierać obu dziewczętom. Nie pomógł opór ani ich, ani matki. Uprowadzili dziewczęta siłą.

W ten sporób powstały w Polsce żołnierskie domy publiczne.

Niemiecka organizacja teroru i zbrodni przechodzi wszelkie wyobrażenie ludzkie. Gdy kiedyś w przyszłości Niemcy będą głosili światu, że ich zbrodnie zrodziły się jedynie w fantazji Polaków, świat będzie skłonny w to uwierzyć. Bo zbrodniczość niemiecka jest tak straszna, tak nieprawdopodobna, że uwierzyć w nią może tylko ten, kto jej doświadcza, właśnie tak, jak doświadcza cały naród polski.

Zresztą, jeśli okupacja niemiecka miałaby potrwać w Polsce

czas dłuższy, świat nie będzie wiedział całej prawdy o zbrodniach niemieckich. Bo nie będzie już miał kto mówić o tych zbrodniach.

LIST PIĄTY

Europa XX wieku

Warszawa, we wrześniu 1940.

Mój drogi,

minął rok, jak Warszawa broniła heroicznie wolności, niepodległości i honoru Polski. Nie wszystko przegrała. Obroniła honor. Nie wiem, czy mam powiedzieć, że to *już* rok temu, czy też, że to *dopiero* rok temu. Ten czas zleciał bardzo szybko. Jeszcze dziś dźwięczą mi w uszach syreny alarmowe i skandowane słowa: „zarządzam alarm lotniczy dla miasta Warszawy!" Jeszcze dziś widzę nasze życie przedwojenne, pełne szczęścia, pogody, radości. Ale znów ciężar tego minionego roku jest taki, że wydaje mi się, iż koszmar okupacji trwa lata długie, może dziesiątki lat. Ileż w ciągu tego czasu zmieniło się, ileż tragedii przeżył każdy z nas! My już chyba nigdy nie zaznamy radości życia. Już chyba nigdy twarze nasze nie będą uśmiechnięte. Nasze dzieci nie mają dzieciństwa, młodzi ludzie nie mają młodości. Strasznie postarzeliśmy się w ciągu tego roku.

Kilka dni temu pochowaliśmy Romka Radwańskiego. Tak, przyjaciel nasz nie żyje. Jest jedną z ofiar wielkiej obławy lipcowej, w której złapano i wywieziono z Warszawy conajmniej pięć tysięcy mężczyzn. Po miesiącu była od niego wiadomość z Oświęcimia. Siedział w obozie koncentracyjnym, jako przestępca polityczny i miał numer 17.300. Mogę przysiąc, że nie znaleziono wówczas przy nim nic, co obciążałoby go. Wkrótce po tym brat jego, mieszkający w Skierniewicach, otrzymał depeszę od komendantury obozu. Że zmarł, że ubranie jego odesłano, że ciało spalono w krematorium, a prochy mogą być wysłane po załatwieniu na miejscu, w Skierniewicach, formalności cmentarnych i policyjnych, oraz po przekazaniu na rachunek obozu sumy siedmiu marek. Brat Romana przysłał mi telegraficznie wiadomość, że prochy nadeszły z Oświęcimia. Pojechałem do Skierniewic. Zastukałem do drzwi. W domu zastałem nastrój żałobny; więcej niż żałobny.

Na stole, nakrytym białym obrusem, leżała trumna, wypełniona kwiatami. U wezgłowia, na poduszeczce, była meleńka urna, nakryta czerwoną chustką. Dlaczego ta urna była nakryta,

dlaczego czerwoną chustką i dlaczego właśnie czerwoną — nie wiem. Przed trumną paliły się dwie świece i stali lub klęczeli różni ludzie. Jeden z obecnych podniósł na chwilę część chustki, pod którą zobaczyłem puszkę blaszaną, jak od pasty do podłóg, przepasaną białą banderolą z pieczęcią ze swastyką, wyglądającą tu jak obrzydliwy pająk. Nie byłem w stanie odezwać się ani jednym słowem. Gryzłem wargi do krwi. Lekką trumnę, pełną dużych wiązanek kwiatów, zanieśliśmy na ramionach, we czterech, na cmentarz.

Brat Romana opowiadał mi, że prochy przysłane zostały jako zwykła przesyłka pocztowa. Tak samo pocztą przyszło ubranie, które było pocięte, podarte i miało w wielu miejscach plamy krwi.

Zawdzięczam to swemu wielkiemu szczęściu, że list ten piszę do Ciebie. Bo i ja omal nie podzieliłem losu Romka. Siedziałem któregoś dnia w kawiarni, w której miałem z kimś spotkanie. Nagle wpadli Niemcy, obstawili wyjścia i wszystkich mężczyzn zabrali do samochodu ciężarowego, który stał już pod domem. Po drodze zbierali z różnych lokali nowe partie ludzi. Z jakiegoś baru wytaszczyli siłą starszego człowieka, bijąc go i kopiąc. Zawieźli nas do Uniwersytetu Warszawskiego, w którym mieści się obecnie pancerny pułk policyjny.

Miałem przy sobie dużo dokumentów, ale ani jednego autentycznego. Każdy papierek był fałszywy. Nie mogłem pozbyć się tego balastu i dlatego byłem przekonany, że życie moje wisi na włosku. Cały wieczór i całą noc staliśmy pod gołym niebem w dwuszeregu, z rękami założonymi na głowę. Policjanci niemieccy ciągle oświetlali nas latarkami i tłukli po plecach kolbami karabinów albo kopali, gdy ktoś opuścił na chwilę ręce, albo oparł się o drugiego. Nazajutrz rano kazano nam stanąć na baczność do przeglądu. Podoficer policji mówił do nas potwornym językiem polskim:

— Czy jest może wśród was Reichsdeutsche?

Milczenie.

— Cudzoziemiec?

Milczenie.

— Volksdeutsche?

— Ja jestem! — odzywa się płaczącym głosem i podnosi rękę ów starszy człowiek o figurze beczki piwa, który nie dawał się zabrać do samochodu. Byliśmy przerażeni swoim losem i zmordowani długim staniem, ale wszyscy niemal wybuchnęliśmy śmiechem. Podoficer spojrzał na nas surowo i poklepał znacząco futerał rewolweru. Zabrał z sobą Volksdeutscha i poszedł do budynku. Wywoływanie Reichs- i Volksdeutschów po takich obławach, wynika niewątpliwie stąd, że w czasie obławy może

istotnie zaplątać się jakiś Niemiec, nie posiadający żadnych odznak ani dowodów.

Po chwili sierżant znów stanął przed nami:

— Czy ktoś z was pracuje w jakiejś instytucji niemieckiej?

Krew uderzyła mi do głowy. Pomyślałem sobie: trzeba postawić wszystko na jedną kartę.

— Jestem! — odpowiedziałem i podniosłem rękę.

Podszedł do mnie. Wyjąłem z kieszeni dokument, stwierdzający, że pracuję w „Ostbahnie". Zaprowadził mnie do kancelarii, pełnej policji. Na ścianach, naprzeciw siebie, wisiały portrety Hitlera i Franka. Tu zaopiekował się mną już inny Niemiec. Kazał mi wyjąć wszystkie dokumenty, jakie posiadam. Wyjąłem. Było tego dosyć dużo. Teraz kazał mi wejść do następnego pokoju, w którym, na ławce, siedział tylko jeden człowiek; ów równie gruby jak zmartwiony Volksdeutsche. Siedziałem około godziny. Tymczasem grubasa wawołano.

Ten sam Niemiec, któremu zostawiłem moje dokumenty, otworzył drzwi i kiwnął na mnie. Znów stanąłem przed ladą.

— Pan jest urzędnikiem kolei, tak? — zapytał.

— Tak — odpowiedziałem spokojnie i bezczelnie.

— Zgadza się, to zostało potwierdzone.

Niemiec złożył teraz moje papiery i wręczając mi je, powiedział:

— To było nieporozumienie. Niech pan zapomni o tym przykrym incydencie. — I wyciągnął, na pożegnanie, rękę.

W uśmiechniętych oczach Niemców, stojących na posterunku przed bramą, wyczytałem: udało ci się; miałeś szczęście. . . .

Istotnie, miałem szczęście. Tylko do dziś nie potrafię odpowiedzieć sobie na pytanie: gdzie jest większy bałagan — w tym biurze policyjnym, czy w dyrekcji kolejowej, z którą przecież miałem tyle tylko wspólnego, że posiadałem sfałszowany dowód pracy na kolei. A może zresztą pracował tam człowiek o moim imieniu i nazwisku, które również są fikcyjne?

Ów lipcowy dzień obławy, której ofiarą padł właśnie Romek, był dla Warszawy chyba najczarniejszym dniem w ciągu całego okresu okupacji. Niemcy, którzy ciągle jeszcze głoszą hasła niesienia kultury niemieckiej na cały świat, dali wtedy Warszawie próbkę — czy też lekcję — tego ich „kultuträgerstwa". Napisałem Ci kiedyś, że jesteśmy tu tropieni jak bezpańskie psy przez hyclów. Nie użyłem tego wyrażenia w przenośni! Jak głodny pies, wałęsający się po ulicy, musiał uważać, żeby nie wpaść w sidła, tak my wszyscy musimy ciągle obserwować samochody i mieć się na baczności przed hyclami okupacyjnymi. Teraz przyszedł czas, gdy na psa bezpańskiego poluje człowiek głodny, a dawną „pozycję społeczną" psów zajęliśmy my, niewolnicy niemieccy. Chyba nigdy jeszcze, nawet za czasów Nerona,

godność ludzka nie była tak hańbiona, jak to się dzieje dzisiaj, gdy niemiecki „naród panów“ siedzi na karkach narodów podbitych.

Ale chcę Ci coś napisać o tej obławie. Postaram się opisać całą historię Lolka Góreckiego i Antka Tatarkiewicza, którzy też byli o krok od podzielenia losu Romka. Jest to historia bardzo dziwna, ale nie mniej — prawdziwa.

Na ulicach już od rana był nastrój niespokojny. Ludzie przystawali i rozglądali się na wszystkie strony. Mówiono o obławie na Żoliborzu i na Pradze. Podobno wyciągali mężczyzn nawet z mieszkań. Podobno łapanka zakrojona była na wielką skalę, a ulice tych dwu dzielnic zasłane są trupami. W centrum pocieszano się złudzeniem, że skoro śródmieście miało dużą obławę zaledwie przed kilku dniami, to chyba tego dnia powinien być tutaj spokój.

Słoneczny, cudowny dzień lipcowy. Ulice, jak zawsze, pełne ludzi i Niemców. Godzina jedenasta.

Niektórzy mężczyźni zaczynali przyśpieszać kroku, a nawet biec szybko jezdnią. Riksze swoim nerwowym dzwonieniem i trąbieniem podsycały ogólne podniecenie. Z ust do ust, lotem błyskawicy, obiegało ostrzeżenie: uważać, inkaso! Inkaso! Inkaso! To jedno słowo elektryzowało wszystkich. Warszawa wie już dobrze co to jest „inkaso“. Oto pędzą olbrzymie, zielone samochody na wysokich podwoziach, pełne uzbrojonej policji niemieckiej. W ślad za nimi jadą ciężarówki kryte brezentem.

To już nieomylny znak: łapanka.

Jak na sygnał startera, na ulicach rozpoczęły się wyścigi. Biegli mężczyźni, kobiety, dzieci, starcy. Uciekali bezładnie we wszystkie strony. Pasażerowie wyskakiwali w biegu z tramwajów, z riksz, z dorożek. Wszyscy szukali schronienia w bramach, w sklepach. Wpadali w boczne ulice. Kobiety pomagały młodym mężczyznom wdrapywać się na mury, oddzielające od ulic ruiny domów, schylając się i nadstawiając grzbiety. Krzyki, wołania, płacz tworzyły tak dobrze znane „tło dźwiękowe“ ulicy warszawskiej podczas barbarzyńskiego polowania na ludzi.

Niemcy mają dobrą organizację. Do wszystkiego zabierają się z dobrze przygotowanym planem. Nawet do obławy. Jak z pod ziemi wyrosły na skrzyżowaniach ulic karabiny maszynowe. Jak z pod ziemi wyrosły posterunki przed bramami i przed drzwiami sklepów. Jak z pod ziemi wyrosły zielone mundury, hełmy i krótkie, ręczne karabiny maszynowe. Karabiny nie służą jednak do parady. Z potwornym krzykiem łapanych zaczęły się mieszać krótkie serie strzałów. Karabiny prażyły ogniem, dając ponury koncert śmierci. Środkiem ulic sunęły wolno wielkie ciężarówki.

W tym samym momencie, w którym w centrum miasta rozpo-

czynała się łapanka, Lolek Górecki wychodził z wielkiego domu w północnej dzielnicy miasta z teczką, wypchaną materiałami, nie służącymi bynajmniej do zacieśniania dobrych stosunków z Niemcami. Gdy dojechał rikszą do rogu Królewskiej i Marszałkowskiej, rikszarz oświadczył, że dalej nie pojedzie, bo boi się obławy.

— Obławy?

Lolek nie chciał wierzyć. Nic o tym nie wiedział.

— Co? Pan oszalał! Przecież dwa dni temu mieliśmy obławę — napierał. — Niech pan jedzie. Napewno wprowadził pana ktoś w błąd.

— Ale! Ja wiem bardzo dobrze. Nie pojadę dalej. I panu też nie radzę iść w tamtą stronę.

Górecki poszedł wolno Marszałkowską. Liczył na swoją legitymację „inspektora elektrowni miejskiej", która już tyle razy oddała mu usługi. (Obawiał się tylko jednego; żeby przypadkiem nie trafić kiedy na jakiego prawdziwego inspektora elektrowni!) Ale wahał się trochę. Zawahał się jeszcze bardziej, gdy zorientował się w wielkim zamieszaniu na ulicy i gdy zaczął już wyraźnie słyszeć strzelaninę, a potem krzyki. Szedł coraz wolniej. Uszy chwytały ciągle słowa: łapią! łapią! Jego teczka stała się dziesięć razy cięższa niż była w rzeczywistości. Sto razy cięższa. Jej ciężar zaczął go już przytłaczać. Za piętnaście dwunasta. O dwunastej miał czekać na niego Antek Tatarkiewicz u siebie w domu. . . . Cofnąć się — ale co zrobić z teczką, która musi być u Antka punktualnie? . . . Zostawić teczkę w którejś bramie? Nie, to byłoby bez sensu. Ta teczka mieści zawartość gorszą od dynamitu; rozstrzelaliby wszystkich w całej kamienicy. . . . Tak, trzeba jednak wrócić. Antek może trochę poczekać. . . .

Tymczasem z bramy Ogrodu Saskiego i od Królewskiej wpadły w Marszałkowską samochody. Rozpoczęła się ucieczka ludzi we wszystkie strony. Podniósł się wrzask. Z różnych stron, tuż w pobliżu, odzywały się strzały karabinowe. W zbity tłum ludzi wpadali zgrzani Niemcy — jedni z karabinami, inni z rewolwerami, a jeszcze inni poprostu z bagnetami w rękach. Wśród zielonych mundurów niemieckich, uwijały się z niebywałą energią granatowe mundury policji warszawskiej, wywijające z nadzwyczajną wprawą pałkami gumowymi.

Lolek szedł dalej śmiało. Niech się dzieje wola boska. Legitymację trzymał w ręku. Czekał aż dopadną do niego. Patrzał na to potworne widowisko, starając się zachować zimną krew. W jego oczach w ręce oprawców wpadały dziesiątki, dziesiątki mężczyzn. Setki. Wrzucano ich jak psy do samochodów. Niektórych wrzucali dwaj Niemcy, albo Niemiec i policjant granatowy, trzymając ofiarę za nogi i za głowę i ładując do

wozu z rozmachem, tak, jak rzeźnicy ładują rozpołowionego wieprza.

Najpierw dobiegł do Lolka, łapiąc go silnie za ramię policjant granatowy. Lolek wetknął mu pod nos rozwartą legitymację. Policjant ścisnął go jeszcze mocniej. Legitymację odepchnął, nie patrząc nawet na nią.

— Nie, nie dam się! — pomyślał Lolek.

Krzyknął na łotra po niemiecku, tupnął i jeszcze raz otworzył mu przed ślepiami dowód, żeby sobie przeczytał kim jest Eugeniusz Dworzak (bo takie właśnie jest nazwisko konspiracyjne Góreckiego). . . . Pomogło. Policjant nawet zasalutował. Po chwili miał już nową ofiarę; na wysokiej drabinie stał chłopiec, dwanaście, trzynaście lat i mył szybę wystawową. Policjant szarpnął drabiną, zrzucił dzieciaka na ziemię i poprowadził za rękę do samochodu.

Lolek skręcił w Świętokrzyską. Znów wpadł w ręce Niemców. Znów legitymacja. Znów pomogło. I Niemcy i policjanci warszawscy rzucali się na niego jeszcze kilka razy. Za każdym razem puszczali. Ale nie było pewności, czy przejdzie całą drogę. Śpieszył w kierunku ulicy Kopernika. Aby jaknajprędzej do Antka. Może się uda. Jeżeli dojdzie, będzie ocalony. Psiakrew, jeszcze tyle Świętokrzyskiej, jeszcze przejście przez Nowy Świat. . . . Nie ma mowy, żeby zatrzymać się gdzieś po drodze. Bramy albo pozamykane na klucz (bo dozorcy mają rozkaz, aby w czasie obławy zamykać bramy) albo obstawione. A Kopernika jest nauboczu — tam może być spokój. Zresztą zna go dozorca Antka. Wrzask słyszał coraz słabiej. Był już daleko od Marszałkowskiej. Ale karabiny terkotały, tak, jakby gdzieś bardzo blisko niego. . . .

Gdy wreszcie zobaczył dom Tatarkiewicza, odetchnął z ulgą. Nie wiedział nawet kiedy przebiegł schody i stanął przed drzwiami na czwartym piętrze. Był ocalony!

I dopiero teraz właśnie rozpoczyna się ta historia, jakby żywcem wycięta z taśmy filmowej czy z powieści kryminalnej, choć jest wycięta z autentycznego życia; jest autentyczną przygodą.

Do Antka dzwoniło się umówionym sygnałem: cztery krótkie dzwonki. Drzwi otworzyły się szeroko i szybko.

Góreckiemu pociemniało przed oczami. Poczuł, że zimny pot oblewa mu plecy, że kolana drżą i że nie może nawet przełknąć śliny. Narazie nic więcej nie widział, tylko dwie lufy rewolwerów, wyciągnięte do niego z przedpokoju. Wydały mu się wtedy chyba tak duże jak lufy armat. . . . Ale to wszystko trwało tylko chwilę. Zaraz oprzytomniał i zorientował się w sytuacji. Nie ulegało wątpliwości, że to Antek wpadł i że teraz czatują tylko na tych, którzy przychodzą do niego. Nie ulegało też wątpliwości, że to nie ma nic wspólnego z przeprowadzaną obławą. Stał na

środku przepokoju, z rękami podniesionymi do góry, nawprost dwu wysokich, młodych drabów w mundurach SS. i w czapkach z trupimi czaszkami.

— Czego panowie chcecie ode mnie? — zapytał po niemiecku. — Ja jestem. . . .

— Do kogo pan przyszedł? — pyta jeden z gestapowców.

— Pod numer 27 — odpowiedział Lolek i w tej chwili zaczął chwytać oddech, bo dobra myśl strzeliła mu do głowy: — Ja przyszedłem tylko sprawdzić licznik. . . . Ja jestem inspektorem elektrowni miejskiej. . . .

Wydało mu się, że do przedpokoju wdarł się momentalnie promień słońca, dostało się świeże, orzeźwiające powietrze. Gestapowcy opuścili na dół ręce z rewolwerami. Zgłupieli. Patrzyli na siebie i na niego. Kazali mu też opuścić ręce.

— Ausweis?

Górecki chciał sięgnąć do kieszeni, ale jeden z nich wyprzedził jego ruch ręki i obmacał go najpierw dokładnie. Obaj oglądali i czytali jego legitymację. Trwało to przynajmniej pięć minut.

— Ja służbowo! — mówił Lolek.

Odpowiedź była jednak druzgocąca:

— Tak, dobrze. Proszę sobie wziąć swoją teczkę. Ale mamy rozkaz odwieźć w Aleję Szucha każdego, kto przyjdzie do tego mieszkania. . . .

— Ja przecież przyszedłem tu służbowo! — podkreślił uparcie — Ja przecież jestem inspekto. . . .

— Wiem i bardzo mi przykro, ale taki mam rozkaz.

Koniec, koniec. Teraz już Górecki wiedział, że jest skończony. I że Antek skończony. I wszystko skończone.

— Tymczasem zechce pan przejść do tego pokoju i zaczekać. . . .

Wszedł do pokoju stołowego, usiadł na tapczanie. Obok siebie położył teczkę. Przy stole siedziała właścicielka mieszkania, pani w średnim wieku, o dużych, jasnych włosach, o bladej twarzy i przerażonych oczach. Nawet nie ukłonił się jej, poprostu zapomniał. Był przekonany, że rozpierała ją wściekłość na niefortunnego sublokatora. Tak samo przerażone były jeszcze dwie inne kobiety, siedzące przy stole: córka właścicielki, dorastająca pannica z plecionymi warkoczami i służąca, której łzy kapały z oczu, jak krople wody z niedokręconego kurka. Lolek znał je wszystkie, ale w tej chwili wszyscy byli dla siebie zupełnie obcy. Ani im, ani jemu nie wolno było wychodzić z tego pokoju. Jeden z gestapowców stał w drzwiach, tyłem do nich, drugi siedział na krześle w przedpokoju.

Czas wlókł się niesłychanie wolno.

— Pan jest z elektrowni? — zagadnęła pani domu, aby dać mu do zrozumienia, że słyszała całą rozmowę w przedpokoju.

— Tak, właśnie. Przyszedłem sprawdzić licznik, a tu taka historia. . . .

— Hm. . . .

„Inspektor elektrowni“ był oszołomiony. Czuł, że język plątał mu się, gdy odpowiadał na zapytanie gospodyni Antka. Czuł wypieki na twarzy i pot na czole. Aleje Szucha. . . . Sprawdzenie. . . . Inspektor elektrowni. . . . Antek. . . . Gestapo. . . . Trupie czaszki. . . . Teczka. . . . Właśnie teczka! Co miał z nią teraz zrobić? Leżała koło niego jak wyrok śmierci. Wiedział, że już nie wygrzebie się z tej opresji i że za tę głupią teczkę odda życie. Przecież w Alejach Szucha napewno zajrzą do niej. . . . A przecież będzie musiał wziąć ją z sobą, bo, gdyby nawet zostawił, to i tak tutaj w całym mieszkaniu będzie rewizja i znajdą. . . . A Antek? Gdzie on teraz jest? . . . Albo już siedzi, albo czekają na niego. . . . Ah, jeżeli jest jeszcze wolny, lepiej niech gdzieś złamie nogę, byle nie przyszedł teraz do domu. . . . Biedna pani inżynierowa. . . . Napewno zabiorą i te trzy przerażone kobiety. . . . Antek już poprzedniego dnia mówił, że będzie musiał zmienić mieszkanie, bo jeden z jego ludzi, znający adres na Kopernika, wpadł na robocie pod Dęblinem. To napewno ma związek z tym „wpadunkiem“. . . . Ale Antek, Antek! Bądź w tej chwili jasnowidzem: nie przychodź!

Tymczasem w centrum Warszawy odbywała się dalej łapanka. Przez ulice przewalały się tłumy uciekających ludzi, gonione przez oprawców i sunęły zielone wozy policyjne, a w ślad za nimi olbrzymie budy. Z ulicy na ulicę przenosił się wrzask tysięcy ludzi. Pod nogami plątały się trupy, ranni, konający i dzieci. Leżących tratowano bezlitośnie i często pod nogami ratujących się ucieczką albo pod buciorami niemieckimi wydawali ostatnie tchnienie.

Na Nowym Świecie wpadł w zasadzkę — Antek Tatarkiewicz. Próbował ucieczki w którąkolwiek stronę. Ale naokoło czatowały już posterunki z karabinami maszynowymi, a z tłumen ludzi mieszały się już zielone bestie niemieckie i granatowe bestie policyjne. Antek otrzymał w pewnej chwili ciężkie uderzenie w plecy. Obrócił się — to policjant warszawski z wąską bindą na rękawie „Generalgouvernement“ prał po głowach i plecach pałką gumową. Nie pomogły żadne próby wydarcia się. Nie pomogła też legitymacja, stwierdzająca, że Tatarkiewicz jest technikiem i pracuje w Ostbahnie; Niemiec, któremu Antek „przekazany“ został przez policjanta, zmiął legitymację, rzucił ją na ziemię i pchnął go kolanem w brzuch.

Wszystkie ofiary tej dzielnicy pakowano do dużego ogrodu, należącego do Blicklego. Jedni oprawcy doprowadzali schwy-

tanych do bramy, inni wpychali do środka, jak do worka, i strzegli wejścia.

W ogrodzie było już kilkaset osób. Wszyscy rozglądali się za możliwością ucieczki albo ukrycia się. Ale tutaj wszystkie usiłowania były beznadziejne. Na tyłach i bokach ogrodu były wysokie mury; z przodu — brama, obstawiona przez Niemców. W tym ogródku urządzona była letnia kawiarnia. Stało kilkadziesiąt stolików. Przy wielu z nich siedzieli Niemcy, o spokojnych, bezczelnie uśmiechniętych twarzach. Jedli lody, kurzyli cygara. Polscy klienci uciekli stąd już dawno, na wiadomość o rozpoczęciu obławy.

Antek przeciskał się wśród rozpaczających ludzi. Przybliżał się do murów, do parkanu, do małego budynku kuchni kawiarni. Nigdzie nie było ucieczki. Zatym to już koniec. . . . Rozgląda się wszędzie, kręci się na wszystkie strony. Jeszcze usiłuje wymyśleć coś, wykombinować. Wszystko na nic! Niedługo przyjadą samochody. Wszyscy pojadą. Pozostaną tylko ci Niemcy przy swoich lodach i cygarach.

— Tak marny koniec jest straszny . . . — myśli. — Mam różne dowody, różne nazwiska. . . . Dowiedzą się kim jestem. . . . O dwunastej miałem czekać na Lolka. . . . O trzeciej miała być odprawa. . . .

Wzrok Antka zatrzymał się na poręczy jednego krzesełka. Poderwał się. Tak, teraz już wie co ma zrobić. Tak, tylko to jedno. I to już. W tej chwili.

Przez poręcz przerzucony był płaszcz niemiecki, a na rogu poręczy, jak na wieszaku, wisiała czapka. Na dół zwisał rękaw z czerwoną opaską i swastyką. Krzesełko stało w takim miejscu, że, przy tym wielkim stłoczeniu ludzi, nikt może nie spostrzec kradzieży. A Niemiec, właściciel tego płaszcza i czapki, siedział obok przy stoliku, tyłem obrócony do swoich rzeczy i przyglądał się ludziom, czekającym z rozpaczą w oczach na samochody.

Antek nie zastanawiał się długo. Ani przez chwilę nie pomyślał o tym co może być, jeśli się nie uda. Przecisnął się wśród stłoczonych ofiar obławy, zaszedł cichutko. . . . Czapka była trochę zaduża. Ale poradził sobie. Podwinął skórzany pasek potnika. Nic nie robił sobie z ludzi. Z pośpiechem wkładał płaszcz. Wszystko jedno. Wszystko jedno. Był w butach z długimi cholewami, bo zaledwie poprzedniego dnia wrócił z roboty w terenie, więc nikt nie powinien podejrzewać w nim cywila. A krawat? Któż będzie zwracał uwagę na to, jaki on ma krawat?

Trupia czaszka na czarnym aksamicie lampasa i srebrny, oficerski sznurek czapki — więcej nic nie trzeba. Przed bramą Niemcy wyciągnęli prawice i wyprężyli się. Antek zaczął się domyślać, że jest jakąś ważną osobistością. Głowę podniósł do góry, twarz miał dumną, patrzał na wszystko dokoła z pogardą.

Poszedł najbliższą drogą do domu. Na ulicach ciągle jeszcze było piekło. Gdzieniegdzie odzywały się serie karabinów maszynowych. Niemcy pozdrawiali Tatarkiewicza podniesionymi prawicami. Policjanci warszawscy tak samo prężyli się i salutowali.

— Tak nie wiele brakowało, a byłbym stracony — myślał, idąc do domu. — Lolek napewno czeka na mnie z niecierpliwością. . . . Ale zdziwi się jak mnie zobaczy! . . . A dozorca. . . . A inżynierowa. . . . Zrobię im wszystkim niespodziankę! . . .

Tymczasem dla Lolka oczekiwanie w tym pokoju stołowym na Kopernika było męką. Czuł się jak skazaniec oczekujący egzekucji. Inżynierowa podeszła do okna, bliżej niego i zdążyła mu tylko szepnąć, że przyszli po Tatarkiewicza i czekają teraz na niego.

— Była rewizja . . . — szeptała, gdy żandarmi rozmawiali z sobą w przedpokoju.

Górecki myślał o Tatarkiewiczu.

— Ah, Antek, Antek! Żebyś mógł wiedzieć co tutaj czeka na ciebie. . . . Antek, nie przychodź do domu. . . . Wszystko stracone. . . .

Wytężał słuch. Chwytał każdy szmer.

— Może Antek już idzie? . . .

Wtem gestapowcy zerwali się i podbiegli do drzwi. Górecki usłyszał przekręcanie klucza w zamku. Antek otwierał drzwi sam, własnym kluczem. Inżynierowa pobladła jeszcze bardziej. Jej córka i gosposia ukryły twarze w dłoniach.

Lolek czekał na pierwszy okrzyk Niemca, albo na pierwszy strzał. . . .

Lecz — co to?!

— Czy ja w ciągu tego oczekiwania nie zwariowałem? — pomyślał Górecki.

Niemcy mówili grzecznie. Raczej odpowiadali na pytania, niż mówili. A ten co przyszedł, miał głos zupełnie taki sam jak Antek. . . .

Górecki słyszał wszystko wyraźnie. Szczególnie wyraźnie warczało ciągle w ustach gestapowców słowo: Herr.

— On jest już aresztowany — mówił głos Antka.

— Mam rozkaz aresztowania wszystkich domowników i tych, którzy tu przyjdą — meldował gestapowiec.

— I jaki jeszcze rozkaz? — pytał głos Antka.

— To już wszystko.

W tej chwili do stołowego wszedł oficer SS, a za nim obaj gestapowcy. . . .

Mniejsze wrażenie wywarł by w tym pokoju piorun, diabeł z rogami albo sam Hitler. Gosposia jęknęła: o Jezu! i klapnęła na stół jak nieżywa. Inżynierowa wstała i cofała się w stronę

okna. Pannica wytrzeszczała na oficera przerażone oczy, które, zdawało się, wystrzelą lada chwila ze spojówek. Górecki miał najpierw ochotę skoczyć na niego z pięściami i cisnąć mu w twarz wszystkie przekleństwa, na jakie mógł był się zdobyć. Zacisnął zęby.

— Potworna kanalia. . . . Świnia . . . — myślał. Ale nie wierzył. — Nie, to byłoby niemożliwe . . . — uspakajał się.

Oficerem SS. w tej czapce z trupią czaszką i z wielką swastyką na rękawie był, oczywiście, Antek.

— Co pan tu robi? — zapytał groźnym głosem, nie patrząc na Góreckiego. — Kim pan jest?

— No, to już wszystko dobrze! Antek, jesteś genialny — pomyślał Lolek. — Już wszystko rozumiem. . . .

— Ja jestem inspektorem elektrowni miejskiej — odpowiedział. — Przyszedłem tylko licznik sprawdzić i nie wiem, dlaczego panowie zatrzymujecie mnie. . . .

— Niech pan sobie sprawdzi swój licznik i zmiataj pan!

Antek grał swoją rolę do końca — genialnie. Ale tylko Antek mógł wystrychnąć na dudków tych dwu groźnych gestapowców i całą Gestapo, i ocalić wszystkich. Na twarzy jego nie można było zauważyć najmniejszego wzruszenia. Głos miał spokojny i zrównoważony. Z Niemcami mówił po niemiecku, z Polakami po polsku. Rzeczywiście, tylko on jeden mógł zagrać z powodzeniem tę niebywałą rolę. Oprócz odwagi, spokoju i sprytu, miał jeszcze jeden warunek, pozwalający mu tak wspaniale rozegrać tę partię: mianowicie znał świetnie język niemiecki.

Lolek „sprawdził" ten nieszczęsny licznik i poszedł. Teczkę ścisnął pod pachą i pędził jak wiatr. Pędził na dół, w stronę Wisły. Chciał zaczepiać na zasmuconej ulicy wszystkich po kolei i krzyczeć, wołać:

— Antek, rozumiecie mnie, Antek jest genialnym konspiratorem! . . .

Antek tymczasem urzędował dalej. Kazał sobie dać wszystkie dokumenty i fotografie trzech kobiet. Do inżynierowej wciąż mrugał porozumiewawczo. Ale któż mógł wiedzieć czy ona go rozumiała? Zrewidował najdokładniej swój własny pokój, używajac do pomocy obu Niemców.

Wreszcie zadecydował:

— Panie pojadą ze mną.

Niemcom zapowiedział głosem stanowczym, że mają tu jeszcze zostać i czatować na tych, którzy mogą przyjść do aresztowanego. . . .

— Oto są jego klucze, proszę je zatrzymać — mówi, oddając Niemcowi kilka swoich własnych kluczy od mieszkania.

Niemcy na wszystko godzili się bez wahania.

Gdy oficer SS. wyprowadzał, a raczej uprowadzał kobiety,

stanęli w przedpokoju na baczność, podnieśli ręce i pożegnali go:

— Heil Hitler!

— Heil Hitler! — odpowiedział Antek.

Gosposia była zupełnie oszołomiona. Płakała serdecznie. A idąc po schodach, lamentowała:

— Jezus, Maria, Józefie Święty! Świat przewrócił się do góry nogami! Ja już jestem całkiem wariatka. Nic nie rozumiem....

Napisałem to na podstawie dokładnych „zeznań" Lolka Góreckiego i Antka Tatarkiewicza, „złożonych" mi tego samego wieczora. Wiem, że pierwsza reakcja po przeczytaniu tej autentycznej opowieści powinna być taka: to jest niemożliwe, albo: to jest naciągnięte. Ale proszę Cię, wierz mi: tak było naprawdę. W naszym życiu obecnym, które jest rzeczywiście nieprawdopodobne, zachodzą również nieprawdopodobne przypadki i wydarzenia. Zresztą, któż ma się zdobywać na dobre pomysły, na spryt, któż ma błyskawicznie realizować najfantastyczniejsze z tych pomysłów jeśli nie ludzie, którzy stają na krawędzi życia i śmierci?

Niemcy są chytrzy w tropieniu nas. My jesteśmy chytrzy w walce z nimi.

LIST SZÓSTY

Druga zima

Warszawa, w lutym 1941.

Mój drogi,

na jednej z matowych szyb w moim oknie mróz wyrzeźbił dziwną kompozycję. Z za wielkiego lasu wyskoczył jeździec na koniu w pełnym galopie. Wyczytała to moja żona, objaśniła, i wyciągnęła z tego wniosek, że las oznacza zagubienie, a jeździec na koniu — przybycie kogoś oczekiwanego. . . .

— Może to dobry znak? — zapytała.

Jak wszyscy ludzie w Warszawie, i moja żona we wszystkim pragnie znaleźć pocieszenie. Któregoś dnia złapała mnie za rękę, wyciągnęła na klatkę schodową i pokazała . . . pająka zwisającego na długiej nici pajęczej z sufitu.

— Dobra nowina! — powiedziała. — Zobaczyć pająka przed śniadaniem, to dobra nowina. . . .

A jakiż może być ów dobry znak, czy jakaż może być owa dobra nowina? Tylko to jedno, że wiosna, której oczekujemy z utęsknieniem, przybliży koniec naszych cierpień, że rozpocznie

się ofensywa brytyjska. Obecna cisza zimowa nie męczy nas tak, jak jesień ubiegłego roku. Wiadomości, podawane przez radio londyńskie, upoważniają do optymizmu. A może nawet jeszcze więcej pozwala na gruntowanie dobrej myśli ton niemieckich przemówień i tego wszystkiego, co Niemcy obecnie piszą. Wiadomości o zbrojeniach Ameryki coraz mocniej podnoszą nas na duchu.

Nie chce się poprostu wierzyć w to, że możemy jeszcze kiedykolwiek być wolni, że ciemna noc może się zamienić w jasny, pełen słońca i życia dzień. A jednak, zdaje się, jesteśmy już bliscy tej wielkiej zmiany. Gdy czasem myślę o zakończeniu wojny i odzyskaniu wolności, zawsze odnoszę takie wrażenie, że conajmniej połowa naszych ludzi oszaleje z radości z chwilą ogłoszenia tej Nowiny. Nie chce się poprostu wierzyć, że doczekamy tej chwili, gdy nasi okupanci i mordercy zaczną podnosić ręce do góry.

A jednak, zdaje się, jesteśmy już niedaleko zakrętu, na którym wykolei się pociąg-widmo ponurej okupacji.

Wy, niewątpliwie, przygotowujecie się do walki. I, niewątpliwie, tak samo jak my oczekujemy was z wielkim utęsknieniem.— Wy z wielkim utęsknieniem czekacie chwili, gdy wkraczać będziecie w granice Polski. Skrwawicie się jeszcze nieraz w drodze, chwałą bohaterstwa okryjecie jeszcze nieraz imię żołnierza polskiego — i przyjdziecie do nas, jako bohaterowie.

W naszej wyobraźni wolność już świta. I dlatego coraz częściej, my, tutaj, zaczynamy myśleć o przyszłości i rysować wizje Polski — Polski naszych marzeń, naszych pragnień.

Ostatnio Warszawa rozpolitykowała się właśnie na temat przyszłości. To bardzo dobrze. Kto wie, czy nie jest to jakimś zbiorowym wyczuciem zbliżającej się zmiany. Zaczynamy urządzać nasze Jutro, nasze życie wolne. Zaczynamy meblować dom, który nie ma jeszcze ani ścian, ani okien, ani dachu.

Jednej nocy pracowaliśmy w drukarni we trzech, z Antkiem Tatarkiewiczem i Piotrusiem Palusem, i rozgadaliśmy się na temat naszej przyszłości powojennej. Muszę dodać, że przyczyną całej tej dyskusji było przemówienie radiowe jednego z naszych ministrów; przemówienie złe, dziwne, niepotrzebne, które zgrzytało niezrozumieniem ani nas, ani nastrojów w naszym społeczeństwie. Zgrzytał patos, zgrzytała nienawiść do przeszłości, zgrzytała zupełna nieznajomość tych olbrzymich przemian, jakie nastąpiły w umysłach i psychice Polaków. Nie zamieściliśmy nawet w „Warszawiance" tego przemówienia, żeby nie drażnić ludzi, którzy dziś więcej są krytyczni, niż byli kiedykolwiek przedtem.

— Smutne porachunki *starych* między sobą — stwierdził Tatarkiewicz.

Dawno nie brałem udziału w rozmowach o naszej przeszłości, w krytyce rządów i ludzi. Ten temat już od długiego czasu nie interesuje nas. W miarę trwania niewoli, coraz wyraźniej, odtwarzamy w naszej wyobraźni obraz Polski straconej: najpiękniejszej i najwspanialszej. Tego obrazu nie chcemy zaciemniać żadnymi mgłami uprzedzeń ani plamami nieistotnych, wewnętrznych rozgrywek politycznych. Coraz wyraźniej — mówiąc słowami Mickiewicza — widzimy „w całej ozdobie" piękność wolnej Polski. Owszem, i w Warszawie też są jeszcze ludzie, którzy babrzą się w rozpamiętywaniu grzechów przeszłości. W ich pojęciach, ta przeszłość — to same dziury i same plamy. Ale to są przeważnie ludzie starzy, nie poważni, zdziecinniali — nie liczy się ich! Wśród ludzi młodych nie ma takiego rozpamiętywania. A jeżeli jest — to jest to objaw bardzo rzadki, zanikający. Młodzi inaczej odnoszą się do przeszłości Polski i inaczej patrzą na przyszłość. Młodzi, jeżeli tak można powiedzieć, w piękniejszy sposób kochają Polskę. Myśli nasze idą innymi torami, niż myśli ludzi starych. Dlatego nie rozumiemy się ze starymi. I dlatego nie trafiają do naszych przekonań żadne przemówienia, miotające ogniem, plującym we własną, polską przeszłość.

Tatarkiewicz zmiął ze złością stenogram radiowy i warknął:

— Ci starcy są szaleni! Zachłystują się nienawiścią do swoich dawnych wrogów politycznych, jakby nie było dzisiaj większych zmartwień. Byłby już najwyższy czas, aby ci ludzie zrozumieli, że zgrali się dostatecznie w swoich rolach politycznych i aby zeszli ze sceny. Czas, aby weszli na tę scenę ludzie młodzi, silni, odważni, mądrzy, nowi!

Usiadł na regale z czcionkami, zapalił papierosa.

— Jednym z najgłówniejszych, ukrytych wrogów Polski — mówił Antek — była nieświadoma zmowa ludzi starych. Polska, jak długa i szeroka, rządzona była przez starszych, starych, lub bardzo starych panów. Odpowiedni brzuch, siwe włosy albo łysina, i odpowiedni wiek, zaczynający się około sześćdziesiątki, były cenzusem, dyplomem, wypychającym automatycznie na czoło, na posady kierownicze, na najwyższe stanowiska w życiu publicznym, we wszystkich gałęziach przemysłu, w życiu intelektualnym — wszędzie. Ci ludzie, nielubiący się przepracowywać ani przemęczać umysłu nadmiernym wysiłkiem, stanowili w sumie linię fortyfikacyjną, linię, o którą musiała się rozbić każda prawie nowa myśl, każda śmiała próba, każdy odważniejszy krok człowieka młodego. My, młodzi, byliśmy w ciągu dwudziestu lat naszej niepodległości jakimiś podrzutkami społecznymi, o których starsi, starzy i bardzo starzy panowie rozprawiali jako o „problemie". Dyktatura starości była tak potężna i tak bezwzględna, że człowiek młody, nawet najzdolniejszy, którego ambicja wynosiła na jakieś wyższe stanowisko

społeczne czy zawodowe, musiał wreszcie trafić na tę barierę zmowy starszych panów, poza którą nie było już wejścia. Wszystko było dla nich. Jeden drugiemu ustępował miejsca i maszyna — wciąż z jednakowo starymi silnikami i rdzewiejącymi częściami — szła naprzód, a raczej stała na przedzie. W zaśniedziałych umysłach tkwiły zaśniedziałe myśli, które wyciskały piętno na całym naszym życiu. Niewątpliwie, były jednostki młode duchem, energiczne, twórcze. Niewątpliwie, i wśród starych były jednostki o wybitnych talentach, o szerokich horyzontach myśli, jednostki pozytywne. Ale zgódźmy się: one były prawie niewidzialne.

Tatarkiewicz nie powiedział nic nowego. My wszyscy, którzy mamy po dwadzieścia kilka i trzydzieści lat, doskonale zdajemy sobie sprawę z tego dziwnego „stanu rzeczy". Piotruś Palus, który nie lubi z zasady rozprawiać o tym co było w Polsce przedwojennej, tym chętniej mówi o tym co powinno być. W jego ustach wszystko brzmi pewnie, bo w jego pojęciu tak właśnie jak powinno — *musi* być.

— Czytałem niedawno książkę o Napoleonie i jego marszałkach — mówił Piotruś — i teraz dopiero zrozumiałem na czym polegało powodzenie Napoleona. Miał wprawdzie starych wygów polityków, ale to, że sam był bardzo młody i że bardzo młodymi ludźmi obsadzał najwyższe stanowiska w wojsku i w państwie, decydowało o jego sukcesach i wielkości. Czytam teraz ciągle książki wojskowe i rewolucyjne i ugruntowałem się w przekonaniu, że przede wszystkim młodość jest warunkiem powodzenia. Najświeższy przykład w naszej historii, to P.P.S., Piłsudski, Drużyny Strzeleckie, Legiony. Nikt nie potrafi tak zapalać się do wielkich idei i wielkich przedsięwzięć, jak ludzie młodzi. Po wojnie, w nowej Polsce będziemy potrzebowali wielkiej pracy, wielkiej inicjatywy. Lud polski wybierze sobie sam własne rządy, takie, jakie będą odpowiadały potrzebom. A lud polski napewno nie będzie szukał ludzi o „wypróbowanych" nazwiskach, napewno nie będzie szukał tych ludzi w magazynach przesiąkniętych naftaliną, napewno nie odda swojego losu i państwa w trzęsące się ręce żywych trupów, choćby one, te żywe trupy, miały już wartość relikwii narodowych.

Piotruś ma zwyczaj używania dosadnych wyrażeń. Ale ma rację. Jestem przekonany, że jego zdanie, jak również zdanie Antka, podziela cała młodsza część naszego społeczeństwa i każdy rozumniejszy — nie zainteresowany w „prawach" do władzy — starszy człowiek.

W ciągu krótkiego okresu naszej niepodległości zrobiono dużo. Zrobiono bardzo dużo. Polska rosła, kwitnęła w oczach. Przeżywaliśmy dwadzieścia lat wspaniałej twórczości, odbudowując państwo ze zgliszcz, z popiołów. Ale o ileż więcej doko-

nalibyśmy, gdyby w *wielkiej maszynie* polskiej wymieniono stare, zużyte i niepotrzebne silniki na nowe. Rozumien ich obu: i Tatarkiewicza i Palusa. W ich słowach nie ma ani odrobiny uprzedzenia do przeszłości Polski, do ludzi, którzy ostatnio rządzili Polską. Obaj potępiają dyktaturę starości, aby nie powtórzyła się ona w Polsce Jutra. Kochają Polskę i pragną jej przyszłości bez żadnych błędów, bez żadnych wad. Pragną Polski wspaniałej, szczęśliwej, młodej. Takiej, jakiej pragniemy wszyscy.

Gdyby poglądy takie nie były wypowiadane dziś, w drugim roku okupacji niemieckiej, ale gdyby, naprzykład, stanowiły część programu rewolucyjnego wtedy, gdy byliśmy jeszcze wolni, gdy istniało jeszcze nasze państwo, — mógłbym wierzyć w urzeczywistnienie wielkich marzeń o odmłodzeniu Polski. Dzisiaj, choć wypowiedzi Piotrusia i Antka całkowicie trafiają do moich przekonań, skłonny jestem jednak wierzyć, że dopiero po tej wojnie, po tej okupacji, nastąpi prawdziwy „sezon" dla ludzi starych.

Opieram to na prostym wyrachowaniu: cała młodzież w Polsce tępiona jest najbezwzględniej przez okupantów. Wprawdzie tępiony jest cały naród, ale największe ofiary ponosi młode pokolenie. Więzienia i obozy koncentracyjne zapełniane są głównie ludźmi młodymi. Teraz — ruch podziemny, pochłaniający tak wiele ofiar, zbudowany jest głównie na tych, którzy są najdzielniejsi i najodważniejsi, a więc na młodzieży. Dalej — zamknięcie szkół i uniwersytetów spowodowało, że zamiast nowego narybku inteligencji, Polsce przybyły setki tysięcy wykolejeńców ze szkół średnich i akademickich. Ale jeszcze dalej: w czasie kampanii wrześniowej wyginęła masa młodzieży. Ta olbrzymia armia młodego wojska polskiego, siedząca za drutami niemieckich obozów jeńców, żyje w potwornych warunkach i — po dłuższym okresie niewoli — nie będą to już ludzie młodzi i silni. Nie wiem, co dzieje się za Bugiem, ale sądząc z pogłosek jakie u nas kursują, jest tam bardzo źle.

Zostajecie Wy, na których najbardziej liczymy. Wy, którzy w naszych pojęciach jesteście najszczęśliwsi wśród szczęśliwych. Gdy słuchamy opisów radiowych z Waszego życia, z Waszych przygotowań do walki, wierz mi — to są te najszczęśliwsze chwile w naszym życiu, kiedy chce się ryczeć z radości. W jednym z pism tajnych była kiedyś fotografia naszego oddziału w Szkocji; widziałem ludzi, którzy nosili to maleńkie zdjęcie jak relikwię i beczeli jak dzieci. Ale jest Was garstka, mała garstka, którą los może rzucić na niejeden front, przerzedzając dalej Wasze szeregi. My wiemy, że to jest potrzebne, że to jest konieczne, że tego wymaga ojczyzna i honor. Ale jakże bardzo chciałoby się

krzyczeć, wołać: powróćcie wszyscy! Powróćcie, wzbogaceni wiedzą, wykształceni i doświadczeni.

Sądzę, że rozumiesz mój sceptycyzm. Hertz nazwał młode pokolenie młodym lasem. Tak już jednak jest, że gdy wielka burza przechodzi przez puszczę, ginie przede wszystkim młody las. Przewróci się wprawdzie wiele drzew starych, padnie nawet niejeden dąb kilkusetletni, ale w lasach młodych tylko niektóre drzewa ocaleją. Wojna obecna, szczególnie dla nas, jest jednym wielkim wycinaniem młodych lasów.

Może ja myślę zbyt czarno? Napewno wiosną skończy się wszystko, a jeżeli tylko nie później jak *tą* wiosną — nie będzie tak wielkiej biedy. Wtedy jeszcze dużo, bardzo dużo młodych drzew ocaleje. I wtedy idee Antka Tatarkiewicza i Piotrusia Palusa wejdą w życie.

Rozmyślania o przyszłości, która nie rysuje się zbyt różowo, nie są łatwe. Mimo to, pisanie do Ciebie nawet o tej trudnej przyszłości, sprawia mi pewną przyjemność. Zapominam wtedy o tym co jest obecnie; o tym, że po ulicach warszawskich chodzą Niemcy; o tym, że w więzieniach i katowniach giną drodzy i bliscy. Nie słyszę dźwięku ogwożdżonych butów, rozlegającego się za oknami, i jest mi, przynajmniej na chwilę, bardzo dobrze. Takie zapomnienie jest najmilszą ucieczką od rzeczywistości. Szkoda tylko, że zawsze trwa ono tak bardzo krótko.

A rzeczywistość nasza jest, jak zawsze, bardzo ponura i bardzo smutna. Dlatego to, co mogę Ci o niej napisać, musi być zawsze tylko bardzo ponure i tylko bardzo smutne.

Napewno wiecie już wszyscy, jak Niemcy rozprawiają się u nas z kulturą. O tym, jak wszystko palą, niszczą, wywożą, jak starają się zatrzeć wszelki ślad istnienia w Polsce naszej własnej, bogatej, narosłej od tysiąca lat kultury. Nawet będąc tylko ulicznym handlarzem książek, człowiek może bezpośrednio przeżywać walenie się w gruzy całego naszego dorobku w tej dziedzinie.

Jednego dnia, gdy stałem na ulicy przed swoim „sklepem", podszedł do mnie mały, zgarbiony człowiek o siwiutkich włosach, w staromodnych okularach — takich, jakie nosił Prus. Miał na sobie — choć to było w lutym i przy dużym mrozie — płaszcz letni z wystrzępionymi rękawami, poplamiony, porozdzierany. Zapytał, czy mógłbym kupić od niego książki, gdyż likwiduje właśnie całą bibliotekę.

— Ale dzisiaj — dodał. — Dzisiaj niech pan przyjdzie do mnie i odrazu wszystko załatwimy. . . .

Był to pisarz. Jeden z najprzedniejszych wśród żyjących powieściopisarzy polskich. Gdy przyszedłem wieczorem do jego mieszkania, zastałem tam kilka osób, które zajęte były wyciąganiem książek z półek, segregowaniem ich i . . . paleniem. Nie

było tylko właściciela. Oświadczył podobno, jeszcze przed moim przyjściem, że nie może patrzeć na to potworne barbarzyństwo i uciekł z domu. Załatwiałem całą sprawę kupna książek z młodą kobietą — może córką, może wnuczką pisarza; to zresztą wszystko jedno.

— Książki, które pan tutaj widzi — powiedziała mi — są owocem blisko czterdziestoletniej pasji zbierania człowieka, który kochał książki, żył w książkach i pisał książki. Niech się pan nie dziwi, że wyszedł na czas tej smutnej uroczystości z domu, ale dla niego lepiej, że nie będzie świadkiem tej rzezi. . . .

W pokojach, w przedpokoju, w kuchni, rosły stosy książek wysortowanych. Historia, literatura polska, sztuka polska, encyklopedie, rzadkie druki, pierwsze wydania, unikaty. Masa. Wielka masa wszystkiego, co o Polsce, o polskiej przeszłości, o polskiej wielkości, co pisali wybitni Polacy. Rewizja była dokładna; każdą książkę brano do ręki. Chodziło o to, żeby na półkach nie została ani jedna książka zakazana. Ciągle słychać było darcie kartek. Osoby przeprowadzające tę rewizję — prawdopodobnie rodzina pisarza — pytały się wzajemnie o poszczególne tytuły, czasem zastanawiały nad jakimś egzemplarzem. Mężczyzna w średnim wieku, w binoklach, siedział przy piecu i co kilka minut pchał w ogień nowe porcje książek, których wysoka góra leżała już przed nim. Podszedłem do tego stosu, przerzuciłem kilkadziesiąt wspaniałych, wartościowych dzieł. W tym stosie, wśród książek czekających na swoją kolej spalenia, leżały liczne egzemplarze oprawione w skórę: książki napisane przez właściciela księgozbioru. Leżały też książki z dedykacjami Sienkiewicza, Reymonta, Przybyszewskiego, Kasprowicza, Żeromskiego, Conrada-Korzeniowskiego. Wszystko to szło do pieca, jako literatura, za której posiadanie grozi śmierć, tak samo jak za posiadanie rewolweru albo radia.

— Pierwszy raz w tym roku jest ciepło w mieszkaniu — powiedział człowiek w binoklach.

Wybrałem około pięciuset książek, które mogłem wziąć do sprzedaży. Chcę wiedzieć ile to ma kosztować.

— Wszystko jedno — odpowiada mi kobieta. — Ile dla pana warte, tyle proszę zapłacić. A jeżeli nic nie warte, niech pan weźmie darmo. Tylko niech pan te książki zabierze koniecznie dziś.

Tajemnica tego pośpiechu wyjaśniła się łatwo. Oto niedawno w Warszawie był następujący wypadek: do jednego z przyjaciół naszego pisarza, równie zapalonego jak on sam zbieracza, przyszli wywiadowcy Gestapo; przeprowadzili rewizję i znaleźli dużo książek zakazanych. Zabrali nie tylko książki ale i bibliofila. W niecały miesiąc później przyszło zawiadomienie z obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu, że więzień nie żyje.

W systemie takiego teroru, jakiemu jesteśmy poddani, Polska już do tej pory poniosła nieprawdopodobne straty — i to na wszystkich odcinkach naszego życia. W dziedzinie kultury nasze olbrzymie straty pomnażają się z dnia na dzień. Wspominam o tej jednej bibliotece, a przecież musisz wiedzieć, że giną nietylko księgozbiory prywatne, ale i wielkie, wspaniałe biblioteki publiczne, z których mieliśmy prawo być dumni.

Żona doktora Maczka pracowała przez pewien czas w t.zw. ,,Bibliotece Państwowej", powstałej z połączenia wszystkich wielkich bibliotek publicznych w Warszawie.

— Nie zostanie nam nic cennego — mówiła mi. — W salach leżą olbrzymie stosy książek, które robotnicy-Żydzi ładują widłami do koszów i wywożą do pieców. Każda niemal taka książka ma dużą wartość, a są wśród nich białe kruki. Z początku nawet woźni płakali widząc co się dzieje. Wszyscy płakaliśmy nad tymi stosami, przeznaczonymi na ogień i wszyscy pragnęliśmy, żeby jaknajwięcej wywieźli do Niemiec. Bo stamtąd przecież odbierzemy. . . .

Cała administracja niemiecka to jeden wielki bałagan. Ale jeżeli chodzi o ich działalność niszczycielską — w tym są bardzo dokładni. Dlatego też, takie naprzykład zarządzenia, jak konfiskata dzieł sztuki, bibliotek, książek, wykonywane są błyskawicznie i z przesadną skrupulatnością. Cóż musi dziać się w wielkich bibliotekach, w wielkich księgarniach, jeżeli mój nędzny wózek uliczny kontrolowany jest ciągle przez wywiadowców! Tak tylko, dla przykładu, przytoczę Ci przebieg mojej ostatniej ,,wizytacji":

Dwu cywilów i umundurowany gestapowiec zaczęli przewracać do góry nogami wszystkie książki. Byłem przekonany, że to, co mam w wózku, jest dozwolone — szczególnie, że co kilka dni Gestapo dogląda, czy nie przemycam czegoś. Zresztą, na ,,czystość" towaru zwracałem baczną uwagę od czasu rozstrzelania jednego sprzedawcy, u którego znaleziono książkę Strassera ,,Hitler i jego Mein Kampf". Ale — znalazło się! Wygrzebali mi wtedy takie książki: Makuszyński — ,,Człowiek znaleziony w nocy", Dygasiński — ,,Cudowne bajki", Kusociński — ,,Od palanta do Olimpiady", Boy-Żeleński — ,,Nasi okupanci" (broszura o klerze) i przekład Boya z Constanta — ,,Adolf" . . . . Myślę, że te dwie ostatnie książki musiały ich szczególnie zaintrygować!

Mówię o bałaganie w aparcie okupacyjnym i przytaczam obrazki, świadczące o głupocie okupantów. Ale niestety zorganizowana głupota czynić może w sumie większe spustoszenia w kraju okupowanym, niż to się komuś wydaje. Głupi są tylko ci, którzy wykonują rozkazy i polecenia. A te znów są — z punktu widzenia Niemców — bardzo przemyślane, bardzo dalekowzroczne.

Niemiecka walka z kulturą polską nie ogranicza się oczywiście do książek. Obejmuje wszystkie dziedziny naszego życia kulturalnego. Konfiskują cenne obrazy, walą pomniki, burzą najwspanialsze dzieła architektury, niszczą muzea, palą pracownie naukowe. Zarządzeniami policyjnymi i grozą śmierci zmietli z powierzchni ziemi Mickiewicza i Żeromskiego, w niemieckie paszporty zaopatrzyli Kopernika i Matejkę, do podziemi wypędzili Szopena.

Szopen. W Polsce obecnej za granie Szopena grozi kara śmierci. Zresztą nietylko za granie. Ta sama kara grozi za posiadanie nut i płyt gramofonowych. To znaczy, że za Szopena tak samo karzą jak za przechowywanie broni, jak za redagowanie tajnej gazety, jak za złożenie konspiracyjnej matury, jak za walkę o wolność.

Z Szopenem walczą, ale go nie zabili. Szopen ciągle jest wielki i nieśmiertelny. Zeszedł tylko — do podziemi.

Niedawno byłem na koncercie. Na tajnym koncercie. Szopenowskim. Urządziła go pani, która każdemu zaproszonemu mówiła to samo:

— Zanim umrę, chcę jeszcze raz w życiu usłyszeć Szopena. . . .

Ten wieczór, ten pokój i te twarze kilkunastu osób przypominały nastrojem i charakterem piwnicę redakcyjną, ważną odprawę organizacji. Było w tym wszystkim coś wielkiego, uroczystego, choć w gruncie rzeczy było to tylko zbiorowe przestępstwo, grożące wszystkim uczestnikom śmiercią. Wszystko jedno gdzie to się działo; w pewnym miejscu w Warszawie. Przygotowania do koncertu trwały dwa dni. Okna i drzwi zostały zakneblowane poduszkami i kołdrami. Kilkanaście kołder, dywanów i różnych szmat ściągniętych z wielu mieszkań, zamieniły ściany i sufit pokoju w wielobarwną mozaikę. Podłoga była miękko usłana; stąpało się po niej jak po materacu. Jeden z moich przyjaciół, szef grupy bojowej, dopomógł do zapewnienia bezpieczeństwa nazewnątrz domu; przysłał dwu uzbrojonych w rewolwery obserwatorów, którzy spacerowali po ulicy.

O godzinie ósmej wszyscy zaproszeni byli w pokoju. Pierwsi zaczęli przychodzić o piątej. Niektóre panie były ubrane w czarne suknie, jeden z panów zjawił się w smokingu. Parę minut po ósmej weszła pani domu w towarzystwie młodego, nędznie wyglądającego człowieka. Był to znakomity pianista, szopenista, którego w tym pokoju nazywano mistrzem albo panem Marianem. Pani domu, szczupła, wysoka, o puszystych, srebrnych włosach spiętych wielkimi grzebieniami i o twarzy posiekanej zmarszczkami, miała na sobie skromną, podniszczoną suknię wieczorową i jakże nie pasujące do tej sukni pantofle z drewnianymi podeszwami. Nie pasowały one do sukni, nie pasowały do nóg staruszki, arystokratki, zajmującej się z amator-

stwa malarstwem, poezją i muzyką i pieszczonej przez los w ciągu dziesiątków lat, ale odpowiadały warunkom życia wojennego: życia bez chleba, bez butów i bez Szopena. Pan Marian był w granatowej marynarce o błyszczących ze starości plecach, wystrzępionych rękawach, połatanych łokciach i w jasnych spodniach. Miał włosy długie, dawno nie strzyżone, twarz wychudzoną, zmarzniętą i niebieskie, wspaniałe, marzycielskie oczy; takie oczy spotyka się tylko u prawdziwych poetów i prawdziwych artystów. Przedstawiając go, pani domu użyła określenia ,,mistrz", na co pan Marian uśmiechnął się, mówiąc:

— To tylko reminiscencje przedwojenne, zresztą przyjemne dla żebraka. . . .

— I to dla żebraka bez licencji — dodał jeden z przyjaciół mistrza.

Kto o tym jeszcze nie wiedział, mógł się teraz dowiedzieć, że pan Marian jest ,,muzykantem" ulicznym, żebrzącym graniem na krzypcach i nie posiadającym na to pozwolenia policyjnego.

Niebawem w pokoju zapanowała głęboka cisza. Nie wystarczyło dla wszystkich krzeseł, więc niektórzy kucnęli na miękkiej ziemi. Pani domu zapaliła dwie świece, za którymi biegała kilka godzin po całej Warszawie. I zgasiła światło elektryczne. Pan Marian usiadł do fortepianu.

Nie wybierał w myślach, nie zastanawiał się ani chwili nad utworem, jaki ma zagrać. Zaczął odrazu, z furią, z wściekłością, z jakąś dziką, rozkoszną drapieżnością.

Etiuda Rewolucyjna.

Przed wojną słyszałem ją często. Ale teraz, gdy grał pan Marian, gdy na ulicy włóczyły się bandy niemieckie, gdy przyszliśmy tu tajnie, była jakaś inna, jakaś wyraźniejsza, silniejsza, potężniejsza. Ta melodia, pełna bólu, goryczy, żalu, uporu i nienawiści do wroga, wprowadziła nas wszystkich w szał, rozsprzęgła nerwy, szarpała sercem, kazała zapomnieć o bojaźni, o śmierci, budziła do czynu, do walki, do zemsty.

Etiuda Rewolucyjna to pieśń Warszawy. Szopen stworzył ją z myślą o niej i — dla niej. Gdy Rosjanie weszli do Warszawy i sotnie kozackie cięły nahajami po ulicach, błagał ojca, aby mu pozwolił pojechać do kraju i walczyć razem z powstańcami. Był właśnie w Stuttgarcie, w drodze do Paryża. Ale nie, nie mógł pojechać. Wtedy usiadł do fortepianu i pod wpływem wizji tragedii warszawskiej skomponował swój muzyczny manifest rewolucyjny. Widział Warszawę w bólu, we krwi, pod batem tyranów, a jednocześnie nieugiętą, bohaterską. ,,O Chmielnej wtedy myślałem . . ." — powiedział kiedyś.

Pan Marian skończył, ale oparł ręce o fortepian, oczy utkwił w świecach, jakby szykował się do skoku i długo, bardzo długo w pokoju była zupełna cisza. Na jej tle tym wyraźniej słychać było

płacz pani domu, która siedziała najdalej fortepianu, w rogu pokoju, z twarzą ukrytą w szalu. Nikt nie odzywał się. Za chwilę pani domu wstała, podeszła do fortepianu, wzięła obiema dłońmi martwą niemal rękę pana Mariana i przycisnęła ją namiętnie do swych ust.

Niemcy zakazali w Polsce grania Szopena. Nawet zburzyli jego pomnik w Łazienkach. Wtedy, po wyjściu z tego koncertu, po nowym wysłuchaniu Etiudy Rewolucyjnej zrozumiałem, że Niemcy *znają* muzykę Szopena. Boją się tej siły nadprzyrodzonej, zaklętej w najbardziej polskiej i najgoręcej patriotycznej muzyce. Bo taka ona jest: sentymentalna w nokturnach, nostalgiczna w pieśniach, patriotyczna w polonezach, rewolucyjna w etiudzie. W takt muzyki Szopena można płakać, marzyć, kochać, nienawidzieć, walczyć i umierać.

Szopen jest olbrzymem. A Niemcy boją się olbrzymów.

Każdy dzień naszego życia podobny jest do poprzedniego i wszystkich poprzednich. Chociaż czujemy ciągle na szyjach zacieśnianie się pęt niewoli, żyjemy już teraz w normalnych warunkach niewolniczych. Niewola już teraz wycisnęła straszliwe znamię na naszej psychice. Tematy naszych zainteresowań są ciągle jednakowe: kogo aresztowali, kogo rozstrzelali, kto otrzymał depeszę z Oświęcimia. I, oczywiście, skąd wytrzasnąć kilka złotych. I, naturalnie, jakie są nowości w świecie.

Skąd wytrzasnąć kilka złotych? Ten problem, powszechny, staje się z każdym dniem cięższy. Jesteśmy w takim dziwnym okresie, gdy o złoty, który przeciętnie przedstawia wartość 20 groszy, a często 5 groszy przedwojennych, jest dziś stokrotnie trudniej niż było przed wojną. Wszyscy gonimy za pieniądzem, za żywnością, chwytając się najróżniejszych środków, umożliwiających wegetację. A tymczasem z tygodnia na tydzień kurczą się i możliwości zarobkowe, i możliwości zdobywania artykułów żywnościowych. Kartki żywnościowe dla Polaków są fikcją, są symbolem niemieckiej zorganizowanej gospodarki papierowej. Ceny na rynku nielegalnym są fantastyczne. Na ruinach życia polskiego, ponad całą tragedią naszego życia niewolniczego, rozsiada się coraz pewniej i silniej najpotężniejszy mocarz, najlepszy sprzymierzeniec okupanta i mordercy — głód.

Nasza walka o byt jest ciężka i — smutna. Handel, który stał się głównym zajęciem i źródłem zarobków ogromnej części społeczeństwa, jest w normalnych warunkach zajęciem przyjemnym i pożytecznym. Ale dziś, oprócz wszystkich swoich cech dodatnich, ma wiele cech ujemnych. Wśród nich, na pierwszym miejscu należy postawić fakt wchłonięcia w wir życia handlowego prawie całej młodzieży polskiej. Ten handel, daleki

od wszelkich zasad solidności i uczciwości, jest jednym z głównych elementów, deprawujących w kraju młode pokolenie polskie. Młodzież polska wzięła się do handlu z konieczności; dlatego, że wszyscy prawie pracujący Polacy wyrzuceni zostali na bruk i że na tym bruku wszyscy muszą szukać chleba. Młodzież polską wypędzono ze szkół, pozbawiono domu rodzinnego i wszelkiej opieki. Na wątłych ramionach kilkunastoletniego chłopaka czy dziewczyny spoczywa nieraz ciężar utrzymania nie tylko siebie, ale i kilku osób rodziny. Handel jest zajęciem najprzystępniejszym, najłatwiejszym, niewymagającym znajomości fachu, a więc do niego garnie się także młodzież.

Udział młodzieży w tym dziwnym dzisiejszym handlu polskim uwidacznia się najwyraźniej w Warszawie. We wszystkich rodzajach tego handlu nielegalnego (cóż w Polsce jest jeszcze legalne?), tropionego przez policję i Gestapo, zajęci są młodzi ludzie, często poprostu dzieci.

Któregoś dnia siedziałem w jednej z kawiarń warszawskich, w towarzystwie kilku osób. Podszedł do nas jakiś nieznany nam wszystkim chłopiec — mógł mieć najwyżej szesnaście lat — i zapytał, czy nie posiadamy przypadkiem . . . kalafonii! Był przekonany, że skoro siedzimy przy stoliku w kawiarni, musimy, tak jak on, zajmować się wszechstronnym handlem.

— To może ma który z panów cukier? — zapytał dalej, gdy dowiedział się, że nie posiadamy kalafonii.

Ale cukru też nie mieliśmy.

— A może koks?

Gdyby nie to, że do takich obrazków jesteśmy wszyscy przyzwyczajeni, chłopiec taki wywierałby bardzo smutne wrażenie. Ja sam nie dałbym grosza za to, czy przy następnym stoliku, przy którym trafił na klienta chętnego do rozmowy, nie toczyły się pertraktacje o kupno czy sprzedaż jakiejś kamienicy milionowej wartości. . . .

Handel złotem i dewizami jest obecnie karany śmiercią. Ale i to jest „gałąź", mająca wielu pracowników ,szczególnie właśnie wśród ludzi młodych. W tej samej czy innej kawiarni przysłuchiwałem się raz rozmowie starszego pana z bródką z młodym chłopakiem w wyświechtanym mundurku szkolnym:

— Może pan profesor potrzebuje *miękkich* albo *papierków*? — pytał chłopiec. — Mam także *świnie*, mógłbym panu profesorowi jeszcze dzisiaj przynieść.

— Nie, narazie nie potrzebuję. Ale zato kupiłbym, choćby zaraz, każdą ilość *żółtych*, gdybym mógł zarobić przynajmniej po *punkcie*. . . .

To już jest rozmowa dwu kutych na cztery nogi spekulantów giełdowych, którzy posługują się tajemniczym szyfrem: miękki — dolar papierowy; twardy — dolar złoty; papierek — dolar

fałszywy; świnia — rubel złoty; żółte — złoto; punkt — jeden złoty. I tak dalej.

Sabotaż gospodarczy jest jednym z elementów naszej walki z Niemcami. Wszyscy Polacy sabotują gospodarczo Niemców. Nawet w takich drobiazgach, jak niepłacenie za przejazdy kolejowe czy tramwajowe przejawia się nasza walka z okupantami. Niedawno Niemcy rozstrzelali kilku konduktorów i kontrolerów tramwajów warszawskich właśnie za to, że pasażerowie jeżdżą bez zapłaty. W tej działalności młodzież bierze tak samo czynny udział jak społeczeństwo starsze. Niewątpliwie, jest to konieczne, jest potrzebne, jest obowiązkiem. Ale ciągle z obawą myślę o przyszłości. Myślę przede wszystkim o młodzieży, którą dzisiejsze życie okupacyjne niesłychanie demoralizuje. Niezawsze bowiem to, co jest piękne z punktu widzenia patriotycznego, nie jest zgubne z punktu widzenia moralnego. Należy jednak wierzyć, że młodzież polska, walcząca dziś o swoją egzystencję i równocześnie walcząca z przemocą okupantów, okaże się po wojnie najwartościowszym i najmoralniejszym czynnikiem w życiu społecznym. Ja sam wierzę w to bardzo. Właśnie dlatego, że wiem, jak młodzież polska gorąco kocha Polskę i z jakim poświęceniem pracuje dla Jej Sprawy.

Nie byłbym sprawiedliwy, gdybym, omawiając udział młodzieży w niemoralnych spekulacjach handlowych, nie podkreślił równocześnie wielkiego udziału tej samej młodzieży w całym życiu konspiracyjnym Polski. Przypomnij sobie choćby tych harcerzy radomskich, o których pisałem Ci w jednym ze swoich poprzednich listów. Duch tych chłopców jest wspólnym duchem całej naszej młodzieży. Czy uwierzysz, że naprzykład kolporterami tajnych pism w Polsce są często chłopcy czternasto-piętnastoletni i że oni, ci prawdziwi bohaterowie bez nazwisk i bez sławy, płacą najczęściej życiem za swoją służbę Polsce Podziemnej? Czy uwierzysz — lub czy Wy, tam, w dalekiej Anglii, wiecie — że w jednym tylko dniu 16 stycznia tego roku Niemcy rozstrzelali w Palmirach dziewiętnastu chłopców, uczestników pracy konspiracyjnej, z których najstarszy miał lat siedemnaście, a najmłodszy — trzynaście?

Czy Wy wszyscy, oddaleni od nas o tysiące mil, wiecie, że ci sami chłopcy, którzy jeszcze niedawno rozczytywali się w Londonie, Mayu, Vernem, pochłaniają dziś pamiętniki bojowców socjalistycznych, wspomnienia Piłsudskiego, książki o rewolucjach i powstaniach?

Młodzież polska dojrzała bardzo wcześnie. Niestety, do takiego życia, jakim ono jest: życia podłego, nędznego. Ale równocześnie dojrzała do innego życia: do walki, wymagającej największej ofiary, do walki o Polskę.

LIST SIÓDMY

Za murami ghetta

Warszawa, w kwietniu, 1941.

Mój drogi,

już kilka razy zabierałem się do napisania o ghecie warszawskim — i tyleż razy dawałem spokój temu tematowi. Nie czułem się na siłach przelewać na papier tych wszystkich spostrzeżeń, myśli, „wrażeń“, które w każdym innym wypadku stanowiłyby tematy najbardziej pociągające dziennikarza. Myśląc o ghecie w Warszawie, widzę przede wszystkim oczy, których nigdy nie zapomnę: otwarte szeroko oczy pięknego starca z siwą głową i siwą brodą, zastrzelonego na Lesznie z przejeżdżającej limuzyny niemieckiej. Widzę trupy małych dzieci na chodnikach, w rynsztokach, w bramach na Siennej, na Tłomackiem, na Żelaznej. Widzę jamę w murze ghetta między ulicami Złotą i Sienną, w której, w moich oczach, ciężki karabin niemiecki rozpłatał główkę kilkuletniego dziecka, które próbowało przemycić bochenek chleba. Słyszę wreszcie ciągle słowa lekarza gminy wyznaniowej żydowskiej: „Tu co dwie i pół minuty umiera człowiek“.

Ghetto — jest to świat inny, niż reszta świata, a ludzie ghetta są inni niż reszta ludzi. Ghetto — to ludzie o twarzach przypominających skórki zmarzłych albo nadgniłych kartofli, którzy z niesłychanym wysiłkiem starają się żyć i niesłychanie łatwo umierają.

Ostatnio bywałem w ghecie dość często, gdyż Piotruś Palus nawiązał kontakt z grupą konspiracyjną Żydów, dawnych ludzi „Bundu“, którzy robią ciekawą robotę. Ci ludzie, żyjący w straszliwych warunkach i uprawiający patriotyczną działalność polityczną, są w moim pojęciu godni największego uznania; to prawdziwi bohaterowie.

Granica między dzielnicą aryjską i ghettem w Warszawie nie wiele różni się od normalnych granic między dwoma państwami. Wprawdzie paszport zagraniczny zastępuje tu przepustka, ale daleko łatwiej otrzymywaliśmy przed wojną paszporty, niż dzisiaj otrzymuje się od Niemców przepustkę do ghetta. Przepustki ważne w ciągu miesiąca otrzymują tylko pracownicy istniejących w ghecie nielicznych instytucyj nieżydowskich, wywiadowcy Gestapo, różni cywilni dygnitarze niemieccy i wreszcie ci, którzy mogą sobie pozwolić na zapłacenie kilku tysięcy złotych łapówki. Jest pewna ilość ludzi po obu stronach granicy, która łatwo daje sobie radę z trudnościami przepustkowymi: są to

spekulanci, zajmujący się głównie przemytem żywności do ghetta, którzy wszelkie formalności załatwiają bezpośrednio przy szlabanach granicznych. Zdewaluowane pieniądze polskie dawane żandarmowi i jego asystentom w dostatecznej sumie, są wystarczającym środkiem . . . zastępczym.

Przed kilku dniami, w niedzielę, wybraliśmy się do ghetta razem z Piotrusiem. Byliśmy tam cały dzień. Po raz pierwszy „rozejrzałem się" porządnie w ghecie, wiele zobaczyłem, wiele się dowiedziałem. Piszę do Ciebie właśnie pod wrażeniem tej niedzieli.

Weszliśmy do ghetta przez bramę na ulicy Żelaznej. Ale przede wszystkim musisz sobie wyobrazić tę bramę: Szlaban na całej szerokości ulicy. Budka dla wartowników. Żandarmi niemieccy w hełmach polowych, z karabinami na plecach; na karabinach bagnety. Policjanci z pałkami gumowymi w dłoniach. Wysoko — olbrzymia tablica z dwujęzycznym napisem: „Wstęp i przejazd wzbroniony — teren zakażony tyfusem". W tym miejscu urywają się szyny i druty sieci tramwajowej. Tu kończą się czyste chodniki i czyste jezdnie. Wzdłuż szlabanu leniwie stukają o bruk niemieckie kroki. Z drugiej strony barierki granicznej — tamten, inny świat. Gromada milicjantów żydowskich w cywilnych ubraniach i w czapkach angielskich o wielkich rondach, popędza pałkami gumowymi powolnie przesuwający się w boczną ulicę tłum Żydów. Każdy spogląda w cichą ulicę dzielnicy aryjskiej, zwalnia kroku, chce patrzeć jak najdłużej. Zza węgła wychylają się co chwila twarze dzieci — obdartych, brudnych. Porozumiewają się wzrokiem i umówionymi gestami z takimi samymi dziećmi, kręcącymi się przy granicy od strony dzielnicy aryjskiej. Nie tylko one wiedzą o co chodzi. Ich tajemnicę znają już bardzo dobrze i żandarmi w hełmach, i policjanci, i milicjanci żydowscy. „Aryjczycy" mają żywność — Żydzi przyszli ją odebrać. Obie strony czekają tylko odpowiedniej chwili. Władze są zajęte od czasu do czasu kontrolowaniem przechodzących lub przejeżdżających. Wtedy poza plecami żandarmów, pod ciosami pałek gumowych dzieciak śmignie jak strzała przez barierkę. Po drugiej stronie, w bocznych ulicach ghetta, stoją za dziećmi całe szeregi głodnych. Czekają cierpliwie, czasem po kilka godzin, czasem cały dzień. Z tamtej strony, z tamtego świata przedziera się poprzez barierkę graniczną echo hałaśliwego życia ghetta. Wrzeszczą handlarze uliczni, żebracy, dzieci.

Ceremoniał przejścia przez granicę ghetta — oczywiście formalnego przejścia — jest podobny do tego, jaki obowiązywał przed wojną na wszystkich granicach polsko-niemieckich. Z tą tylko różnicą, że dzisiejszy ceremoniał bywa niekiedy daleko nieprzyjemniejszy, a stosunek Niemca do Polaka jest zreguły złośliwy.

Oczywiście, w stosunku do Żyda, złośliwość ta jest o całe niebo większa. Człowiek, dostający się w ręce tych wyrafinowanych łotrów, jest dla nich igraszką. Kobiety-Polki, pracujące w fabrykach i instytucjach nieżydowskich, mieszczących się w ghecie, niemal wszystkie zrezygnowały z pracy, gdyż nie chciały narażać się na częste rozbieranie się do naga w budkach granicznych, w których żandarmi przeprowadzają rewizję w poszukiwaniu przemytu. Obowiązek tropienia przemytu żywności (nie trzeba zapominać, że na tym przemycie żandarmi i inni Niemcy zbijają kolosalne majątki) nakazuje im także zaglądać do portmonetek i portfeli, których zawartość zagarniają pod byle pretekstem. Ten „obowiązek" nakazuje im zabieranie „dla sprawdzenia źródła pochodzenia" zegarków i biżuterii, wreszcie wszelkich produktów spożywczych, przenoszonych nawet w najdrobniejszych ilościach. Niosłem kiedyś do ghetta, dla pewnego profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego, pół kilograma kaszy, ćwierć kilograma chleba i pięć deko masła; niosłem dla człowieka umierającego z głodu. Na granicy wszystko musiałem zostawić.

Granica ghetta jest — poza wszystkim innym — granicą między cywilizacją i barbarzyństwem; jest punktem, w którym stykają się wyraźnie, bez żadnych osłon: zbrodnia, przemoc, cynizm i — bezbronność. Stąd, z granic ghetta, żandarmi strzelają wgłąb ulic dzielnicy żydowskiej do ludzi, jak do kaczek, i tu właśnie odbywają się codzienne, posępne widowiska wychodzenia brygad żydowskich na roboty przymusowe i powrotu po pracy.

Wzdłuż ulicy, przed granicą ghetta, Żydzi ustawiają się w dwuszeregu do przeglądu. Komenderuje nimi i składa raport przed żandarmem milicjant żydowski. Żydzi stoją wyprężeni, na baczność, z głowami obnażonymi. Żandarm „dokonuje przeglądu", trzymając w ręce pałkę gumową. Kilka razy byłem świadkiem takich „przeglądów". Z reguły trwały one około godziny, z reguły pałka pokrwawiła niejednego z przeglądanych, a but sołdata ukarał ciężkim kopnięciem w brzuch stojącego nierówno w szeregu. I, z reguły, żandarm przeprowadzał z batalionem krótkie rozmówki, polegające na pytaniach, na które otrzymywał chóralne odpowiedzi: Jawohl, Herr Kommandant!

Słyszałem nieraz takie pytania. Wszystkie miały mniej więcej jednakowe brzmienie:

— Wszyscy Żydzi to świnie i złodzieje, czy tak?

— Żydzi muszą być wytępieni co do jednego, czy tak?

— Führer jest najmądrzejszym człowiekiem na świecie, czy tak?

Oczywiście, jawohl, Herr Kommandant! Po tej strawie dla ducha, następują ćwiczenia dla ciała: gimnastyka, polegająca przeważnie na „padnij" i „powstań". To samo jest każdego rana i każdego wieczora.

Idąc z Piotrusiem, przechodzimy granicę zupełnie spokojnie. Żandarm niemiecki obejrzał nasze przepustki (wspaniale sfałszowane w naszej własnej drukarni . . .), nasze dowody osobiste (też produkt własnej drukarni . . .), obmacał nas — i znaleźliśmy się w ghecie.

Ulica w ghecie. Jedna z naszych warszawskich ulic, które tak niedawno jeszcze pulsowały życiem w blaskach tysięcy lamp i neonów. Mamy spotknie z naszym nowym przyjacielem, Mojżeszem, czekającym nas w małej kawiarence, do której trzeba iść conajmniej przez pół ghetta. Ale przed tym wstąpimy do kościoła na Grzybowie, do którego wybieraliśmy się od dłuższego czasu. Nie chcemy jednak wyróżniać się na tej ulicy, nie chcemy budzić podejrzeń wśród Żydów. Kupujemy po drodze — jak czynimy zwykle w ghecie — białe opaski z gwiazdą Syjonu i zakładamy na rękawy w jednej z najbliższych bram.

Piotr milczy. W pewnej chwili, wskazując na leżących pokotem ludzi, którzy wyciągają do przechodniów ręce, błagają, świecąc nagimi ciałami, brudnymi, owrzodzonymi, mówi:

— Właściwie, wszystko tu kręci się dokoła małej osi, której jednym końcem jest ostatni kęs chleba, a drugim cmentarz.

Nasza obecna wiosna zaczęła się wcześnie i gdy tamtej niedzieli szliśmy przez przeludnione ulice ghetta, ciepłe słońce zdawało się pobudzać do życia nawet tych, którzy rzucali na przechodniów ostatnie spojrzenia i konali z głodu. Iluż jest tutaj tych konających! Oto człowiek: leży twarzą do ziemi, z ust wypływa biała struga piany, ręce sine; obok dłoni, która jeszcze przed chwilą ocierała się nahalnie o przechodzących, błyszczy kilka pięcio- i dziesięcio-groszówek. Kilka kroków dalej: to dziecko nie będzie już prosiło o chleb; nawet nikt nie podniesie martwej główki, która zsunęła się z chodnika i tkwi w nagromadzonych tam śmieciach, plwocinach i w kale. Znów kilka kroków: jakiś zapalony czytelnik gazety potyka się o trupa, leżącego wpoprzek ulicy.

Ulica w ghecie nie dzieli się na chodniki dla ludzi i jezdnię. Wprawdzie kiedyś, bardzo dawno, przed rokiem 1940, krawężniki wyraźnie oddzielały chodniki od jezdni. Teraz tych co jeżdżą jest bardzo mało, tych zaś co chodzą — bardzo dużo. Więc każda ulica jest szerokim chodnikiem, którym, wśród morza ludzkiego przejeżdża od czasu do czasu wóz ciężarowy, częściej samochód albo motocykl żandarmerii niemieckiej, jeszcze częściej czarny, niski furgon zakładu pogrzebowego, a najczęściej riksza — wehikuł niewolników dla niewolników. Dorożki konne należą tutaj do przeszłości zamierzchłej, a o taksówkach i pięknych samochodach osobowych pewnie mało kto pamięta. Tramwaje przejeżdżdają przez ulice tak, jak przejeżdża pociąg pośpieszny przez małą stację: nie zatrzymują się. Przez kilka ulic w ghecie chodzi własny tramwaj z wielką gwiazdą Syjonu na

okrągłej, żółtej tablicy na dachu. To jest tramwaj tylko dla Żydów i nigdy nie wychodzi poza mury ghetta.

Mojżesz czekał na nas w umówionej kawiarence. Jest to mały, mizerny chłopak o kędzierzawej głowie i chronicznie czerwonych spojówkach. Nie lubi dużo mówić, zawsze jest zmęczony i ciągle ziewa. Na jego twarzy i całym usposobieniu wyciska piętno ciężka, odpowiedzialna praca, którą Mojżesz — żołnierz Polski Podziemnej — wykonuje regularnie każdej nocy.

— Co nowego słychać za murami? — pyta stereotypowo, jak pyta aryjczyka każdy inny Żyd w ghecie.

Szybko załatwiliśmy sprawy „zawodowe" i sprowokowałem rozmowę, jakiej Mojżesz dotychczas skutecznie unikał: rozmowę o ghecie, o życiu i sprawach Żydów. Gdy zapytałem, jak Żydzi żyją, jak sobie dają radę, Mojżesz zaciągnął się dymem z papierosa i długo milczał zanim odpowiedział, spokojnie, cedząc słowa:

— Tu nie ma w ogóle żadnego życia. W ghecie jest tylko śmierć i ta dopiero dzieli się na lekką lub ciężką, szybką albo powolną. . . .

Po tej odpowiedzi, chwilę zastanowił się i mówił dalej:

— Życie nasze płynie pod znakiem śmierci. Jedyni przedsiębiorcy, robiący tu dobre interesy, to właściciele zakładów pogrzebowych. Jak dawniej rozwoziło się po domach chleb albo mleko — tak teraz jeżdżą od domu do domu furgony pogrzebowe, zabierające zmarłych. Ludzie umierają masowo, przeważnie z głodu i to szczególnie dzieci i starcy. A głód doprowadził do tego, że dziś na porządku dziennym są wypadki ukrywania śmierci i przechowywania ciała w domu nieraz przez kilka dni, aby pobrać na imię zmarłego karty żywnościowe na następny miesiąc. Apteki mają zakaz sprzedawania lekarstw dla dzieci do lat pięciu i dla starców od lat sześćdziesięciu, ale w praktyce te apteki nie mają możności przygotowywania żadnych lekarstw, gdyż nieraz tygodniami całymi nie ma w ghecie ani proszków od bólu głowy, ani jodyny, nie mówiąc już o innych specyfikach aptecznych.

— Jaka jest sytuacja lekarzy-Żydów?

— Taka sama jak wszystkich innych Żydów. Większość z nich pracuje w różnych przychodniach lekarskich, ale to jest praca bardziej charytatywna niż zarobkowa. Oni też zdychają z głodu.

— A co robią adwokaci, inżynierowie, profesorowie uniwersytetów i cała inteligencja żydowska, spędzona do ghetta?

— Nie widzieliście tych tysięcy żebraków, wyciągających ręce na ulicach, albo sprzedających zapałki, papierosy, gazety? Wśród nich znajduje się wielu dawnych właścicieli fabryk,

adwokatów, lekarzy, nauczycieli. Inteligencja skazana jest na głód i ginie razem z całym żydostwem polskim. Trochę ludzi zatrudnia gmina żydowska, trochę poczta, a reszta zdana jest na łaskę losu. Jeszcze stosunkowo nieźle wyszli zamożniejsi, przeważnie adwokaci, którzy pokupowali dozorstwa domowe; mają teraz przynajmniej bezpłatne mieszkania.

— Wydaje mi się — ciągnąłem swoje pytania — że tu, mimo ciągłych rewizyj i rekwizycyj jest jednak pewna warstwa ludzi bogatych i średniozamożnych, którzy potworność życia w ghecie znoszą łatwiej.

— Ja w istnienie takich już nie wierzę. Ludzie w ghecie nie dzielą się na bogaczy, średniozamożnych i na biednych; dzielą się natomiast na biednych, bardzo biednych i na umierających z głodu. Jest niewielka ilość ludzi handlujących z dzielnicą aryjską, kombinujących z Niemcami, ale tych jest naprawdę tak niewielu, że nie można ich w ogóle liczyć. Poza tym, jeżeli ktoś miał coś w ghecie, został już przez Niemców zupełnie ogołocony, tak, że o istnieniu warstwy zamożniejszej nie można w ogóle mówić.

— Czy dużo ludzi zabierają do robót przymusowych? — zapytał Piotruś.

— Bardzo dużo. To są ludzie straceni. — Mojżesz macha ręką i tłumaczy: — Ostatnio wysypali na podwórzu gminy żydowskiej dwieście kilkadziesiąt trupów. Byli to Żydzi, którzy podobno zbuntowali się podczas pracy. Wszystkie ciała były okropnie zmasakrowane. Niemcy wytłumaczyli, że przywożą te trupy dla odstraszenia innych robotników żydowskich od buntowania się. . . .

Mojżesz miał dosyć tych pytań i odpowiedzi. Wypił ostatni łyk herbaty i zaproponował nam wódkę.

— Warto wypić po kieliszku. Jankiel ma oryginalną, przedwojenną! — zachęcał.

Zastukał monetą w stolik. Podszedł do nas mały, chudy Żyd z dużą, siwą brodą, z filuternie przymrużonym lewym okiem. Mojżesz wymienił z nim kilka słów po żydowsku, poczym zostaliśmy zaproszeni do „pokoju gościnnego", za sklepem. Były tam dwa małe stoliki, kilka krzeseł, a okno zasłonięte czarnym papierem. Nie długo czekaliśmy, zanim Jankiel postawił przed nami trzy kieliszki, do których nalewał z nabożeństwem porządną, przedwojenną wódkę monopolową. Następnie przyniósł całego śledzia marynowanego z cebulką, chleb pszenny, masło. . . .

— Jakim cudem to wszystko jest jeszcze w ghecie? — zapytałem Jankiela.

Ale, zamiast odpowiedzi, Jankiel znów przymrużył lewe oko.

— Pana to dziwi? — spytał Mojżesz. — Uważa pan to za

paradoks? Że takie „cuda“ zdarzają się u nas, to tylko dobrze świadczy o zaradności Żydów. Czy pan wie, że w ghecie jeszcze doniedawna można było kupić oryginalne papierosy angielskie, które przywędrowały do nas po kapitulacji Francji? Czy to nie jest jeszcze bardziej *nadzwyczajne*? A co pan powie o tym, że oficerowie niemieccy szyją sobie ubrania cywilne właśnie w ghecie, u naszych krawców? . . .

Mojżesz zaczął sypać tymi paradoksami życia ghetta jak z rękawa. Sam dziwił się, że one istnieją. I swoją listę rzeczywistości niemożliwych, nielogicznych, zakończył rewelacją, że w ghecie mieści się centrala Czarnej Giełdy i że właśnie w ghecie ustala się kursy walut zagranicznych i stosunek złotego polskiego do marki niemieckiej. . . .

Dla Warszawy nie jest żadną tajemnicą, że ghetto jest znakomitym interesem dla wielu Niemców. Nie jest też tajemnicą, że głównymi dostawcami żywności dla Żydów, żywności, którą następnie sprzedaje się po paskarskich cenach, są sami Niemcy. To także jeden z dziwnych paradoksów naszego życia okupacyjnego. Bardzo charakterystyczny obrazek widzieliśmy z Piotrusiem jeszcze tego samego wieczora, w cichej, zakonspirowanej kawiarence, w pobliżu przejścia granicznego. Chcieliśmy właśnie wyjść z ghetta dopiero o zmierzchu i zatrzymaliśmy się conajmniej godzinę w tej kawiarni, poleconej nam przez Mojżesza.

W rogu sali, nawprost nas, siedziało towarzystwo o twarzach podejrzanych, chytrych, łobuzerskich, bezczelnych. Oprócz trzech Żydów z białymi opaskami na rękawach, było tam trzech gości zza muru. Dwóch w cywilnych ubraniach i sierżant żandarmerii niemieckiej. Ten ostatni miał ogorzałą chłopską twarz i całą górną szczękę złotych zębów. Niebawem zjawił się na sali młody człowiek o ostrych semickich rysach, w cywilnym płaszczu, przepasanym rzemiennym pasem oficerskim z przytroczoną z lewego boku gumową pałką policyjną. Podszedł do towarzystwa, podał każdemu lekceważąco rękę i usiadł obok żandarma, nie zdejmując czapki, na której połyskiwała blaszana, sześciokątna gwiazda Syjonu z napisem: „Służba porządkowa“. Rozmowa toczyła się w języku niemieckim, była żywa i głośna. Z rąk do rąk przechodziły kartki, notesy. Żandarm mówił stosunkowo najmniej. Mówiono o przemycie żywności, o przepuszczaniu przez granicę platform, naładowanych mąką, mięsem, kartoflami. W pewnej chwili jeden z cywilów odezwał się do Niemca:

— Musisz pan coś zrobić, żeby dzisiejszej nocy przepuścić dwie ciężarówki z cukrem i kartoflami. Jeżeli dziś nie zrobimy tego, to transakcję diabli wezmą, bo na towar jest pełno amatorów w mieście.

— Można będzie — odpowiedział żandarm.

— Jakimi ciężarówkami? — zapytał milicjant żydowski.

— Normalnie, lotniczymi — odpowiedział cywil.

Piotruś, odwrócony plecami do towarzystwa spekulantów, mrużył do mnie porozumiewawczo oczy. Ja siedziałem ponury, piłem znakomitą mokkę i udawałem, że mnie nie interesuje rozmowa moich sąsiadów.

Tacy ludzie oddają Żydom ghetta warszawskiego wielką przysługę. Gdyby nie oni, Żydzi byliby skazani na życie w granicach racyj kartkowych, to znaczy — byliby skazani na bardzo szybką śmierć głodową. Ci ludzi ułatwiają Żydom życie, choć — może to jest właściwsze określenie — przedłużają ich konanie.

Przed spotkaniem z Mojżeszem, wstąpiliśmy z Piotrusiem do kościoła na Grzybowskiej. W obecnej Warszawie jest to jeden z trzech kościołów, pozostawionych w granicach ghetta i przeznaczonych dla katolików, których jednak wykonawcy ustaw norymberskich uznali za Żydów.

Na placu Grzybowskim byliśmy parę minut po dziewiątej. Obramowanie tego placu stanowią teraz rumowiska domów, a wyloty na dzielnicę aryjską zamknięte są murem piętrowej wysokości. Ludzi było tu więcej niż w dzień powszedni. Plac Grzybowski, silnie zbombardowany i oddzielony od reszty miasta, stracił swoje dawne znaczenie; stał się cichy, wyludniony, możnaby rzec — zapomniany.

Szerokimi schodami wchodzili do kościoła ludzie, którzy przy niedzieli ubrani byli schludniej, choć — jak zawsze — z białymi opaskami na prawym ramieniu. Żydzi, wierni wyznawcy starej religii, patrzyli spodełba na tych odszczepieńców, a od czasu do czasu za idącymi do świątyni leciało jakieś cierpkie słowo. Gdy weszliśmy z Piotrusiem do środka, kościół zapełniony już był wiernymi. Przed ołtarzami klęczały pokornie grupy modlących się. Nici, wiążące tych wszystkich ludzi z żydostwem są bardzo słabe, często dawno zerwane. Dzieci urodzone z rodziców chrześcijan, których dziadkowie albo jedno z dziadków, byli Żydami, aryjki, które wyszły zamąż za Żydów, aryjczycy, którzy ożenili się z Żydówkami, wreszcie neofici, ludzie, którzy przyjęli chrzest nawet przed dziesiątkami lat.

Nabożeństwo odprawiał młody ksiądz. Na prawym rękawie sutanny miał naszytą białą opaskę z wyhaftowaną starannie gwiazdą żydowską. Takie same opaski, z takimi samymi gwiazdami, mieli chłopcy-ministranci, usługujący do mszy. Takie same opaski mieli wszyscy wierni. Widać je było wyraźnie w chwilach, gdy podnosili prawą rękę, dotykając palcami czoła i żegnając się. Inny ksiądz spowiadał. Po kilka osób z książeczkami w rękach klęczało z obu stron konfesjonału. Na prawych

ramionach te same opaski, te same gwiazdy. W kościele rozbrzmiewały głosy pieśni nabożnych, śpiewanych przez chór, przez wiernych — i delikatne tony organów. Po skończonym nabożeństwie młody ksiądz wszedł na ambonę. Trzymał w ręku brewjarz z wąskimi wstążeczkami. Powiedział: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus". Wierni odpowiedzieli: „Na wieki wieków, amen". Zaczął kazanie:

— Ukochani w Chrystusie! . . .

Wyszliśmy pod silnym wrażeniem tego dziwnego nabożeństwa i dziwnego, choć bardzo mądrego, kazania. Przed kościołem, na stopniach, siedzieli — jak wszędzie w ghecie — brudni, obdarci, półnadzy żebracy. Wyciągali ręce i żądali natrętnie pomocy. Nie wszyscy wychodzący ze świątyni, rozumieli ich ochrypły bełkot.

Ten kościół rzymsko-katolicki to jeszcze jedna osobliwość życia ghetta. Osobliwość jedyna w swoim rodzaju, zapewne jedyna na całym świecie, w samym sercu Europy, na długości i szerokości geograficznej Warszawy.

Cierpienia Żydów, zamkniętych w ghecie, są straszne. Że ten cmentarz żywych ludzi istnieje jeszcze, to chyba tylko dlatego, że taka jest wola Opatrzności. Ale, że ci ludzie jeszcze żyją, jeszcze starają się walczyć o swój byt, pracować, to dzieje się naprzekór wszelkim prawom rozumu. Żydzi żegnają się z sobą nowym, aktualnym zawołaniem: „Nie oddaj swoich kartek!" To znaczy: trzymaj się jakoś, postaraj się wytrwać, niech ci twoja karta żywnościowa, na którą dostajesz kilka gramów chleba, da siły do starań o więcej chleba; nie umieraj — bo cieszyć się będą z tego tylko Niemcy! . . . Ale tymczasem, niemieckie biura, wydające karty żywnościowe dla ghetta, mają z każdym miesiącem mniej zapotrzebowań. Żydzi polscy skazani są na śmierć. W takich warunkach mogą żyć jeszcze rok, jeszcze dwa lata, może trochę niedobitków przeżyje i trzeci rok okupacji. Ale jeżeli Niepodległa Polska powstanie dopiero za lat kilka, po Żydach polskich pozostanie tylko wspomnienie.

Jeden z lekarzy, Żyd, opowiadał mi następujące wydarzenie:

Ulicą, wprost na szlaban graniczny, biegnie szaleniec. Napewno szaleniec, bo w ręce, wysoko wzniesionej, trzyma wielki nóż kuchenny i wrzeszczy — nieprawdopodobnie głośno, groźnie. Nie ma w tym wrzasku żadnych słów, żadnych dźwięków zrozumiałych. Jest tylko wrzask, potężny, potworny wrzask, możnaby rzec: krzyk całego ghetta. Tymczasem ghetto śpi, bo już dawno po godzinie policyjnej, a ulice pogrążone są w ciemności. Tylko nad szlabanem, na przejściu granicznym świeci jasno latarnia, rozlewając w niedużym promieniu krąg światła.

Szaleniec z nożem biegnie, jak ćma, właśnie na to światło. Nie

przebija jednak żandarmów, nie powala jednak granicy, nie pokonywa jednak tyranii. Najpierw czeluści ulicy rozjaśnia silny reflektor. W chwilę później krzyk szaleńca przerywają dwie równoczesne niemal salwy karabinowe. Echo tych strzałów przechodzi przez wszystkie ulice, obija się o wszystkie domy, a potem rozpływa się i cichnie zupełnie.

— Widzi pan — mówił mi doktór — ten szaleniec to symbol Żyda ginącego, który nie ma już nic do stracenia. A jego krzyk, którego echo zawisło nad szlabanem granicznym, to krzyk żydostwa, krzyk ghetta, krzyk rozpaczy, krzyk protestu żywych i umarłych. Ja wiem, co on chciałby powiedzieć, gdyby go zapytano dlaczego rzuca się na Niemców uzbrojony. Oto odpowiedziałby:

— Pięćset osób dziennie umiera tutaj z głodu i z chorób zakaźnych; nie pozwalacie nam powiększyć naszego jedynego szpitala, ani sprowadzić dla niego najprymitywniejszych urządzeń, stosowanych w medycynie kilkadziesiąt i sto lat temu; nasze dzieci, nasze matki i nasi ojcowie umierają w strasznych cierpieniach, bez pomocy, bo zabroniliście leczyć ich i sprzedawać dla nich lekarstwa; nie pozwalacie nam otworzyć nawet jednej szkoły powszechnej dla naszych dzieci, a dla nas nawet jednego kina, jednej czytelni książek; nie pozwalacie nam korzystać z telefonu, z radia, z elektryczności, z gazu; nie dopuszczacie do nas nawet gazet, które drukujecie po niemiecku; nie zostawiliście nam ani jednego ogrodu, nie mamy ani jednego metra trawnika dla naszych cierpiących dzieci, pozbawionych słońca i powietrza; jednych mordujecie, innych wycieńczacie śmiertelnie!

— Ten wielki krzyk — mówił dalej doktór — błagał: pozwólcie nam żyć! I groził: utoniecie w naszych żydowskich łzach i w naszej żydowskiej krwi! . . .

Doktór mówi, że ten szaleniec jest symbolem. Kto wie, czy rozpacz tego szaleńca nie stanie się kiedyś udziałem wszystkich Żydów, zamkniętych w ghecie; czy nie porwą oni któregoś dnia za noże kuchenne i, zamiast ginąć powoli z głodu i w najstraszliwszych mękach fizycznych i moralnych, nie rzucą się na bariery graniczne i na mury otaczające ghetto, i czy nie zginą wszyscy w ostatecznej walce, zbrojnej walce ze swymi ciemiężycielami.

Polacy sami głodują, cierpią i giną. Ale stosunek ludności polskiej do Żydów jest głęboko współczujący. Trzeba stwierdzić, jako fakt bezsporny, że ta okupacja wyleczyła nasze społeczeństwo całkowicie z antysemityzmu. Po wojnie może powstać antysemityzm mikroskopijny i to jedynie w nielicznym środowisku kupców polskich, którzy przejęli przedsiębiorstwa żydowskie. Nienawiść do Żydów należy do przeszłości. Może właśnie dlatego, że nas i Żydów łączy dziś wspólna niedola, łączą

wspólne cierpienia, a w pracy podziemnej łączy wspólna walka.

Gdy piszę, że wśród społeczeństwa polskiego nie ma antysemityzmu i że jest współczucie dla Żydów, przed oczami stają mi dwa obrazy.

Obraz pierwszy: Przechodziłem ulicą Złotą, obok muru, oddzielającego obie dzielnice. Przed murem zatrzymał się jakiś człowiek w brudnym, roboczym ubraniu, rozejrzał się i po chwili przerzucił ponad murem zawiniątko. I poszedł.

— Czy pan ma pewność, że to trafi we właściwe ręce? — zapytałem go.

— Pewnie że mam! Rzuciłem bochenek chleba *dla Żydów*. Który złapie, ten będzie jadł. . . .

Obraz drugi: Przez ulice dzielnicy aryjskiej, oczywiście jezdnią, ciągnie żałosny pochód. Kilkuset Żydów w łachmanach, przeważnie boso. Wszyscy mają na rękawach żydowskie opaski, w rękach małe tłomoczki. Z twarzy ścieka pot, oczy błyszczą śmiertelnym zmęczeniem. Dzieci większe drepcą krok w krok za starszymi; małe, niemowlęta, wyglądają ze swoich szmacianych gniazd na grzbietach kobiet. Żydzi idą tak już kilkadziesiąt kilometrów, pędzeni ze swoich domostw do ghetta warszawskiego. Dobrnęli właśnie do ostatniego etapu wędrówki. Przejdą jeszcze kilka ulic warszawskich — i będą na miejscu. Idą jak skazańcy, nie odzywają się do siebie, nie interesują ich nawet te aryjskie ulice, których już może nigdy nie będą mogli oglądać, ani ci ludzie bez opasek, których także już może nigdy nie będą mogli zobaczyć. Każda twarz zdaje się mówić: niech się dzieje co chce, byle tylko można było jak najprędzej gdzieś usiąść, nawet w błocie po pas i byle tylko można łyknąć troszeczkę wody. Na czele pochodu, z boków i z tyłu idą Niemcy z karabinami na ramionach i w szturmowych hełmach.

Pochód zatrzymuje się na chwilę u zbiegu Krakowskiego Przedmieścia i Miodowej, właśnie w tym miejscu, gdzie przez pewien czas stał mój wózek z książkami. Tu bowiem Żydzi przechodzą w ręce innego konwoju. Stali tak najwyżej dwie minuty. I już do tego tłumu nędzarzy zaczęli podchodzić ludzie, przechodnie, wpychając w ręce Żydów chleb, papierosy, butelki napełnione wodą. Żandarmi, zajęci swoimi formalnościami, nie spostrzegli tego odrazu. Dopiero po chwili zaczęli im wyrywać butelki, ich własne zawiniątka, rzucać wszystko o ziemię, a następnie bić Żydów i Polaków, którzy nie zdążyli w porę odskoczyć. Potem pochód ruszył w dalszą drogę.

Te dwie sceny, które sam widziałem, stanowią ilustrację stosunku Polaków do Żydów. Właśnie o antysemityźmie polskim rozmawialiśmy z Piotrusiem Palusem, gdy tamtej niedzieli, spędzonej za murami ghetta, wracaliśmy do dzielnicy aryjskiej.

— Jeżeli Żydzi będą ginęli w takim tempie jak obecnie — stwierdził Piotruś — to Polska powojenna będzie całkowicie bez Żydów. A jeśli wojna skończy się wcześniej i trochę Żydów ocaleje, to w żadnym razie nie będą to już ludzie poza nawiasem społeczeństwa polskiego. Czy wyobrażasz sobie możliwość zwalczania Żydów po tym wszystkim, co dzieje się obecnie? Przecież nikt nie może zaprzeczyć, że ghetto jest cząstką Polski, w której giną ludzie myślący i czujący po polsku, tak samo jak my z poza murów ghetta. Weź takiego Mojżesza: to jest patriota polski. I jeśli tacy ludzie jak Mojżesz wpadają i umierają w mękach, to oddają życie za wolność Polski. Krew Żydów, która wsiąkła w ziemię polską, ziemię ich ojców i dziadów, przypieczętowała ostatecznie prawa Żydów do Polski, prawa równe z naszymi.

Wydaje mi się, że tak jak Piotruś, myśli ogromna większość społeczeństwa polskiego. Nie sądzę tylko, aby Piotr miał rację zakładając, że Polska powojenna może być całkowicie bez Żydów. Jeśli bowiem Niemcy wytępią całkowicie Żydów, niewątpliwie, zabiorą się do całkowitego wytępienia Polaków. Po doświadczeniu na Żydach, to drugie zadanie przyjdzie im już łatwo. Jeśli wojna potrwa długo, w Polsce powojennej pozostanie tylko polska ziemia i cmentarze z kośćmi polskimi.

Wracając do ghetta, muszę specjalnie podkreślić zjawisko charakterystyczne, choć równocześnie dziwne. To, mianowicie, pogoda ducha, z jaką Żydzi znoszą swoje niesamowite cierpienia. Jesteśmy skazani na śmierć — to mówi w ghecie każdy Żyd. A przecież w tym samym ghecie ci sami Żydzi urządzają wieczorki taneczne, wystawiają rewie pełne dowcipu i humoru i poza tym, nawet w rozmowach, potrafią być daleko dowcipniejsi, weselsi, niż Warszawa aryjska. Na parkanach i murach ghetta wiszą obok siebie afisze: jedne np. zawiadamiają o rozstrzelaniu dwunastu Żydów, którzy nie chcąc iść do ghetta ukrywali się w dzielnicy aryjskiej, a drugie — zapraszające na koncert. Napewno nie będę daleki od prawdy, jeśli powiem, że conajmniej połowa dowcipów „okupacyjnych", krążących w Warszawie, zrodziła się w ghecie.

Ta pogoda ducha jest bodaj jedynym jasnym promieniem w ponurym życiu kilkuset tysięcy ludzi, których okupant skazał na śmierć. Uśmiech na ustach Żyda wydaje się dzisiaj czymś dziwnym, niewłaściwym, nawet niemożliwym. A jednak przecież w ghecie spotyka się dużo ludzi uśmiechniętych. Nie ma nigdzie twarzy rozweselonych, nie ma nigdzie oczu rozradowanych, ale jest właśnie — uśmiech. Cierpienie i uśmiech — jakież to piękne, jakież to ludzkie!

Cierpienie i uśmiech. Przypomina mi to pewną wizytę z pierwszych dni ghetta, gdy Żydzi byli dopiero spędzani z całej

Warszawy do swoich dzisiejszych domów. Znany przed wojną dziennikarz żydowski zabrał mnie do swego mieszkania na Żoliborzu, abym obejrzał i zakupił dla mego handelku jego księgozbiór. Miał wspaniałe książki, conajmniej dwa tysiące tomów. Pakowaliśmy je w małe paczki, po kilkadziesiąt egzemplarzy. Przez cały czas naszej pracy, właściciel księgozbioru miał surową twarz i bardzo smutne oczy; napewno myślał wówczas o wszystkim, tylko nie o książkach. Nagle — uśmiechnął się!

— Niech pan spojrzy — mówi.

I pokazał mi grubą książkę, zatytułowaną krótko ale treściwie: „*Pochód cywilizacji*".

— Pochód cywilizacji! — powtórzył. — Pochód cywilizacji!!

Uśmiech zamienił się w głośny, serdeczny śmiech. Powtarzając ciągle te dwa słowa, rwał książkę na kawałki, darł ją jak furiat i — śmiał się.

— Pochód cywilizacji! — syczał w dzikiej pasji.

Pozbierał z ziemi strzępy książki i wyrzucił je za okno.

LIST ÓSMY

Przed i po 22 czerwca

Warszawa, w sierpniu 1941.

Mój drogi,

w wojnę z Rosją wszyscy wierzyliśmy od pierwszych dni ustanowienia linii demarkacyjnej *), a w ostatnich miesiącach spodziewaliśmy się z dnia na dzień jej wybuchu. Gdy przed dwoma czy trzema miesiącami przyjechał Frank na przedmieście Przemyśla — Zasanie, pozostawione w rękach niemieckich, aby właśnie nad granicą niemiecko-sowiecką powiedzieć, że ta granica będzie wieczysta i nigdy już nie będzie tu żadnych zmian, w wierze naszej w tę wojnę byliśmy naprawdę ugruntowani. Szczególnie, że w tym właśnie czasie Niemcy fortyfikowali pas graniczny, fabrykowali tysiące sań motorowych, a ludzie, których wywozili na roboty przymusowe na Wschód, przeważnie ginęli tam już na zawsze. Ci, którym udało się zmylić ich czujność i uciec, opowiadali o przygotowaniach do wojny — fantastycznych w szybkości i przestrzeni. Wreszcie w połowie maja zaczęły iść na tę „wieczystą granicę" transporty wojskowe. Na kolejach zamarł zupełnie ruch cywilny; dniami i nocami szły na Wschód pociągi nałado-

*) Niemcy we wszystkich oficjalnych publikacjach nazywali dotąd tę linię „granicą interesów niemiecko-sowieckich".

wane sprzętem wojennym, końmi i ludźmi. O bruk ulic warszawskich stukały nieustannie buciory kilometrowych szeregów niemieckich, jęczały gąsienice czołgów i pruły nieprawdopodobne ilości lekkich i ciężkich samochodów ciężarowych. Niekiedy trzeba było czekać kilka godzin by przejść z jednej strony ulicy na drugą.

Choć nikt nie łudził się, że wojna wisi na włosku, że te szeregi maszerujące na Wschód mają defilować w Moskwie, propaganda niemiecka nastawiona była wyraźnie na maskowanie istotnych zamierzeń Rzeszy. Jeszcze na kilka dni przed niedzielnym atakiem, na ekranie ustawionym na miejscu starego dworca głównego można było podziwiać paradę na Czerwonym Placu, popisy spadochroniarzy sowieckich i sielskie widoczki z Sowieckiej Ukrainy. . . . A „Warschauer Zeitung" wydała specjalny, obszerny numer, poświęcony współpracy sowiecko-niemieckiej, ze szczególnym podkreśleniem wspaniałego rozwoju wschodnich obszarów Rzeczypospolitej pod rządami sowieckimi. . . . Mimo to, wszyscy czuli wojnę w powietrzu. Cała Warszawa przez ostatni miesiąc żyła pod znakiem tej nowej wojny i w oczekiwaniu jej wybuchu. Pod głośnikami ulicznymi ciągle zbierały się tłumy. Gazeciarze, sprzedający gadzinówkę, byli poprostu rozszarpywani. Gorączka oczekiwania zaczęła palić umysły, podniecać. Na czarnej giełdzie z dnia na dzień dolar szedł w górę. Marka niemiecka, za którą w maju płacono 4 złote i 50 groszy, spadła w połowie czerwca do dwóch złotych, a za stuzłotowy banknot przedwojenny, wycofany z obiegu, amatorzy płacili podwójną cenę. Ukazywały się coraz częściej odezwy organizacyj podziemnych. Pojawiło się tajne pismo codzienne w dużym formacie, pod nazwą „Nowiny". Na przedmieściach i w środowiskach fabrycznych zaczęło kursować tajne pismo komunistyczne „Nasza wola", znakomicie robione pod względem technicznym. Któregoś dnia speaker radiostacji magistrackiej, znęcający się nad językiem polskim, zawiadomił o spaleniu przez Niemców dwu wsi w okolicy Mińska Mazowieckiego i o rozstrzelaniu ich mieszkańców, tytułem represji za sabotaż, uprawiany na drogach w pobliżu tych wsi. Sabotaż polegał na rozsypywaniu czteroramiennych kolców żelaznych, które wbijają się w opony samochodów. Wszechwiedząca plotka głosiła, że w Warszawie powstał już rząd komunistyczny, który chwilowo zakwaterował się w ghecie. Kawiarnie przepełnione były Niemcami i ludźmi. Przy rannej kawie ludzie szukali odpowiedzi na pytanie: czy jest już jakaś wiadomość? Po południu zaś rozprawiali na temat: kto komu da radę?

Ale atmosfera Warszawy była widocznie zupełnie obca sowieckim strażnikom, pilnującym w Brześciu mostu na Buguł. Bo

podobno byli oni bardzo zdziwieni, gdy 22 czerwca o świcie wpuścili przez most pociąg niemiecki, w którym, zamiast normalnego transportu węgla czy żelaza, znajdował się oddziałek szturmowy. Oddziałek ten wylądowawszy na stronie sowieckiej, zaczął prażyć śpiących strażników z karabinów maszynowych, obrzucać ich granatami, torując drogę pociągom pancernym i czołgom, pędzącym pełnym gazem przez most. Tak właśnie, podobno, rozpoczęła się wojna niemiecko-sowiecka.

O godzinie dwunastej w południe Warszawa o niczym jeszcze nie wiedziała. Wyjechałem najspokojniej na niedzielę do Świdra. Dopiero tam, na stacji jakiś zupełnie obcy człowiek informował wysiadających:

— Ten bałagan już się rozpoczął. . . .

W dwie godziny później z tego cichego osiedla podwarszawskiego, wyszły setki ludzi z kuframi, z tobołami, z dziećmi. Wszyscy chcą teraz nagwałt dostać się do Warszawy. Niektórzy obliczają, że bolszewicy mogą dojść do Świdra jeszcze tej nocy. . . . Nastrój zdenerwowania podniecało jeszcze to, że pociąg, który do tej pory kursował punktualnie, miał kilka godzin spóźnienia. Kiedy wreszcie zjawił się, był tak przepełniony, że tylko zwolnił nieco biegu, ale nie stanął. Rozpoczęła się więc wędrówka do Warszawy pieszo, z tobołami i dziećmi. . . .

Sam wróciłem do Warszawy koło dziewiątej wieczór. Żadnego z moich przyjaciół nie zastałem w domu. Wszyscy poszli oblewać wydarzenie. Obiegłem znajome lokale i odnalazłem ich. Okazało się jednak, że przyszedłem za późno: wódki nie było już nawet na lekarstwo. Zmieniliśmy więc lokal — to samo. Dokądkolwiek zachodziliśmy, wszędzie wódka była już wypita. Nie chciało się poprostu wierzyć, że ta Warszawa, którą Niemcy znakomicie nasycili wódką, Warszawa, w której w każdym lokalu były wielkie zapasy alkoholów, została nagle bez wódki. Antek Tatarkiewicz postanowił jechać na kraniec miasta, na Wolę, gdzie jakaś jego daleka kuzynka miała knajpkę. Nie miałem jednak ochoty nigdzie iść.

— Nie masz prawa bojkotować święto narodowe! — zawyrokował Antek.

Wzięliśmy zatem rikszę — ja z Piotrusiem Palusem jedną, Antek z jeszcze jednym przyjacielem drugą i pojechaliśmy na Wolę. Nasz rikszarz pochylił się nad naszymi głowami i kręcił zamaszyście pedałami, wymijając zwinnie grupy ludzi, idące — najczęściej niepewnym krokiem — jezdnią. Wódka jechała od niego tak silnie, że można się było upić od samej woni. W kilkanaście minut byliśmy na miejscu.

Ale kuzynka Antka, kobieta z dużym czerwonym nosem, z wielkim kokiem na głowie i z białym koronkowym kołnierzykiem pod obfitą szyją, rozłożyła szeroko ręce:

— Żałuję bardzo! — powiedziała. — Gdybym miała dziś tyle wódki co wody w Wiśle, tobym sprzedała co do kropli. Od trzeciej godziny nie mam ani kap-kap. . . .

— To już jutro uczcimy to święto — powiedziałem do Antka. — Przecież oni jutro też będą się bili!

W ciągu kilku pierwszych dni wojny nie mieliśmy żadnych informacyj z frontu. Niemcy nie podawali komunikatów, ograniczali się bowiem jedynie do suchego, ciągle jednakowego stwierdzenia: na froncie wschodnim działania rozwijają się planowo. Tajna prasa podawała informacje BBC i Moskwy, z których tyle tylko mogliśmy wiedzieć, że ta bitwa nie miała sobie jeszcze podobnej w czasie całej obecnej wojny, że Niemcy bombardowali Lwów, Wilno, że obie strony ponoszą kolosalne straty — i to wszystko. Wybuch tej wojny był dla nas wszystkich zapowiedzią wielkiej zmiany; był zapowiedzią zbliżającej się niepodległości Polski.

Wreszcie po jakimś tygodniu walk, Niemcy podali pierwszy obszerny komunikat, z którego wynikało, że bolszewicy bici są na całym froncie, a wojska niemieckie posuwają się w szybkim tempie.

— To nic — tłumaczyliśmy sobie. — Narazie Rosjanie dostają w skórę. . . .

Podczas gdy Niemcy ogłaszali w swych komunikatach o kolosalnych stratach bolszewików i chwalili się, że sami nie ponoszą prawie żadnych strat, Warszawa powoli zaczęła nabierać charakteru wielkiego centrum szpitalnego. Czerwone krzyże ozdabiały coraz więcej i więcej bloków mieszkalnych, na lazarety zamieniono domy przeznaczone poprzednio na szkoły niemieckie, tysiące łóżek szpitalnych wjeżdżały do kin, teatrów, nawet kawiarń i restauracyj. Niektóre lokale przerabiano na szpitale w ciągu jednej nocy. Przez ulice ciągnęły od strony mostów na Wiśle całe korowody karetek sanitarnych. Niebawem pojawiły się też tramwaje, na których zamiast numerów były tarcze z czerwonymi krzyżami. Niemcy, którzy jeszcze kilka czy kilkanaście dni temu szli ze śpiewem i muzyką na Wschód, którzy wypisywali na wagonach kolejowych: „Dla Führera i Ojczyzny", zaczęli właśnie wracać ze Wschodu. . . .

Komunikaty z kwatery głównej Führera ciągle podawały, że straty własne są nieznaczne, albo minimalne, a w Warszawie powoli zaczęło już brakować szpitali. . . . Pewnego dnia przechodziłem przez Plac Trzech Krzyży, na którym założono szereg lazaretów. I tam, poraz pierwszy od września roku 1939 widziałem sceny, które budziły moją serdeczną radość. Z karetek sanitarnych samochodowych i tramwajowych wyrzucano rannych Niemców — i to wprost na ulicę, na plac. Mogło ich tam być

już tysiąc, albo jeszcze więcej. Leżeli na ziemi, z obnażonymi ranami, wielu bez rąk, bez nóg, bardzo wielu z głowami dosłownie zapakowanymi w bandaże, bez śladu oczu, nosa, ust, uszu. Niektóre głowy wyglądały jak purpurowe kule, z których pomimo bandaży ściekała krew. Wśród rannych uwijały się pielęgniarki niemieckie. Nad całym placem wisiał zapach jodyny i eteru. Polacy obojętnie patrzyli na cierpiących: w żadnych oczach, w żadnej twarzy nie znalazł byś cienia współczucia. Wiem, że to brzmi dziwnie i sztucznie w odniesieniu do Polaków, w których naturze nie ma nic z sadyzmu niemieckiego, których słowiańskie serca przepełnione są zawsze uczuciami chrześcijańskiej miłości bliźniego. Ale Niemcy wyleczyli nas z tych uczuć w odniesieniu do — Niemców. Polacy nie zdobędą się już nigdy na litość wobec nich.

Gdy sytuacja Niemców na froncie rozwijała się z niezmienną pomyślnością, gdy nie obawiali się już niebezpieczeństwa smutnego odwrotu przez Polskę, w ich stosunku do Polaków nastąpił gwałtowny zwrot na gorsze. Spodziewali się, że Polacy poprą ich wyprawę na Moskwę i że tak jak oni sami, będą się entuzjazmowali ich sukcesami. Na zawód jaki im sprawiliśmy, odpowiedzieli teraz zaostrzeniem teroru. Już na pewien czas ustały masowe obławy uliczne, nieustanne aresztowania i było nieco ciszej o masowych egzekucjach. Ale teraz, bezpośrednio po wizycie w Warszawie zastępcy Himmlera, niebywały teror szaleje znowu. Daje się jednak zauważyć, że Niemcy szczególnie prześladują młodzież. W lipcu, podczas jednej obławy, wywieźli z Warszawy około dwu tysięcy ludzi młodych, między innymi wielu naszych wspólnych znajomych. O ich śmierci przychodzą teraz ciągle zawiadomienia z Oświęcimia, z Mandhausen, z Dachau i z innych obozów koncentracyjnych. Nie jest wykluczone, że mordując naszą młodzież, chcą „zrównoważyć“ straty we własnej młodzieży, która ginie na froncie wschodnim. A zresztą nie jest wykluczone, że chcą przez wymordowanie młodego pokolenia polskiego rozładować nasz ruch podziemny, spoczywający głównie na barkach tego pokolenia.

Trzeba jednak przyznać, że równocześnie ze „wzmożeniem“ aktywności niemieckiej, wzmogła się aktywność organizacyj konspiracyjnych. Coraz częściej powtarzają się wypadki wykolejania pociągów, napady na urzędy pocztowe, a w prasie niemieckiej jest coraz więcej nekrologów Niemców, zabitych przez bojowców polskich. Również pism tajnych ukazuje się więcej niż poprzednio. Jest rzeczą charakterystyczną, że mimo ciągłych porażek Rosjan, w Warszawie spotyka się mało ludzi współczujących z nimi. Nawet wśród tych, których ogarnął po 22 czerwca „szał sympatii“ dla Związku Sowieckiego, nastąpiło

znaczne ochłodzenie ich zapału. Dzieje się to niewątpliwie pod wpływem informacyj, płynących teraz szeroką strugą z terenów zajętych obecnie przez Niemców. Okazuje się bowiem, że potworność życia pod okupacją sowiecką można porównać tylko z niemieckim reżimem okupacyjnym. Pisma tajne, nawet te, które jeszcze niedawno pisały życzliwie o Rosji, które poświęcały jej wiele ciepłych słów z okazji podpisania lipcowej umowy polsko-sowieckiej, nie mogą powstrzymać się teraz od ciężkich wyrzutów za zbrodnie popełniane na ludności polskiej pod tamtejszą okupacją. Nic też dziwnego, gdy coraz częściej tajna prasa w następujący sposób zestawia komunikaty wojenne niemieckie i sowieckie:

Niemcy stracili:	85 samolotów,	20 czołgów,	2.250 ludzi
Bolszewicy str.	125 samolotów,	90 czołgów,	5.400 ludzi
Razem stracili:	210 samolotów,	110 czołgów,	7.650 ludzi

Ten stosunek do Sowietów nie zmienia oczywiście w najmniejszym nawet stopniu naszego stosunku do Niemców. O naszych obu sąsiadach mamy dostatecznie ustalone zdanie.

Mój przyjaciel, pan Dolski, jest nieco przygnębiony niespodziewanym obrotem sytuacji na froncie wschodnim. Prorokował, że Rosjanie przyjdą do Warszawy, że zajdą do Berlina, do Paryża, a tu tymczasem Niemcy idą na Moskwę i Leningrad. . . . Ale mimo to, w dalszym ciągu uważa, że jego przepowiednia co do Rosji sprawdzi się.

— Ot, jak to bywa, panie Karpiński! — zaczął mi kiedyś tłumaczyć. — Mieli się Rosjanie rozprawić z Niemcami, a tu patrz pan, Niemcy rozprawiają się z Rosjanami. Idą i idą. Jak tak dalej pójdzie, to niedługo będą w Moskwie. No, ale co pan myśli, panie Karpiński, jest źle czy dobrze? Bo ja myślę, że jest raczej dobrze. Widzi pan, Rosja to jest straszna potęga i taki kolos, że trudno sobie wyobrazić. Taka potęga nie załamie się łatwo. No co, Niemcy pójdą jeszcze dalej, ale wreszcie gdzieś staną, bo przez całą Rosję nie przejdą. A wtedy Rosjanie wezmą zryw i jak zaczną grzać, jak zaczną pędzić, to nie zatrzymają się aż w Paryżu. Rosjanie już są tacy. To panu Dolski mówi, zobaczy pan. Przecież ja ich znam. Jak byłem w Odesie. . . .

Tu staruszek Dolski powtórzył conajmniej siódmy raz swe wspomnienia z Odesy i ciągnął dalej:

— Zobaczy pan jak to się wszystko jeszcze odwróci, panie Karpiński. Niemcy muszą tę wojnę przegrać, a będą pokonani przez Rosję. Tak, tak, tylko Stalin pokona Hitlera. To panu mówi Dolski. Zobaczy pan, panie Karpiński. . . .

Gdy Niemcy zajęli Lwów, postanowiłem tam pojechać, i to za wszelką cenę.

Zaczęło się od tego, że żaden urząd niemiecki w Warszawie nie był kompetentny do wydania odpowiedniego pozwolenia. Starałem się o to kilka dni — i wszystko na nic. Wreszcie udałem się do własnego „urzędu“. Mieliśmy blankiety policji niemieckiej, zezwalające na przejazdy kolejami w granicach Gubernatorstwa Generalnego, to znaczy, jeżeli chodzi o Wschód: do Sanu i Bugu; przepustki nieważne, gdyż już w tydzień po rozpoczęciu wojny z Rosją Niemcy znieśli ograniczenia w przejazdach kolejowych dla Polaków. Nie wolno było tylko wyjeżdżać na obszary wschodnie. Wypisałem więc Lwów jako stację docelową, opieczętowałem, przyłożyłem stempelek z podpisem jakiegoś „Kommandanta“, i tak uzbrojony wsiadłem do najbliższego pociągu odchodzącego do Przemyśla. Tam, na dawnej granicy „interesów“ obejrzano ze wszystkich stron moje zaświadczenie i dowód osobisty (jak zwykle, obawiałem się, czy pamiętam moje ostatnie nazwisko . . .). Okazało się, że podrobienie było znakomite. Przez most przejechałem bez trudu i mogłem teraz spokojnie zjeść w mieście śniadanie, ogolić się i przygotować do dalszej drogi do Lwowa.

Przede wszystkim nie mogę nie wspomnieć o tym, że sam Przemyśl jest nieprawdopodobnie zniszczony. Niemcy, jak mi opowiadano, zaledwie kilka godzin bombardowali miasto i ostrzeliwali je z dział. Wygląda ono jednak tak, jakby atak niemiecki odpierano ze dwa tygodnie. Zastałem tam pełno domów zburzonych i całe ulice zasypane gruzem, sprzątanym powoli przez miejscowych Żydów, którzy zdążyli już zaopatrzeć się w opaski z gwiazdami Syjonu. Od tych Żydów dowiedziałem się rzeczy wręcz rewelacyjnej: że, mianowicie, wielu wyznawców Mojżesza próbowało uciekać przez zieloną granicę na stronę niemiecką, i że niektórym powiodło się. . . .

Z Przemyśla do Lwowa nie było jeszcze komunikacji kolejowej, gdyż wzdłuż całej trasy bolszewicy zniszczyli za sobą całkowicie tory kolejowe. Popołudniu odchodził natomiast autobus, oddany do wyłącznej dyspozycji Wehrmachtu. Nie wiele namyślając się, załadowałem się na ten autobus i tak, nie pytany o nic przez żadnego Niemca, choć ja jeden byłem wśród pasażerów w cywilnym ubraniu, dojechałem na miejsce. Nikt, do końca podróży, nie żądał ode mnie ani dowodów, ani pieniędzy, ani o nic nie zapytał.

Wysiadłem przed dworcem — właściwie: przed ruinami dworca. Obejrzałem te szczątki jednego z najpiękniejszych dworców kolejowych w Polsce i przede wszystkim zauważyłem, że na ocalałej ścianie frontowej znikł napis: „Leopolis semper fidelis“; pozostał po nim tylko rowek, wyskrobany dłutem. Jak dawniej, odchodziły sprzed dworca tramwaje, z tą tylko różnicą, że napisy polskie zastąpiono napisami niemiecko-ukraińskimi. Poszedłem

pieszo, wzdłuż alei, w stronę koszar Bema. I cóż za niespodzianka! Na kilku narożnikach tej alei wisiały tabliczki, nowiutkie tabliczki: „Ulica Generała Karasiewicza-Tokarzewskiego".

— Nie wiedzą jeszcze co to są Niemcy . . . — pomyślałem; nie ulegało bowiem wątpliwości, że Polakom wydawało się, iż po koszmarze okupacji wracają czasy normalniejsze.

Nie spotkałem nigdzie, nad żadnym sklepem, choćby najmniejszego szyldu. Na niektórych narożnikach były jeszcze tabliczki z nazwami ulic w językach rosyjskim i ukraińskim. Ludzie ubrani byli znacznie gorzej niż naprzykład w Warszawie i w jakimkolwiek innym większym mieście w GG. W oknie jednej wystawy zauważyłem duży, pszenny chleb i pyszną struclę z makiem. Oczywiście wstąpiłem, żeby kupić. Sklep był zupełnie pusty, na ladzie leżało przewrócone krzesło, a na ścianach wisiały pajęczyny na tle jaśniejszych niż kolor ścian kwadratów: ślady po zdjętych portretach dygnitarzy sowieckich. Z pokoiku za sklepem wyszła siwa, przygarbiona kobieta.

— Chciałem kupić taką struclę, jak na wystawie. . . .

Kobieta spojrzała na mnie zdziwiona.

— Czy pan przyszedł kpić ze mnie, albo czy pan nie tutejszy? — zapytała.

Wyjaśniłem, że jestem „nie tutejszy", że to moja pierwsza godzina we Lwowie. Wtedy okazało się, że ten chleb i ta strucla są z drzewa.

— W punktach, wydających chleb, to musiało leżeć na wystawie — objaśniła kobieta. — I tak zostało. . . .

Rzeczywiście, takie „pieczywo" widziałem później na wielu jeszcze wystawach. Widziałem także smaczne szynki, kiełbasy, osełki masła, czekolady — wszystko z drzewa. . . .

Ale jeszcze więcej od tych klocków było na wystawach portretów Hitlera, Skoropatskiego, Petlury i różnych innych Ukraińców. Portretów polskich nie było nigdzie, żadnych. Pod pomnikiem Mickiewicza leżało tylko dużo świeżych wiązanek z białych i czerwonych róż. Wzdłuż ulic wisiały transparenty z hasłami w języku ukraińskim. Na murach i słupach ogłoszeniowych pełno było plakatów, też głównie w języku ukraińskim, mniej w niemieckim, a bardzo mało w języku polskim.

Na ulicach bardzo dużo Niemców, milicji ukraińskiej i trochę Słowaków. Ale wszędzie rozbrzmiewała przede wszystkim mowa polska. Szedłem powoli i rozglądałem się naokoło. Szukałem twarzy znajomych, znajomych domów, znajomych sklepów, znajomych lokali. Ulica Legionów — bez żadnych reklam, bez żadnych szyldów — bardzo smutna. Wysoko wisiały jednak te same co przed wojną tabliczki z polskimi napisami: „Legionów". Na Akademickiej — to samo i też polskie tabliczki. Przedwojenne lokale pozamykane, wejścia i okna pozabijane deskami,

albo poprzerabiane na inne sklepy. Niektóre domy noszą ślady bomb i pocisków, niektóre są zupełnie zburzone. Na jezdniach pracowały gromadki Żydów z łopatami, z miotłami, ale jeszcze bez opasek.

Późnym wieczorem odnalazłem pierwszych swoich lwowskich przyjaciół. Tematy rozmów były nie do wyczerpania. Nie wystarczył wieczór, nie wystarczyła noc. Wszystko było ciekawe, pasjonujące: jak było u nas, jak było u was? Po obu stronach było źle, było bardzo źle.

Pytano mnie dużo o Warszawę. O wspólnych przyjaciół, znajomych. Ale sens moich odpowiedzi był bardzo smutny i zamykał się w kilku słowach: Wy nie odnajdziecie już nigdy w Warszawie wielu waszych przyjaciół i krewnych, tak jak ja nie odnalazłem i nie odnajdę nigdy wielu moich przyjaciół i krewnych we Lwowie.

Drugiego dnia mego pobytu we Lwowie pękła bomba. Niemcy ogłosili, że w więzieniu na Brygidkach znajdują się tysiące ciał pomordowanych Polaków i Ukraińców. Że ciała ułożone są pod dziedzińcem więziennym, w kilku warstwach. Że, poza tym, ciała znaleziono w celach, do których wejścia były zamurowane. Wiadomość zelektryzowała miasto. Ale Niemcom to nie wystarczyło. Oświadczyli, że inspiratorami mordów byli Żydzi i że Żydzi muszą ponieść za to odpowiedzialność.

Od rana rozpoczęły się obławy na Żydów. Gromady Niemców i Ukraińców uzbrojone w broń palną, w łomy żelazne, w kastety i pałki zabrały się do krwawego porachunku z Żydami. We wszystkich dzielnicach trwały masakry. Pod śmiertelnymi ciosami padły tysiące Żydów. Wielu zrzucono z wysokich pięter kamienic, wielu skonało na postronkach uwieszonych u drzew i latarń. Dzieci żydowskie rozdzierano za nogi, albo rąbano je głowami o mur, jak toporem w drzewo. Tymczasem Niemcy otworzyli szeroko wrota więzienia na Brygidkach, aby każdy, kto chciał, mógł zobaczyć te ponure okropności. Ci, którzy tam byli, opowiadali, że Niemcy zatrudnili przy odkopywaniu zwłok wyłącznie Żydów. Żydzi musieli, bez żadnych narzędzi, palcami wykopywać trupy, rękami je oczyszczać, a twarze ich oblizywać językiem. Na grzbiety Żydów spadały ciężkie ciosy dozorujących Niemców, którzy, aby nie dusić się w okrutnym zaduchu, mieli na twarzy maski przeciwgazowe. Tych spośród Żydów, którzy mdleli, oblewano wodą, a ci którzy mdleli wielokrotnie, dostawali na miejscu kulę w głowę.

Zapytałem, czy Żydzi istotnie wysługiwali się bolszewikom.

— Tak — odpowiedział mi jeden z przyjaciół. — Wielu poszło na współpracę z N.K.W.D. Ale nie można generalizować. Byli także Żydzi, którzy nigdy nie zapomnieli, że są Polakami.

Z licznych opowiadań najlepiej utkwiła mi w pamięci relacja o gorączkowym wycofywaniu się z miasta okupantów rosyjskich. Spokojna ewakuacja trwała tylko jeden dzień. Nazajutrz samochody i motocykle N.K.W.D. jeździły po mieście, kule świstały wzdłuż ulic, karabiny maszynowe żegnały Lwów seriami rzucanymi w okna domów, sienie, w wystawy sklepów, piwnice, krzaki.

Zanim przyszli Niemcy, Lwów był przez dwa dni miastem bez okupacji. W ciągu tego czasu Ukraińcy zmontowali pośpiesznie swój rząd, który energicznie zajął się godnym przywitaniem Niemców. Nikt nie zajął się jednak zlikwidowaniem głośników radiowych, pozostawionych przez Rosjan. I przez te głośniki, właśnie w dniu wkroczenia Niemców do Lwowa odezwał się z Moskwy głos pani Wandy Wasilewskiej:

— Towarzysze i towarzyszki z sowieckiego Lwowa! Wytrwajcie wierni zasadom i ideologii komunizmu. Wrócimy do was niedługo, i jak we wrześniu 1939, wybawimy was spod tyranii hitleryzmu i kapitalizmu. . . .

Niemcy, którzy długi czas hołubili w Berlinie atamana Skoropadskiego i jego współpracowników, mieli jednak zgóry już ułożone plany wobec zagadnienia ukraińskiego, napewno przeciwne przyrzeczeniom, dawanym wodzom Ukrainy. Bowiem gdy tylko zjawili się we Lwowie, jednym z ich pierwszych zarządzeń była likwidacja wszelkich chorągwi i odznak ukrainskich i polskich. Już po moim wyjeździe ze Lwowa wydali dalsze zarządzenia, których mocą nie było wolno wywieszać żadnych transparentów ukraińskich, nie było wolno wydawać gazety ukraińskiej (wznowiono ją po pewnej przerwie, w obsadzie redakcyjnej ustalonej przez Niemców), nie było wolno kolportować portretów działaczy ukraińskich, wreszcie — najwybitniejszych przewódców ludności ukraińskiej, razem z atamanem, zamknięto w więzieniu. Ukoronowaniem tego wszystkiego było przyłączenie Małopolski Wschodniej do Generalnego Gubernatorstwa. Sny o państwie ukraińskim pod opieką Führera prysły jak bańki mydlane.

Widocznie Niemcy zorientowali się w sile Polaków we Lwowie i w całej Małopolsce Wschodniej, bo właśnie od początku Polacy stali się obiektem ich obłudnej kokieterii. Dawnymi urzędnikami polskimi obsadzili pocztę i kolej, Ukraińcom natomiast oddali zarząd miasta. Nie dlatego jednak, żeby w tym mieście miała być większość ukraińska! Bo przecież w trzy miesiące od wejścia Niemców do Lwowa, wpisy szkolne przeprowadzone pod specjalną opieką ukraińskiego magistratu dały takie wyniki, iż trzy tysiące dzieci zapisało się do szkół ukraińskich, 12.500 dzieci — do szkół polskich. . . . Niemcy kokietowali Polaków, licząc na to, że po

okupacji sowieckiej, Polacy będą chcieli współpracować z każdym, kto przyniesie im zmianę. Jednak Polacy nie pisali się na współpracę z żadnym okupantem.

W czasie mego kilkudniowego pobytu we Lwowie, na ulicy Akademickiej otwarty został sklep Zalewskiego. Nad wejściem pojawił się stary, przedwojenny szyld. Przed sklepem stał conajmniej kilometrowy ogonek ludzi. Biała kawa z cukrem i ciastko, mikroskopijnie małe ale znakomite. Wszystko razem za 80 groszy. Przypomniało to dobre, prawie zamierzchłe już czasy, gdy z lotniska lwowskiego w różne strony Polski odlatywały samoloty, wożące najlepsze pod słońcem ciastka. . . .

Po bolszewikach zostało we Lwowie wspomnienie okropne. Ale poza tym, ich postępowanie, ich zachowanie się, były niewyczerpaną skarbnicą dowcipów, które dla prześladowanych ale obdarzonych wielkim poczuciem humoru Lwowian stanowiły chyba jedyną osłodę. Tysiące dowcipów, obok ponurych wspomnień — to wszystko, co pozostało po bolszewikach we Lwowie.

Gdy wracałem ze Lwowa, głowę miałem nabitą niezliczoną ilością opowiadań o małych, śmiesznych sprawach i o wielkich, bardzo smutnych wydarzeniach. Pod wpływem tych świeżych zupełnie informacyj, które zlały się razem w jeden wielki obraz najbardziej ponurych rządów wschodniego sąsiada, zapomniałem na pewien czas o gehennie milionów Polaków, którzy dostali się pod „opiekę“ Niemców.

Jakże krótko trwało to zapomnienie! Właśnie tyle tylko, ile trwał nocny sen.

Na drugi dzień, z Krakowa odjeżdżałem w dalszą drogę do Warszawy. I teraz wróciły przed oczy obrazy, tak dobrze mi znane, tak bardzo uprzykrzone od dwu lat. I znów, pod wpływem nowych wydarzeń, świeżej krwi i świeżych łez, film sowiecki zaczął się oddalać, zaczął blednąć. . . .

Pociąg z peronu 1A miał odejść o czwartej popołudniu. Zbliżało się już wpół do piątej — pociąg ciągle jeszcze stał. Przed wagonami nieopatrzonymi tabliczkami „Nur für Deutsche“ ustawiła się zgraja niemieckich policjantów w głębokich hełmach. Oczy zbrodniarzy tchnęły większą groźbą niż stalowe, długie bagnety, osadzone na lufach karabinów. Druga zgraja, z takimi samymi hełmami i z takimi samymi oczami, przeprowadzała rewizję wewnątrz wagonów. Pociąg nabity był ludźmi i bagażami. W każdym przedziale przekleństwa mężczyzn mieszały się z głośnym płaczem kobiet. Na peronie stały góry waliz. Z każdego okna wylatywały jedna za drugą ciężkie walizy. Służba kolejowa układała je na wózki i odwoziła do budynku dworca.

Jakaś kobieta w chłopskiej, kolorowej zapasce na ramionach klęczała przed sołdatem, obejmując żółte cholewy jego butów, tak, jak obejmuje się najdroższą istotę. Wśród huku spadających waliz, wśród niemieckich wrzasków, wśród szlochania i pomstowań skrzywdzonych, przebijało jedno tylko słowo klęczącej i rozpaczającej u nóg potwora:

— Litości! . . .

Po chwili kobieta leżała na ziemi nieruchoma, nieprzytomna: Niemiec kopnął ją w twarz.

Do natłoczonego przedziału, w którym siedziałem od półtorej godziny, wepchnął się starszy mężczyzna z okrawioną głową. Krew wypływała z rany nad czołem, ściekała po policzkach, skapywała z nosa i wsiąkała w ubranie. Powiedział, że próbował odebrać swoją walizkę, lecz Niemiec zdzielił go bagnetem przez głowę. W ręce trzymał okrwawioną czapkę kolejarza polskiego. Błędnym wzrokiem wodził po półkach przedziału, schylał się, zaglądał pod ławkę i warczał:

— Czekajcie, bandyci!

Pasażerowie patrzyli na niego ze współczuciem i podawali mu czyste chustki.

Wreszcie pociąg ruszył. Kierownik ruchu, stary Niemiec o wydętym brzuchu i krótkich nogach, który wrzasnął przed chwilą: Abfahrt! stał jeszcze ze wzniesioną do góry zieloną tarczą. Na betonowym peronie zostały kupy waliz, worków, tłomoków, butelki z mlekiem. Zostali Niemcy, w hełmach, z karabinami i bagnetami. Zostały świeże plamy krwi, czerwieniące się tak samo jak lampas na czapce niemieckiego kolejarza i jak szarfa, przepasująca jego granatowy mundur. Zostały jeszcze przekleństwa, złorzeczenia i łzy.

Tak rozpoczęliśmy podróż do Warszawy. Za oknami oddalały się szare domy i wysokie wieże Krakowa. Była to normalna, przeciętna podróż w warunkach okupacyjnych. Ciebie jednak zapewne zainteresuje taka „pisana fotografia" z przejazdu koleją, o czym, spodziewam się, nie masz żadnego wyobrażenia.

Naprzeciw mnie siedziała młoda dziewczyna. Jasne loki opadały niedbale na czoło i na ramiona, zielony sweterek opięty był skromnie pod szyją. Twarz ukryła w dłoniach, dusiła w sobie płacz. Nie trudno było domyśleć się, że spotkało ją to samo, co wielu innych pasażerów.

W przedziale było bardzo ciasno i bardzo duszno. Wszyscy rozmawiali o żywności, o rewizjach, o grabieży, o stratach.

— Mnie zabrali dwadzieścia kilo masła. . . .

— Mnie worek z kartoflami. . . .

Skarżyli się przed sobą, żalili. Rozumieli się doskonale.

— A pan, przepraszam, czym handluje? — zapytała mnie starsza kobieta.

— Ja nie handluję jeszcze niczym! — odpowiedziałem.

Wtedy oczy wszystkich pasażerów zwróciły się na mnie.

— Niczym, zupełnie? To z czego pan żyje? — zdziwiła się kobieta.

— Jakto, nawet wódki ani pieprzu nie wiezie pan z Krakowa? — nie mógł uwierzyć inny pasażer.

— Ja mieszkam na wsi — skłamałem. — Rzadko jeżdżę do Warszawy i jeszcze nie próbowałem. . . .

— E, panie, to wcale nie takie trudne — wtrącił się jeszcze jeden. — Ja byłem przed wojną naczelnikiem w ministerstwie komunikacji, jeździłem darmo pierwszą klasą, a teraz kursuję między Warszawą a Krakowem; w jedną stronę wożę materiały włókiennicze, w drugą żywność — i jakoś żyję.

Obok dziewczyny z jasnymi lokami siedział młody człowiek o bladej twarzy. Wyplamiony, stary, niegdyś jasny płaszcz zapiął na wszystkie guziki. Młodzieniec czytał niemiecką gazetę, ale wkrótce i on nawiązał rozmowę ze swą sympatyczną sąsiadką. Zanim dojechaliśmy do Trzebini, dziewczyna zdążyła powiedzieć młodzieńcowi, że ma osiemnaście lat, że nie zdążyła ukończyć liceum, i że teraz jeździ trzy razy w tygodniu z Warszawy do Krakowa, wożąc wszystko, na czym można zarobić. Młody człowiek dowcipkował, obsypywał ją komplementami, ona zaś żaliła się, że żandarmi zabrali jej pięć kilogramów masła i dwanaście kilogramów słoniny.

— Ale mam jeszcze sześć szynek. Żeby tylko tego nie znaleźli. . . .

— Jak pani to ukryła?

— Pod ławką w drugiej klasie „nur für Deutsche".

Młody człowiek zdjął płaszcz i kapelusz, podzielił się z współpasażerką pomarańczką i mówił żywo, wesoło.

Do Kielc dojeżdżamy z trzygodzinnym opóźnieniem. Było jeszcze zupełnie widno. Dawno już nie byłem w tym przemiłym choć bardzo prowincjonalnym mieście, otworzyłem więc okno, aby przynajmniej popatrzeć na zbombardowane mury dworca kieleckiego i na ludzi, których właśnie było na peronie bardzo wielu. Spoglądali nieufnie, bojaźliwie na kręcące się bandy żandarmów kolejowych, ubranych w ciemno-granatowe i czarne mundury, którzy prowadzili przy sobie wielkie, wypasione wilczury, w rękach zaś trzymali rewolwery. Żandarmi dokończyli właśnie rewizji bagażów podróżnych kieleckich. Połów, jak na tę stację, był wielki: na peronie ułożono dwie piramidy waliz i tobołów.

Do naszego przedziału, na miejsce jednego pasażera, który wysiadł w Kielcach, wcisnęły się dwie kobiety; było więc jeszcze ciaśniej niż przed tym. Ruszyliśmy. Jedna z nowych pasażerek zaczęła opowiadać, co działo się na tym dworcu w ciągu trzech godzin oczekiwania na pociąg.

— Przed tymi złodziejami nie ma żadnego ukrycia! — stwierdziła. — Złapali kobiecinę, no, schowała gdzie mogła, każdy sobie radzi jak umie. Wywąchali dranie, że ona przywiązała sobie trochę słoniny na brzuchu i na piersiach. To zaraz rozebrali ją do naga i dopiero sfotografowali z tą słoniną. I to na oczach wszystkich ludzi. . . .

Ale drugi wypadek nie skończył się takim wielkim wstydem:

— Nikt nie wiedział z początku o co chodzi. Postawili na peronie kobietę z niemowlęciem na ręku, z koronkami przy główce — i fotografują. Dopiero okazało się co to za „niemowlę", jak żandarm odwinął do drugiego zdjęcia chustkę, ściągnął koronkę i pokazał się na rękach tej kobiety ryjek świeżo zabitego prosiaka! . . .

— O Boże, Boże! — westchnęła druga kielczanka. — Żyć się nie chce. Kiedy Pan Bóg uwolni nas od tego plugastwa? . . .

— Niech pani nie mówi tego tak głośno! — ostrzegł zaraz jeden ze współpasażerów.

— Dlaczego nie? Cóż to, do swoich nie mogę powiedzieć? Oni chcą tylko sami wszystko zeżerać, a nasi to mają z głodu zdechnąć? Ale niech żrą; nie pójdzie im na zdrowie nasze jadło; wyrzygają jeszcze wszystko z jelitami! . . .

— Cicho — mówi znów ten sam głos. — Pani może nie miłe życie, ale mnie miłe!

— Im też miłe, a zdechną! — odpowiada z uporem kobieta.

— Bądź pani cicho, jak mówię po dobroci. Wszyscy wolelibyśmy, żeby ich nagła śmierć spotkała, ale to sobie można pomyśleć, a nie mówić. Tak czy tak przyjdzie na nich kryska i ani jeden nie zostanie tu żywy. Ale o tym lepiej nie mówić. . . .

Dopiero to przekonało kobietę i zamilkła. Tymczasem pociąg wlókł się powoli. Za oknami czerniały ściany lasów. W przedziale żarzyły się papierosy i śmierdział dym z liści kasztanowych. Było już zupełnie ciemno. Niebawem rozmowy ustały. Niektórzy pasażerowie głośno chrapali.

Nareszcie z ciemności wyłoniła się stacja Warszawa-Zachodnia. I znów zaczęło się „urzędowanie" żandarmów, rewidujących pociąg. Ledwie stanęliśmy, otoczyła pociąg banda usankcjonowanych opryszków, legalnych złodziejów, żądnych nowych zdobyczy, nowych wrażeń.

Nikomu nie było wolno wysiadać. Każdy Niemiec trzymał w jednej ręce latarkę, w drugiej rewolwer. Wchodzili całą zgrają do każdego wagonu. Rozstawiali się na korytarzach, aby bagnetami uniemożliwić podróżnym ucieczkę na peron. Kazali otwierać wszystkie walizki, świecili w każdy kąt. Obmacywali mężczyzn i kobiety. Zaglądali do teczek, do kieszeni. Nic nie ocalało, cokolwiek było do jedzenia, choćby w najmniejszych ilościach. Z korytarza i sąsiednich przedziałów dochodziły głosy:

— Panie, ma pan sumienie zabierać mi ten kawałek kiełbasy?

— Nie zabieraj pan dziecku tej odrobiny mleka!

— O Jezu, o Matko Najświętsza!

Głosy Niemców były silne, brutalne, jak oni sami. Przez okna, na peron oświetlony kilku słabymi latarniami, sypały się worki, walizki, leciały bańki z mlekiem. Skądś, z bliska, dolatywały odgłosy strzałów karabinowych.

Wreszcie — nasz przedział. Młoda blondynka wtuliła się w kąt. Młodzieniec, który był bardzo rozmowny, zaniemówił zupełnie. Włożył swój wytarty płaszcz i nasunął na czoło stary kapelusz. Siedział nieruchomo. Jeszcze jednego papierosa nie wypalił do końca, a już zapalał od niego następnego.

— Pan się nie boi? — zapytała dziewczyna.

— Nie! — odpowiedział krótko.

Błysk silnej latarki oświetlił przedział.

— Otwierać walizki! — wrzasnął Niemiec, który pierwszy wszedł do przedziału.

Rewolwery w rękach Niemców przerażają nas wszystkich. Pasażerowie ściągają swoje walizki. Dziewczyna siedzi w kącie przedziału, udaje obojętność — nie ma przecież żadnego bagażu. . . . Nagle padają spokojne słowa młodego człowieka, wypowiadane w najczystszym języku niemieckim:

— Ta pani — wskazuje palcem na dziewczynę — wiezie dużo przemytu. W Krakowie zabrano jej masło, a tu ma jeszcze sześć szynek. . . .

Napewno mniejsze wrażenie zrobiłoby w naszym przedziale zastrzelenie kogoś z tych połyskujących groźnie rewolwerów. Niemiec zbliżył się do dziewczyny i oświetlił dokładnie jej twarz.

— Gdzie szynki? — zapytał.

— Pod ławką w przedziale drugiej klasy dla Niemców — wyręczył ją młodzieniec, którego blada twarz przy skąpym świetle latarki bateryjnej wydawała się teraz więcej niż obrzydliwa.

Dziewczyna wybuchła płaczem. Płakała głośno, serdecznie. Napewno mniej w tej chwili bolała ją strata, niż podłość ludzka.

Wyszła razem z żandarmami. Szpicel usiadł, nie odzywając się do nikogo ani jednym słowem. Nie odezwał się też nikt z pasażerów. Ale niewątpliwie pięści każdego same zaciskały się na tego łobuza o bladej twarzy. Przypominałem sobie wszystko, o czym mówiono podczas podróży. Byłem pewien, że lekkomyślna kielczanka ciężko odpokutuje swoją rozmowę. Niebawem wróciła dziewczyna z jasnymi lokami. Płakała jeszcze głośniej niż przedtym.

Po męczącym, jakże długim postoju, pociąg ruszył. Po kilku minutach byliśmy na Dworcu Głównym. Tu, jeden z pierwszych z naszego przedziału wyskoczył na peron agent o bladej twarzy. Zabrał z sobą małą walizeczkę i kilka gazet niemieckich. Jeszcze

przechodząc przez olbrzymią, niewykończoną halę dworca, w której, jak zwykle, było bardzo dużo Niemców i w której ciągle skowyczał z głośników głos speakera kolejowego: Achtung, achtung!, obserwowałem moją sąsiadkę z przedziału, gadatliwą kielczankę. Nikt jej jednak nie zatrzymał i przed dworcem wsiadła do rikszy.

Nie trudno było domyśleć się, że zadania tego agenta ograniczały się do wykrywania przemytu żywności.

Napewno będę w zgodzie z prawdą, stwierdzając, że Warszawa dwa razy od września 1939 przeżywała okresy, w których nastroje dochodziły do temperatury wrzenia. Dwa razy przeżywała gorączkę, w której wielka zmiana naszego losu majaczyła w zupełnie konkretnych zarysach. Pierwszy raz, 10 maja ubiegłego roku, gdy oddziały niemieckie wkroczyły do Belgii, Holandii i Luxemburga, i drugi raz — gdy rozpoczęła się wojna z Rosją. Ale po wielu tygodniach marszu niemieckiego na Wschód, znów, jak przed rokiem po upadku Francji, nastroje stają się smutniejsze z dnia na dzień. Niemcy idą za szybko, za daleko. Rosjanie okazali się słabsi niż spodziewaliśmy się. W wielu miejscach Warszawy, między innymi przed Dworcem Głównym stoją olbrzymie mapy frontu sowieckiego, na których codziennie, nieraz dwa razy dziennie Niemcy posuwają na Wschód swoje chorągiewki. To zawrotne tempo nie rokuje niczego dobrego. Dzienniki niemieckie i gadzinówki kraczą już teraz każdego dnia, że wzięcie Leningradu i Moskwy to kwestia bardzo krótkiego czasu. Jak bardzo Niemcy są tego pewni, świadczą o tym nowe drogowskazy dla ruchu samochodowego z napisami: „Nach Leningrad“, „Nach Moskau“.

Zresztą na nastroje nasze wpływa także w pewnym stopniu krzykliwa propaganda niemiecka, głosząca — w niezliczonych ilościach transparentów, plakatów, ulotek: „Deutschland siegt an allen Fronten“. Wpływa też mgławicowość wypowiedzi brytyjskich i ociąganie się Stanów Zjednoczonych z przystąpieniem do wojny. Mimo to, pisma tajne przypominają wyprawę moskiewską Napoleona, znajdując w niej wiele podobieństw do wyprawy Hitlera i pokładają całą nadzieję w zimie i w mrozach rosyjskich.

Więc znów jest odrobina nadziei. Znów wierzymy. A wiosną, już przecież nie później niż tą wiosną, ruszą z Zachodu olbrzymie armie sojusznicze. Najgorsze jest to, że musimy wciąż czekać, czekać i czekać.

Rosjanie orientują się widocznie w naszych nastrojach, wynikających z obaw o ich niepewny los i próbują nas pokrzepiać na duchu za pomocą bomb, rzucanych co pewien czas na Warszawę.

Trudno inaczej zrozumieć te wizyty, niż jako chęć przekonania nas, że Czerwona Armia rozporządza znacznymi siłami lotniczymi, skoro pozwala sobie na wyprawy nie związane z operacjami na froncie. Dotychczas zresztą bombardowania sowieckie nie wyrządziły najmniejszych strat Niemcom, natomiast przyniosły duże straty Polakom.

Pierwszy nalot sowiecki na Warszawę mieliśmy w kilka dni po wybuchu wojny. Bomby rzucone podobno z wysokości dziesięciu tysięcy metrów, spadły na tramwaj na ulicy Zygmuntowskiej, na Krakowskie Przedmieście przy Ogródku Hoovera i na Smolnej przy szpitalu oftalmicznym. Zabiły one kilkudziesięciu Polaków. Podczas późniejszych nalotów, niezbyt częstych zresztą, bomby spadły w centrum miasta i na peryferia, ale wszędzie daleko od fabryk, kolei, czy budynków wojskowych. Na wszelki wypadek Rosjanie ogłosili, że jeden z mostów w Warszawie został zniszczony, co oczywiście nie jest prawdą.

W stolicy Polski, gdzie nie ma ani jednego domu bez śladów wojny, która jest zrujnowana bombami i artylerią podczas oblężenia wrześniowego, bomby sowieckie przyjmowane są wrogo. Nie czynią one oczywiście żadnego wrażenia na mieszkańcach, Polakach, pamiętających jeszcze doskonale niemiecki blitz. A zresztą, gdyby nawet wywierały wrażenie, to czyż bolszewikom miałoby zależeć na teroryzowaniu ludności polskiej?

Jedyna pociecha z tych nalotów (może na tym ma polegać bolszewickie „ratowanie“ naszych nastrojów? . . .) to umożliwienie nam lepszego poznania Niemców. Bo w Warszawie podczas alarmu oficerowie niemieccy zachowują się gorzej niż polskie dzieci. Naloty nie służą im; nie potrafią nawet tego ukryć. Gdy zawyją syreny alarmowe, wspaniałą próbkę porównawczą nerwów Polaków i Niemców dają warszawskie kawiarnie. Któż bowiem zrywa się natychmiast od stolików i pędzi do najbliższych piwnic? Tylko Niemcy! Tylko ci dumni bohaterowie, którzy zdobywali Warszawę, którym pobrzękują na piersiach medale za wyczyny waleczne. . . . Tymczasem Polacy siedzą bez śladu zdenerwowania i patrzą z ironicznym uśmiechem na tych, którzy obecnie „bronią“ Warszawy. To jest dla nas naprawdę jedyna korzyść z nalotów sowieckich, korzyść zbyt mała, aby wynagrodziła ponoszone straty.

Bomby sowieckie napewno nie lecą na nasze miasta i na głowy naszych ludzi, jako dowód sympatii i życzliwości Moskwy dla Polski i Polaków. Ale Polacy, którzy naogół szybko zapominają krzywdy i zadane im rany, potrafili ustosunkować się do Rosjan conajmniej przyzwoicie. Nawet za te bomby całkiem niepotrzebne, zrzucane na nasze ruiny, płacimy im uczciwą monetą. Właśnie, gdy kończę ten list, ukazały się obwieszczenia gubernatora warszawskiego, zawiadamiające, że podczas transporto-

wania jeńców sowieckich w Warszawie uciekło kilkudziesięciu i dotychczas ani jeden nie został odnaleziony. Gubernator wyznacza nagrody i grozi Polakom śmiercią za ukrywanie jeńców. Jestem pewien, że nie znajdzie się żaden.

Gdy wracałem ze Lwowa do Warszawy, na dworcu w Radomiu stał pociąg towarowy, pełen jeńców sowieckich. Nasz pociąg stanął na sąsiednim torze. W małych okienkach zaplombowanych wagonów były głodne, pomęczone, zarośnięte twarze krasnoarmiejców. Nie wiem jak zachowywali się Rosjanie gdy po wrześniu 1939 transportowano w ten sam i gorszy sposób setki tysięcy Polaków na Sybir, ale widziałem jak zachowywali się ludzie z naszego pociągu. Z okien wagonów leciały do małych okienek jeńców niezliczone ilości papierosów, kawałków chleba, wędliny, paczek z tytoniem i nie wiem czego jeszcze. Żołnierze sowieccy łapali to wszystko chciwie, dziękując uśmiechem i symbolicznym ściskaniem własnych dłoni.

W ogólnych warunkach naszego życia wojna niemiecko — rosyjska przyniosła dalsze pogorszenie. Ceny żywności i artykułów pierwszej potrzeby skoczyły w górę i podnoszą się z każdym dniem. Niemcy, magazynując żywność dla wojska, znów zmniejszyli nam i tak już skąpe racje kartkowe. Głód w Warszawie daje się coraz bardziej we znaki. I nadal coraz bardziej odczuwamy brak lekarstw. Wyobrażam sobie jak straszna będzie dla nas zima w tej sytuacji. Lepiej o niej jeszcze nie myśleć.

LIST DZIEWIĄTY

Kamienie na zagonach

Wieś w Górach Świętokrzyskich, w październiku 1941.

Mój drogi,

minęły już dwa lata od czasu owych czarnych dni przepięknej jesieni polskiej, w których rozpoczęło się nasze potworne życie niewolników. W ciągu tych dwu lat przywykliśmy do wielkich nieszczęść, do zbrodni niemieckich popełnianych nieustannie na Polakach, zżyliśmy się ze śmiercią. Wiadomość o śmierci w jakimś obozie, albo o rozstrzelaniu w jakimś miejscu kaźni nawet najbliższych osób, nie wywiera już wielkiego wrażenia prawie na nikim. Życie nasze ma naprawdę niewielką wartość. Jestem zresztą przekonany, że dla wielu ludzi męczonych w więzieniach i torturowanych w obozach koncentracyjnych, śmierć staje się

upragnieniem i może częściej o nią niż o inne wybawienie modlą się ci, którzy najbardziej cierpią. Do śmierci osób bliskich i drogich przyzwyczajeni są szczególnie ludzie, których głównym zajęciem jest walka z najeźdźcami. Nad śmiercią przyjaciela, złapanego na wykonywaniu jakiejś roboty, przechodzi się zupełnie lekko do porządku dziennego, czasem tylko przypominając: to był mocny charakter. . . .

A jednak są wypadki, gdy śmierć najbliższego przyjaciela i współpracownika wstrząsa człowiekiem, rani głęboko serce i okrutnie boli. Może takich wypadków jest mało, ale są. Właśnie w takim stanie siedzę teraz na wsi, czując, że siła bólu wewnętrznego jest tym większa, gdy z nikim, absolutnie z nikim nie można o tym bólu mówić, nikomu się poskarżyć. Tym chętniej więc biorę pióro, aby Tobie opowiedzieć to smutne, bardzo smutne wydarzenie.

Piotruś Palus nie żyje.

Piotruś należał do ludzi, dla których obawa o życie jest uczuciem zupełnie obcym. Należał do ludzi, którzy przekraczając próg owej tajemniczej świątyni, nazywanej Konspiracją, sami siebie skazują na śmierć, którzy spokojnie oczekują jej, a gdy przychodzi, patrzą jej zimno w oczy. Warunki w jakich ta śmierć nastąpiła były jednak zupełnie nieoczekiwane.

W przeddzień katastrofy, około godziny jedenastej wieczór, zjedliśmy razem kolację. Doszliśmy potem do rogu Marszałkowskiej i Alei Jerozolimskich, i gdy żegnaliśmy się, Piotr nagle zaproponował mi, żebym przenocował u niego. Chciał abym mu pomógł odbić na powielaczu kilkaset listów, przeznaczonych dla urzędników niemieckich. Jak zwykle, miały to być informacje z radia brytyjskiego, ostrzeżenia i groźby. Do dziś nie rozumiem, dlaczego ta robota, wykonywana dotychczas przez kogo innego, znalazła się właśnie w jego rękach i dlaczego on tak lekkomyślnie urządził to powielanie u siebie w domu. Właściwie tylko drobiazgowi, małemu przypadkowi zawdzięczam swoje ocalenie. Tego bowiem dnia zachorowała ciężko moja córeczka i to był jedyny powód, dla którego nie nocowałem wówczas u Piotrusia.

Następnego dnia rano, nie przeczuwając żadnego nieszczęścia, jak zwykle stałem przy wózku z książkami. Koło godziny jedenastej miał mnie zluzować Piotruś i na niego właśnie czekałem. Nagle podeszła do mnie młoda kobieta, której do tej pory nigdy w życiu nie widziałem. Miała płaszcz zarzucony na ramiona, ze zwisającymi rękawami, twarz białą jak papier, i duże, wilgotne oczy.

— Niech pan idzie zaraz za mną do bramy! — powiedziała cicho, głosem rozkazującym, patrząc przy tym nie na mnie, tylko na książki.

— Po co? — zapytałem.

— Niech pan to wszystko rzuci i proszę w tej chwili iść za mną! — powtórzyła jeszcze dobitniej.

Zawahałem się, ale poszedłem. Weszliśmy do bramy jakiegoś domu na Brackiej. Tu nieznajoma zaczęła szybko i bardzo chaotycznie opowiadać:

— Pana Broniewskiego zabrali z domu dziś o piątej rano. . . . Przyjechali po niego wielkim samochodem. . . . Obstawili cały dom. . . . Gdy przyszli, spał. . . . Bili go okrutnie. . . . Wszystkie ściany jego pokoju są zbryzgane krwią. . . . Pytali nas, czy nie mamy adresów Kisielewskiego i Mikuły. . . . Zabrali też moją matkę. . . .

Była to córka właścicielki mieszkania, od której Jerzy Broniewski odnajmował pokój. Nie znałem jej; zresztą może tylko nie zwracałem na nią uwagi, ale ona widywała mnie wchodzącego do Broniewskiego. Dla niej był to Jerzy Broniewski — bo tak właśnie był w tym domu zameldowany Piotr Palus.

Nie pamiętam, czy podziękowałem jej za wiadomość, za jej odwagę. Ale pamiętam, że zostawiłem ją w tej bramie i poszedłem, siląc się na spokój — w przeciwnym kierunku niż stał mój wózek, którego zresztą więcej już nigdy nie oglądałem.

Pytali o adresy Kisielewskiego i Mikuły. To znaczy o mnie i o jeszcze jednego naszego przyjaciela, który właśnie na kilka dni przed tym — całe szczęście że z papierami na inne nazwisko — pojechał na robotę na Śląsk. Nie próbowałem teraz nawet odgadywać przyczyny wsypy. Powiadomienie żony i uratowanie jej razem z dzieckiem było zaganieniem najważniejszym. Do domu nie mogłem już pojechać sam, a sytuację komplikował brak telefonu w mieszkaniu. Zresztą, miałem już tylko słabą nadzieję, że zastanę w domu rodzinę, skoro o mój adres pytano o piątej rano. . . .

Ale kogo tam posłać? Szedłem przed siebie i szukałem w pamięci przyjaciół, znajomych, którzy mogliby mi teraz przyjść z pomocą.

Nagle jasna, zupełnie konkretna myśl błysnęła mi w głowie. W domu jest chore dziecko, więc posłać znajomego lekarza! Niech pójdzie — nic mu nikt nie zrobi, nawet jeżeli w domu są już agenci Gestapo. Miałem przyjaciela lekarza, zacnego doktora Tomkiewicza, który opiekował się małą panną „Kisielewską" od pierwszych tygodni jej życia, gdy nazywała się jeszcze zupełnie inaczej. Siadam w pierwszą spotkaną rikszę, głowę wtulam w kołnierz płaszcza i pędzę do doktora.

Ale tu spotyka mnie niespodzianka; wielka i szczęśliwa niespodzianka!

— Doktorze — mówię z miejsca — niech się pan w tej chwili ubiera i jedzie do mojej córki! Niech pan ją. . . .

— Cóż nowego się stało? — nie dał mi dokończyć zdania.

— No chora, wczoraj pogorszyło się. . . . Zresztą, pan musi tam natychmiast pojechać i to już, w tej chwili! I poza tym mam do pana wielką prośbę. . . .

— Ależ ja badałem pańską córkę dwie godziny temu. . . .

— Jakto, pan tam był?

— Nie, nie byłem. Ale pani była tu z dzieckiem. . . .

— Była? Tutaj? Dwie godziny temu? — pytałem. — I pojechała do domu? Tak? . . .

— Chyba jeszcze nie, bo musiała pójść z dzieckiem do szpitala. . . .

Do szpitala! Zrozumiałem, że musiało nastąpić jakieś nagłe pogorszenie w zdrowiu dziecka, ale mimo to odetchnąłem z wielką ulgą. W kilkanaście minut później byłem w szpitalu. Żona wychodziła właśnie z budynku szpitalnego z dzieckiem na rękach.

— Już myślałam, że oszaleję, — zaczęła. — Nie upłynęło pięć minut od twojego wyjścia z domu, jak Kubuś zaczął wymiotować krwią. Wszystko zostawiłam, porwałam dziecko do rikszy i zawiozłam najpierw do doktora Tomkiewicza. Ale dopiero tutaj, w szpitalu, spadł mi kamień z serca. Badali ją dokładnie i stwierdzili, że nie ma nic groźnego.

Kubuś ma poważne imię: Monika, otrzymane na chrzcie w dniu 25 września, podczas oblężenia Warszawy, ale to porządne imię odłożone jest na lepsze czasy; narazie nazywamy ją Kubuś i wszyscy są bardzo zadowoleni.

— To wielkie szczęście! — odpowiedziałem i zaraz wyłożyłem żonie wszystko, co miałem do powiedzenia: — Słuchaj, przede wszystkim wielkie szczęście nie w tym, że ten krwotok okazał się niegroźny, ale w tym, że w ogóle był i że wyjechałaś z domu.

— Co się stało? — zapytała żona z przerażeniem w oczach.

— Stało się to, czego się domyślasz. Jest katastrofa. Palus aresztowany, mnie szukają. Więc do domu już nie wrócisz. Wyjedziesz dzisiaj i to jakimś najbliższym pociągiem, poza Warszawę.

— Ale ja jestem całkiem nieubrana, dziecko też nic nie ma . . . — zmarwiła się żona.

Po upływie dwu godzin od tego spotkania, żegnałem żonę i córkę w okolicy dworca. Zabrała z sobą niewiele pieniędzy, dowód osobisty na nowe nazwisko i wiele obaw w sercu. Zdążyła tylko w ciągu tego krótkiego czasu posłać do naszego domu swoją przyjaciółkę, dając jej adres naszej sąsiadki, mieszkającej dwa piętra nad nami. Przyjaciółka powróciła, aby stwierdzić krótko, że krwotok dziecka był opatrznościowy. Na drzwiach naszego mieszkania wisiały pieczęcie policyjne, a w bramie i na schodach stały posterunki Gestapo.

Zastanawiałem się długo, dlaczego ta „wizyta“ u mnie była

złożona kilka godzin później niż u Piotrusia. Rzucało to pewne światło na zagadkę denuncjacji. Było bezsporne, że pochodziła ona ze środowiska ludzi, znających lepiej Piotrusia, niż mnie. A różnica w czasie „odwiedzin" naszych mieszkań mogła pochodzić stąd, że dla otrzymania mojego adresu, panowie z Gestapo mogli czekać do 8.30 rano, zanim zaczęło urzędować miejskie biuro adresowe. . . . To jest śmieszne, ale prawdopodobne.

Obowiązki zatrzymały mnie w Warszawie jeszcze przez trzy dni. Zlikwidowawszy najpilniejsze sprawy siadłem na rower i ruszyłem w drogę. Było bardzo skwarne południe, więc ubrałem się w krótkie majteczki, nie sięgające kolan i w kolorową koszulę z wykładanym kołnierzem. Ogoliłem też zupełnie głowę. Odmłodziłem się conajmniej o dziesięć lat. Oczywiście, mogłem był pojechać pociągiem, ala taka podróż byłaby dla mnie bardziej niebezpieczna, niż wyprawa rowerem. Jechałem na Grójec, Warkę, Radom i Kielce. Gdy zapadał zmierzch, przejeżdżałem przez wąskie ulice Kielc. Tutaj dopiero, u moich przyjaciół kieleckich poczułem się bezpieczny. Na drugi dzień jechałem do pewnej wsi, ukrytej wśród lasów. Tę właśnie wieś i kilku jej gospodarzy polecono mi w Kielcach. Mówiono, że dojazd do wsi jest trudny i że z tego powodu Niemcy bywają w niej stosunkowo rzadko. Zdziwionym chłopom, którzy nie mogli zrozumieć mojego zjawienia się w październiku w charakterze „letnika", wytłumaczyłem, że przeszedłem bardzo ciężką operację i że po wyjściu ze szpitala lekarz zalecił mi powietrze i spokój wsi. . . . To wystarczyło, aby moi gospodarze otoczyli mnie serdeczną troskliwością.

Miałem jedenaście dni wspaniałych, zupełnie nieoczekiwanych wakacyj. Odpoczywałem doskonale, jak za najlepszych polskich czasów. Włóczyłem się po różnych chałupach, rozmawiałem z chłopami, przeszkadzałem w pracy kowalowi, siadając na progu kuźni, podczas gdy on wraz z czeladnikiem dobywał z rozpalonych sztab żelaza fontanny złotych iskier, wytryskujące za każdym uderzeniem młota. Moje nerwy, które po ostatnich wydarzeniach nie były w najlepszym stanie, wydawały się już zupełnie uleczone. I oto po jedenastu dniach przyjeżdża do mnie jeden z moich warszawskich przyjaciół, młodziutki Zenek Tabaczyk, który zaledwie przed kilku miesiącami składał na moje ręce przysięgę po wejściu do roboty.

— Piotra rozstrzelali. . . .

Zenek przyjechał jednak nie tylko po to, aby zawiadomić mnie o śmierci Palusa. Wyjął z kieszeni list, adresowany do żony Lolka Góreckiego, z którym straciłem kontakt conajmniej pół roku temu. Lolek, jak Ci już pisałem, należał do najpierwszej naszej grupy wydawniczej i był współtwórcą pierwszego numeru

„Warszawianki". Był to gryps, napisany przez niego w więzieniu św. Michała w Krakowie. Nie wiedziałem co się z nim dzieje, nie wiedziałem, że siedzi w więzieniu. Wiedziałem tylko, że pojechał do Krakowa, że miał tam dostać zatrudnienie w fabryce monopolu tytoniowego i że związał się z grupą, organizującą zamach na gubernatora generalnego, Franka.

Górecki pisał: „Wiem, że umrę z piętnem zdrajcy, ale nie mam siły znosić dłużej tych cierpień. Nie mam już ani jednego zęba, żebra połamane, płuca odbite, charczę krwią. Mówiłem same kłamstwa na zeznaniach. Ale niech się dzieje co chce, dalej kłamać już nie mogę. Na ostatnim zeznaniu mówiłem tylko prawdę. Powiedziałem, że rozpocząłem pracę z Wackiem, podając jego prawdziwe nazwisko i ten pseudonim jaki znałem. Powiedziałem wszystko, czego ode mnie chcieli. Dałem jego adres na Żoliborzu i zeznałem, że tam zbieraliśmy się na początku naszej pracy. Podałem różne nazwiska. . . ."

W liście tym Lolek prosił, by mu darować słabość jego charakteru, i pisał, że gryps swój wysyła, aby mnie i innych ostrzec. Na koniec żegnał swoją żonę i dziecko.

Oddałem kartkę Zenkowi i zapytałem, co jeszcze wie o Palusie. Nie wiedział jednak nic więcej; tyle tylko kazali mu powiedzieć, że rozstrzelany i że nie wiadomo o żadnych dalszych aresztowaniach w związku z tą wsypą.

— Ale teraz najważniejsza sprawa to chyba z tym Góreckim? — zapytał Zenek.

Uspokoiłem go, że ta sprawa jest już nieaktualna i nie groźna. Moje mieszkanie na Żoliborzu zostało od dawna zlikwidowane, moje prawdziwe nazwisko też od dawna brzmi w moich uszach zupełnie obco, a dalsze fikcyjne nazwiska i dalsze adresy zmieniały się prawie tak często, jak pogoda. Najdłużej nazywałem się „Marian Bogusław Kisielewski", ale tego nazwiska Lolek już nie znał. Jeśli chodzi o innych, to oni też nie nosili już swoich nazwisk sprzed pół roku i chyba także żaden z nich nie mieszkał na dawnym miejscu.

Zenek wyjechał tego samego dnia, a mnie ogarnęła apatia. Położyłem się w ubraniu na swoim łóżku, leżałem bez ruchu cały wieczór, całą noc. Nazajutrz zerwałem się o świcie i pobiegłem jak szalony w głąb lasu. Zdawało mi się, że ciągle widzę Piotrusia przy pracy w drukarni, przy wózku z książkami, przy linotypie. I że ciągle słyszę jego głos. Jego głos! Właśnie brzmią mi w uszach słowa Piotrusia:

— My, młodzi, będziemy urządzali nową Polskę. . . .

Siedzę teraz na tej odludnej wsi i jest mi bardzo smutno. Tym smutniej, gdy w rozmyślaniach swoich dochodzę do wniosku, że w Polsce giną ludzie najlepsi, ludzie o najszlachetniejszych, najgorętszych sercach.

Ale muszę znów powiedzieć, że dzięki temu mojemu pobytowi na wsi, uświadomiłem sobie, iż szlachetne, gorące serca tętnią miłością Ojczyzny nie tylko w Warszawie, nie tylko w miastach. We wsi, w której jestem, mogłem przekonać się w rozmowach z tymi ludźmi, jak oni naprawdę kochają Polskę i jak tęsknią za utraconą wolnością. W tej wsi, bez żadnej przesady, bez patosu — patriotyzm pali się wielkim płomieniem. Ileż przyjemności sprawiają wieczorowe rozmowy z tymi chłopami! Ileż w tych ludziach siły duchowej i ile przywiązania nie tylko do własnego zagonu, ale do całej ziemi polskiej!

Gdy dotarłem tutaj, zatrzymałem się na pagórku pod krzyżem pochylonym ze starości i długo wpatrywałem się w równinę pól, otoczoną ze wszystkich stron wspinającymi się w górę lasami. Po Warszawie, po długich miesiącach życia w ciągłym napięciu nerwów, po ucieczce, uśmiechałem się do tego uroczego widoku do tego skrawka ziemi, który wydał mi się aż nienaturalnie spokojny. Nad całą okolicą wisiała cisza, w której słychać było wyraźnie szum lasu i którą zakłócał tylko od czasu do czasu warkot pił mechanicznych, ścinających drzewa. Czułem się jak pielgrzym, który po długiej tułaczce znajduje wreszcie to, czego szukał: ciszę.

Ta wieś świętokrzyska żyje jednak życiem normalnej wsi polskiej. Życiem codziennych trosk, kłopotów, wielkich zmartwień i małych przyjemności. Był tu niegdyś, przed wojną spokój. Była radość. Ale dziś cień tyranii niemieckiej rozłożył się ciężko i na ten mały, odludny skrawek ziemi. Można nie zauważyć tego tylko z pod krzyża na wzgórzu, u wejścia do wsi. . . .

Jednego wieczora przyszedłem do domu starego gospodarza, Macieja Grzeli, u którego zbierali się miejscowi chłopi. Grzela to mały człowiek o sumiastych wąsach, dużych, mądrych oczach, suchej twarzy i prostym, nieco przydługim nosie. Ma ósmy krzyżyk, ale rzeźkością ciała i umysłu prześciga młodych. Brał udział w rewolucji roku 1905, był na Kaukazie, na Syberii, zna kawał świata, ale kocha tylko swój kawałek ziemi w świętokrzyskiej krainie. W domu Macieja — tak nazywa go cała wieś — zeszli się Wójcikowie, Grzelowie, Kamionkowie. (Połowa mieszkańców wsi to jedna rodzina Wójcików i Grzelów.) Wielu chłopów rozsiadło się w izbie na ławach, stołkach, na krawędziach łóżek. Kręcili papierosy z podłego tytoniu, kurzyli, kaszlali. Rozmowa była poważna. W rogu izby przykucnął po turecku pięcioletni Janek, wnuk Macieja, śmieszny pędrak o płowej czuprynie i w gospodarskich cholewach; przysłuchiwał się uważnie.

— Pójdziemy z torbami na dziady, no to pójdziemy! — mówił jeden z Wójcików. — Ale kto nam da ten kawałek chleba? We wszystkich wsiach ludzie głodują. U nas w tym roku umiera siódme dziecko. A tu coraz nowsze prawa, codzień przychodzą papierki z kogutkiem*), groźby. Nie ma dnia, żeby kogoś nie zbili, że aż żal serce ściska. W lesie biją, na wsi biją, w gminie biją. . . .

Maciej przerwał, podnosząc swoim zwyczajem prawą rękę do góry. Maciej miał na sobie białą, zgrzebną koszulę z rękawami zawiniętymi do łokci.

— Tu nie o to się rozchodzi — zaczął. — Narzekaniem nikt jeszcze na świecie nic złemu nie zaradził. Bieda jest wielka z nami — to wszyscy wiemy i musimy cierpieć, bośmy przegrali wojnę. Ale rozchodzi się o to, że już zakładają nam teraz stryczek na szyję. A tym stryczkiem są kontyngenty. Jeszcze w tamtym roku można było jakotako wytrzymać. Naznaczyli kontyngenty, musieliśmy dać, odwieźć i jakoś się przeżyło. Ale teraz, Pan Bóg świadkiem, zarzynają nas żywcem. Pomierzyli pola, obliczyli sobie wszystko, każą harować i powiadają, że to wszystko co pole urodzi jest ich; że sami wyznaczą jakąś tam cząstkę na nasze zużycie. Mówią, że za to co wezmą, zapłacą. Ale niech ich tam Pan Bóg skarze za tę ich zapłatę!

— Na tym się nie kończy — wtrąca inny Grzela. — Bo przecież nie mamy już czym robić. Konie pozabierali, w całej wsi są tylko cztery konie, krowami wozimy z lasu klocki, a jak to będzie dalej z robotą w polu? Czym mamy robić?

— Tak, tak, można zwariować od tych kontyngentów — dodaje jeszcze inny Grzela. — Kontyngenty drzewa, kontyngenty zboża kontyngenty bydła, koni, kontyngenty drobiu, no i kontyngenty ludzi na roboty do Niemiec. . . .

Znów zabrał głos Maciej:

— Radzić trzeba, ratować się, ale co radzić, jak się ratować, kiedy nic nie ujdzie oku tych bandytów. W tem cała rzecz! Jeszcze do wiosny można było coś robić. Zabijali po drogach, bili, odbierali, ale można było zanieść do Kielc czy do Opatowa trochę masła, mleka, jaj. Przychodzili na wieś miastowi, kupowali kartofle, kury, jaja, masło, śmietanę. A dziś za wszystko śmierć! Przecież Józiową, tę spod lasu, i Franka, tego z międzystawów, rozstrzelali za to, że sprzedali własne kury i własne kartofle. No, a takżesamo już dwóch z naszej wsi rozstrzelali za żarna. Wójt odczytywał wczoraj zarządzenie landrata, że nie wolno nic sprzedać z wolnej ręki, nawet kila kartofli, nawet jednego jajka; że wszystko trzeba odstawić Niemcom. A przecież te ich kontyngenty są takie, że tego nie urobi.

---

*) Tak nazywają Polacy orła niemieckiego.

Każdy sypał teraz przykładami, z których wynikało, że Niemcy jednakową metodę stosują do wszystkich. W wyznaczaniu kontyngentów nie liczą się z możliwościami zrealizowania ich. Wyrachowanie ich jest proste: aby każdy gospodarz, który nawet chciałby być sumiennym dostawcą kontyngentów, ciągle był dłużny, aby go zawsze można było pociągnąć do odpowiedzialności za sabotowanie zarządzeń.

— Pieniędzy nie ma, — skarżył się jeszcze jeden — produktów nie ma. A tu tymczasem za najgorszy przyodziewek żądają na targu pięćset złotych, za marną koszulę sto złotych. Nafty, soli nie ma wcale. Już nie mówię o cukrze. . . .

Chłopi sarkali, narzekali pomstowali. Maciej uspokoił ich dostojnym podniesieniem ręki i sam mówił:

— Na siłę jest tylko jedna rada: silniejsza siła. Otóż my jesteśmy słabi. Ziemi nie opuścimy, bo to ziemia naszych ojców, naszych dzieci i ziemia polska. — Maciej zastanawiał się, mówił wolno, słowo za słowem: — Musimy pracować, znosić biedę i cięgi w cierpliwości i pokorze i . . . — tu Grzela podniósł głos — . . . i tak wszystko robić, żeby ci psubraci germańscy jaknajmniej mieli pożytku z nas i z naszej ziemi!

Nikt się nie odezwał. Dopiero po chwili ktoś wypowiedział cicho:

— Święte słowa. . . .

Do starego Grzeli podszedł Bronisław Wójcik, starszy, tęgi człowiek, jeden z zamożniejszych gospodarzy, i powiedział:

— Macieju, macie tu moją rękę. Sumiennie powiedzieliście. Chłop polski nie powinien dobrowolnie karmić Niemca. Prędzej niech się ta ziemia w skały zamieni, kamieniami porośnie! . . .

Mały Janek, który słuchał rozmowy z wielką uwagą, przyjął do serca najbardziej bezpośrednio to, co powiedział Bronisław Wójcik.

Cała wieś śmiała się, gdy na drugi dzień opowiadano zabawną historię o tym brzdącu. Rano dziadek Maciej wychodzi na pole. Janek pracował już jak stary rolnik. Lewą ręką trzymał spód swojej długiej koszuli, wywiniętej aż po szyję i — jak siewca ze swego fartucha — prawą ręką wyjmował jakieś okruszyny i rozrzucał po polu.

— Janek! — zawołał Maciej.

Siewca obrócił głowę w stronę dziadka.

— Co ty tam robisz?

— Sieję, żeby tu kamienie wyrosły! — odpowiedział chłopak, nie przerywając „pracy“.

Maciej zbliżył się do wnuka i zobaczył w koszulinie pełno drobnych kamyków.

— A żeby cię! — zaśmiał się stary. — A przecież opuść tę koszulę, bo ci jeszcze jaka gęś kutaska uszczypie! . . .

W lesie warczy przez cały dzień motor. Mechaniczne piły, sprowadzone przez Niemców, ścinają stare, wielkie drzewa. Przy samej obróbce pracuje trzystu ludzi. Drogą prowadzącą ze wsi do lasu i z lasu do najbliższego miasteczka ciągną w obie strony, przez cały dzień, szeregi wozów. Pracują wszystkie konie i wszyscy gospodarze z okolicznych wsi. Dzień pracy zaczyna się o szóstej rano. Długie, ciężkie „klocki" trzeba ładować w lesie na wóz, odwozić do miasteczka i tam wyładowywać na składnicy tartacznej. Chłopi skarżą się, że bolą ich plecy od pracy i od bicia. Nie mogą wyrobić kontyngentów od szóstej zrana do nocy. Niemcy krzyczą i biją — wciąż im mało. Śpieszą się ze zlikwidowaniem lasów świętokrzyskich, których perłą jest Puszcza Jodłowa — park narodowy imienia Stefana Żeromskiego.

Wśród wielu smutnych wydarzeń, jakie rozgrywały się w tej wsi w ciągu dwu lat okupacji, jedno było właśnie na tle gorączki ścinania naszych lasów. To wydarzenie, jak i inne, utkwiło silnie w pamięci mieszkańców wsi, którzy przypominają je przy lada okazji. Otóż — jak opowiadał mi kowal — któregoś dnia lipcowego wójt zawiadomił, że do miasteczka trzeba posłać pięć podwód. Do wsi miała przyjechać inspekcja leśna. I rzeczywiście przyjechało dwudziestu kilku Niemców. Mieli karabiny, a oprócz tego — długie, rzemienne szpicruty. We wsi lęk ogarnął ludzi, ale wszyscy poszli posłusznie na miejsce zbiórki. Jeden Niemiec przemawiał po polsku. Mówił, że chłopi z tej wsi sabotują niemieckie zarządzenia, że nie chce im się pracować w lesie. Przestał, i w tej chwili w tłum zebranych i stojących pokornie wpadła rozwścieczona banda Niemców. Świst nahajek i uderzenia zagłuszał potworny krzyk napadniętych. Niektórym Niemcom wypadły z rąk baty, więc zastąpili je karabinami, rozbijając kolby o głowy chłopskie.

Ta wioska świętokrzyska, która z pod pochylonego krzyża na wzgórzu wydaje się obcemu przybyszowi z dalekich stron przystanią wymarzonego spokoju, przeżywa okupację tak samo ciężko jak wielkie miasto. Bo i tutaj, jak w wielkim mieście, rządzą Niemcy, z jednakową furią ścinając lasy i ludzi żyjących wśród tych lasów.

Już pierwszego dnia mego pobytu we wsi, słyszałem o tragedii, jaka rozegrała się tu w maju tego roku. Pewnego dnia, w niedzielę, wybrałem się na zbiorowy grób wielu mieszkańców wsi. Zabrała mnie tam urodziwa córka sołtysa, Grzelówna, która często chodzi na ten grób, do swego brata.

Weszliśmy w las, szumiący jak zawsze. Z kilku miejsc naraz szczekały piły mechaniczne, jakby rozmawiały z sobą. Kukułki i dzięcioły nadawały dalekiemu odbiorcy swoje tajemnicze sygnały. Słońce rozlało się krwawą plamą nad lasem i zeszło

za wierzchołki drzew. Wąską ścieżyną doszliśmy do małej polany.

— To tutaj — powiedziała dziewczyna.

Na polanie, w obramowaniu zielonej trawy i chwastów, był kwadrat świeżo skopanej ziemi, zarzucony polnymi kwiatami. Dziewczyna uklękła, zmówiła modlitwę. I powtórzyła mi historię, którą zresztą słyszałem już kilka razy:

— Przyjechali jednego ranka majowego, wybrali z mieszkań trzydziestu mężczyzn, przyprowadzili na tę polanę i rozstrzelali. Kazali im uprzednio wykopać dół. Odjechali, nie mówiąc nikomu ani słowa. . . .

Jak wszędzie, i tutaj, życie w warunkach okupacyjnych jest bardzo smutne. Są jednak epizody, które, choć wynikają z tego smutnego życia, rumienią się uśmiechem. I te zresztą są najczęściej wspominane przez ludzi ze wsi.

Przed rokiem mieszkali tu dwaj Niemcy, obsługujący piły mechaniczne i pilnujący drwali. Otóż widziano kiedyś jednego z nich, spacerującego z tutejszą dziewczyną, Zochą. To wystarczyło, aby kobiety ze wsi uknuły straszliwą zemstę, nie mogły bowiem znieść hańby, spadającej na całą wieś. Umówiły się i pewnej pięknej niedzieli, gdy Zocha wracała z kościoła w nowej, odświętnej zapasce, dopadły ją znienacka i ukarały, aby pamiętała na całe życie. Najpierw na głowę dziewczyny polał się kubeł pomyj, po tym sołtyska Grzelowa chlusnęła jej w twarz czarną, gęstą jak sadza farbą, którą trudno zmyć. Wreszcie wszystkie kobiety razem wymłóciły kijami grzbiet winowajczyni, nie zapominając o odpowiednich naukach moralnych. Nazajutrz o świcie Zocha poszła do Kielc, na służbę. Nie mogła już zostać na wsi, jako pośmiewisko. Taka spotkała ją kara za rozmowy z Niemcem.

Zupełnie inną legendę pozostawił po sobie we wsi Franciszek Wójcik, chłop jak dąb, przewyższający wszystkich o głowę.

Niemcy ogłosili pobór ochotniczy na roboty rolne do Niemiec. Ta „ochotniczość“ jest w całej Polsce dobrze znana. Ona sprowadza na wsie samochody policyjne i ona wypędza młodzież wiejską nieraz na całe tygodnie w lasy i w zboża. Ale Franciszek Wójcik pojechał rzeczywiście ochotniczo na komisję do Kielc.

Stanął w długiej kolejce chłopów sprowadzonych tam siłą i czekał. Przyglądał się wielkim kolorowym afiszom rozwieszonym na ścianach: Polacy pracują w Rzeszy; wesołe gęby naszych Jaśków i naszych Jaguś; tu są na polu przy żniwach; tutaj idą do kościoła; tu w świetlicy czytają gazety i słuchają radia; tutaj piszą listy do swoich. . . .

— Dranie, oszukańce — myśli Franek po swojemu. — Jak to

okłamują ludzi! Jeszcze nie słyszałem, żeby od kogo przyszedł list z Niemiec. . . .

Gdy powiedział urzędnikowi, że przyjechał ze wsi i zgłasza się na ochotnika, tamtem wytrzeszczył oczy ze zdziwienia.

— Tylko ja chcę pracować u dużego bauera w Prusach Wschodnich — powiada, pamiętając, że jako „dobrowolnemu" przysługuje mu prawo wyrażenia swoich życzeń.

Nikt jednak w tym „Arbeitsamcie" nie znał tajemnicy chłopaka. Nikt nie orientował się, że w tej wielkiej głowie o wspaniałej jasnej czuprynie kryje się podstęp, zamiar uplanowany z góry chytry. Franek Wójcik miał bowiem wielką ideę: z Prus Wschodnich już nigdy nie wyjedzie, a zaraz po wojnie cały grunt bauera będzie należał do niego. . . .

Franek, jak wszyscy w jego wsi, wierzył że Niemcy przegrają wojnę. I szukał swojego własnego. . . . Lebensraumu!

W zwycięstwo Niemców nie wierzył pewnie również Józef Tracz, gospodarz z sąsiedniej wsi, siedzący teraz w więzieniu.

Tracz pojechał z żoną do Kielc po pług, za który już przed rokiem zapłacił i który tego dnia miał odebrać w syndykacie rolniczym. W Kielcach, na ulicy Sienkiewicza przemianowanej na „Bahnhofstrasse", na wystawie nowego sklepu z szyldem „Buchhandlung" wystawione były wielkie portrety Adolfa Hitlera. Przed oknami gromada ludzi; gapili się. Tracz również dołączył się do ciekawych. Też ogląda portrety. Kręci głową, spluwa. Powiada wreszcie:

— Taki zbrodniarz, bandyta, a minę ma jak aniołek. . . .

Powiada do swoich, bo stoją sami cywilni, ani jednego Niemca. Tymczasem jeden taki cywilny chwyta Józefa Tracza za kołnierz. Przybiegają policjanci w mundurach. Biją go, poniewierają, krwawią. Kobieta Tracza prosi, błaga, lamentuje. Nic nie pomaga.

— Puśćcie go — tłumaczy Niemcom — on jest głupiec ostatni, on byle g . . . zobaczy, to zaraz gapi się jak na złoto, on już taki głupi. . . .

Ale Niemcy nie rozumieli polskiej mowy kobiety.

— On nie wiedział co tam jest — wyjaśniała po tym, zapłakana, chłopom, którzy obstąpili ją naokoło. — Przecie ktoby chciał pchać się, żeby zobaczyć Hitlera. . . .

Chcę napisać Ci o jeszcze jednym wydarzeniu, którego widownią była „moja" wieś. Ale muszę to poprzedzić kilku słowami o tak zwanej solidarności narodowej. Otóż ta „solidarność narodowa" na wsi, wśród chłopstwa jest imponująca. Kto próbuje wyłamać się z niej, ściąga na siebie straszliwy gniew wszystkich. Próbką tego jest choćby śmieszna historia z ową Zochą, która musiała się ze wsi wynieść. W tejże samej wsi

zaszło jednak wydarzenie daleko poważniejsze, świadczące o gorącej reakcji chłopa polskiego na postępowanie nikczemnych jednostek — na szczęście nielicznych.

Rzecz miała się tak:

Józef Wójcik, kapral rezerwy, który w październiku 1939 wrócił z wojska do domu, przechowywał u siebie w stodole karabin i kilka granatów. Normalna skłonność wszystkich Polaków: zbieranie i przechowywanie broni, która przecież będzie kiedyś potrzebna. Pewnego dnia w lutym, przyjechali żandarmi. Przeprowadzili rewizję w stodole, zabrali karabin, granaty i Józefa Wójcika. Denuncjatora nie trzeba było długo szukać. Wszyscy we wsi od razu wiedzieli, czyja to była sprawka. Andrzej Wójcik, daleki krewny Józefa, wiedział o wszystkim i odgrażał się. Ostatniej niedzieli ktoś podsłuchał pod kościołem rozmowę Andrzeja Wójcika z wójtem, który wysługiwał się Niemcom. Andrzej Wójcik mówił o Józefie Wójciku i o broni. Nawet tłumaczył wójtowi, że to obowiązek donieść, bo inaczej cała wieś za to zapłaci. Józefa Wójcika Niemcy rozstrzelali w lesie, obok wsi. Pogrzeb odbył się na cmentarzu wiejskim, na wzgórzu. Razem ze wszystkimi poszedł na cmentarz i Andrzej Wójcik. Ale każdy patrzał na niego spodełba, kobiety przymawiały mu złośliwie, a na koniec jeden z chłopów chciał go bić.

W dwa dni później, nocą, cała wieś porwała się na nogi. Paliła się zagroda Andrzeja Wójcika. Płonęły wszystkie jego zabudowania. Nikt nie pomagał w ratowaniu dobytku.

Właśnie z okien mojej izby widzę codziennie miejsce po zagrodzie Andrzeja Wójcika. Ogień, który objął to miejsce, był hołdem, oddanym przez wieś pamięci Józefa Wójcika. Dziś zgliszcza zabudowań Andrzeja Wójcika przypominają, że aby zmazać hańbę wsi, chłop nie przebiera w środkach i nie lęka się konsekwencji.

Ten list nie ma szczęścia. Piszę go dalej po tygodniowej przerwie i już z nowego „miejsca postoju". Musiałem się przenieść. Zadecydowały o tej przeprowadzce nowe wiadomości, jakie otrzymałem z Warszawy. A zresztą nie jest dobrze siedzieć zbyt długo na jednym miejscu.

Jeszcze w tamtej wsi był u mnie Antoś Tatarkiewicz. Samym swoim przyjazdem sprawił mi wielką przyjemność. Przywiózł pozatym wiadomości uspokajające. Potwierdził fakt rozstrzelania Piotrusia, o czym zawiadomiona została przez Gestapo jego rodzina. Wynika z tego oczywiście, że albo oni wiedzieli, albo też Piotruś zdradził swoje prawdziwe nazwisko. Okazało się także, iż oprócz Piotrusia zabrany został jeszcze jeden członek naszego zespołu, niedokończony medyk, o którego losie nie ma jednak dotąd żadnych informacji. Dla mnie jest rzeczą pewną,

że podzielił los Piotra. Pocieszające jest to, że Gestapo nie wpadła na ślad drukarni, ani nie odkryła miejsca, w którym znajduje się nasz odbiornik radiowy. Stąd wniosek, że donos musiał pochodzić od kogoś, kto nie wiele wiedział.

Jest też rzeczą oczywistą, że te aresztowania nie miały nic wspólnego z powielaniem listów niemieckich, którego podjął się owej nocy Piotruś. Ani ja, ani Mikuła, ani medyk nie mieliśmy z tym nic wspólnego. Nie jest wyłączone, że szybka śmierć Piotra mogła nastąpić wskutek kategorycznej odmowy składania wszelkich zeznań, co do niego jest bardzo podobne. Ale nie mniej, znalezienie u Piotra świeżych druków konspiracyjnych, musiało pogrzebać go ostatecznie.

Na mnie osobiście spadły równocześnie dwa uderzenia. Oprócz katastrofy z Piotrusiem, wyszła bowiem na wierzch sprawa zeznań krakowskich Góreckiego, która w szybkim czasie zaczęła być niebezpieczna. Antek przywiózł mi właśnie egzemplarze dwu gadzinówek — warszawskiej i krakowskiej, w których były zawiadomienia o poszukiwaniu mnie (według mego autentycznego nazwiska) przez policję niemiecką.

— Czy nie uważasz, że to jest śmieszne? — powiedziałem do Antka. — Przecież oni poszukują nieboszczyka. . . .

I opowiedziałem mu, jak to w początkowym okresie okupacji, gdy Niemcy zaczęli wyłuskiwać tych dziennikarzy, którzy przed wojną byli źle notowani w kartotece wydziału prasowego ambasady niemieckiej, postanowiłem rozstać się z mym nazwiskiem na czas wojny. Spreparowałem odpowiednie dokumenty, stwierdzające, że zostałem zabity podczas oblężenia Warszawy i poszedłem z nimi do biura meldunkowego w Warszawie i do urzędu stanu cywilnego przy parafii kościoła. Przedstawiłem się jako krewny zabitego. I spokojnie patrzałem, jak przekreślali moje nazwisko w księgach i kartotekach, zaznaczając w odpowiednich rubrykach: „zmarł" . . . Do domu powróciłem ze świadectwem śmierci w kieszeni, opatrzonym w pieczęcie i znaczki stemplowe. Nie mogłem mieć żadnych wątpliwości co do tego, że już nie żyję. . . .

— Ta rzecz — dowodził Tatarkiewicz — będzie dla nich poważną dywersją. Napewno, szukając adresu, natkną się na dowód twojej śmierci. Wtedy staną wobec pytania, czy zeznania Góreckiego nie wprowadzają ich przypadkiem w błąd. . . .

— Ale mogą się też domyślać, że moja śmierć jest oszustwem — zauważyłem.

— Oczywiście mogą! Ale przecież oni w Gestapo mają takich kretynów, że tego rodzaju domysły byłyby dla nich za bardzo skomplikowane.

Antek przyjechał do mnie nie tylko po to, aby mnie zobaczyć. Przyjechał, aby przedstawić zagrażające mi niebezpieczeństwa.

— Musisz być przygotowany na długi pobyt poza Warszawą — mówił. — Poza tym musisz się urządzić w takim miejscu, gdzie jest pewność, że nikt cię tam nie zna. O powrocie do roboty nie możesz marzyć conajmniej przez kilka miesięcy.

Podzielałem całkowicie słuszność jego obaw, ale przerażała mnie perspektywa życia w roli „człowieka schowanego". Zresztą wiem, że żadne schowanie, nawet najlepiej przemyślane i urządzone, nie daje gwarancyj bezpieczeństwa.

Powiedziałem, że nie wiem czy będę mógł zgodzić się na szukanie kryjówek, w których miałbym drżeć w ciągłej obawie o życie.

— No dobrze, a jakie inne rozwiązanie widzisz? — zapytał Tatarkiewicz.

— Myślę, że najlepiej będzie powrócić za kilka dni do Warszawy. To jest jedyne miejsce, gdzie można się jeszcze naprawdę dobrze ukrywać. Czy wyobrażasz sobie kilkumiesięczny pobyt w jakiejś małej mieścinie, w której jest tylko jedna ulica, jeden rynek, jeden ksiądz, jeden aptekarz i w której wszyscy ludzie znają się jak łyse konie? Wieś? To odpada zupełnie. Niech będzie na tej wsi jakaś „wizytacja" niemiecka. Co odpowiem na pytanie: co tu robię i skąd przyjechałem? Jeśli zaś chodzi o kwestię mojego bezpieczeństwa, obojętne jest czy przyjadę do Warszawy za tydzień, czy za kilka miesięcy, czy, powiedzmy, za rok. Przecież, jeśli nawet moja sprawa już trochę przyschnie, to w każdej chwili, gdy wpadnę w ręce Niemców, odżyje na nowo. Niemcy nie palą chyba aktów Gestapo. . . .

Ostatecznie postanowiłem wybrać jedną z dwu możliwości: wrócić do Warszawy i jakby nic nie zaszło, dalej pracować, albo — wyrwać się z Polski.

— To drugie, moim zdaniem, jest zgóry skazane na niepowodzenie — stwierdził Tatarkiewicz. — Teraz ucieczka z Polski jest już bardzo trudna. Granice są strzeżone jak nigdy dotąd. . . .

Mimo tych wątpliwości, Antek przyrzekł mi zasięgnąć w tej sprawie informacyj. Wyjechał do Warszawy przenocowawszy u mnie, ja zaś tego samego dnia przeniosłem się do innej wsi, do znajomych moich przyjaciół kieleckich.

Ta wieś — obojętne jak się nazywa — leży w najpiękniejszej okolicy świętokrzyskiej, na leśnym wzgórzu. Widać z niej dobrze Łysą Górę i białe zabudowania klasztoru Świętej Katarzyny u wejścia do Puszczy Jodłowej. Moi nowi gospodarze przyjęli mnie serdecznie i gościnnie. Kazali sobie opowiadać o Warszawie, o Lwowie i sami mówili o własnych troskach — takich samych jak tamte, ze wsi pod pochylonym krzyżem. Zaraz pierwszego wieczora zdobyłem ich wielkie zaufanie. Bo powiedzieli mi to, co można mówić tylko do kogoś bardzo zaufanego, czego zresztą wogóle nie należy mówić:

— Mamy radio. . . . Posłuchamy później Londynu. . . .

Radio, znakomicie ukryte, było niespodziewanym, wspaniałym uzupełnieniem obrazu wsi polskiej, jaki utrwalił się w mojej pamięci.

Znalezienie jakiejś porządnej kryjówki przed Niemcami jest teraz w Polsce istotnie bardzo trudne. Gdy czasem zastanawiam się nad tym, dochodzę do przekonania, że na całym obszarze 389 tysięcy kilometrów kwadratowych ziemi polskiej nie ma takiego miejsca, w którym mógłby się bezpiecznie schować jeden człowiek. Odżywa mi w pamięci niesłychanie śmieszna historia, opowiadana mi kiedyś na ulicy, przy moim wózku z książkami, przez pana Dolskiego, którego zainteresowania nie ograniczają się do spraw wielkiej polityki światowej.

Otóż pewnego dnia pan Dolski zadał mi niedyskretne pytanie:

— Czy pan się ukrywa nocami, panie Karpiński?

Uspokoiłem go, że nie ukrywam się, że śpię najspokojniej w swoim łóżku i niczego się nie boję. Pan Dolski poklepał mnie po ramieniu i dobitnie, skandując poszczególne sylaby, powiedział:

— Naj-le-piej! To jest naj-lep-sze panie Karpiński! Ja ciągle rozglądałem się za różnymi dziurami, w których możnaby się schować na wypadek rewizji, bo to — diabeł nie śpi — nie wiadomo kiedy mogą capnąć człowieka. Ale teraz, jak się dowiedziałem o jednym wypadku, to szlus! Śpię w swoim łóżku — i niech się dzieje wola boska!

— Cóż takiego się stało, panie Dolski? — zapytałem.

— Ano, niech pan tylko posłucha, panie Karpiński. . . .

Pan Dolski rozejrzał się naokoło, aby mieć pewność, że nas nikt nie podsłuchuje, tradycyjnym już zwyczajem oparł nogę w niezmiernie połatanym bucie na kole mojego wózka i zaczął opowiadać:

— Pan go nie znał, ale mniejsza z tym. Młody człowiek, panie Karpiński, trzydzieści parę lat, pochodził z solidnej rodziny urzędniczej, znałem go od dziecka. Stróżewski nazywa się, no ale pan go nie zna, mniejsza z tym. Nawet znałem dobrze jego ojca nieboszczyka, również był Stróżewski, zacności człowiek, przed tamtą wojną był naczelnikiem kancelarii kolejowej na Pradze, umarł biedak kawał czasu temu. . . . Otóż jego syn, o którym mowa, inżynier Stróżewski, mieszkał ze swoją żoną, Ludwiką, na ulicy Skolimowskiej, w dwupokojowym mieszkaniu. Ah, powiadam panu, panie Karpiński, co to za sprytna niewiasta ta pani Ludwika!

Tak pan Dolski rozpoczął swoje długie opowiadanie o wypadku niefortunnego ukrycia się pana Stróżewskiego. Gestykulował przy tym zamaszyście rękami, niektóre słowa szeptał mi do ucha chociaż nikogo naokoło nie było w promieniu kilkunastu metrów,

a mówił tak soczyście, że musiałem co chwilę ocierać chustką twarz oparskaną jego śliną.

— . . . Pani Ludwika — opowiadał Dolski — wynalazła takie ukrycie w domu, że ile razy wieczorem albo rano odezwał się dzwonek, już pan Stróżewski znikał jak kamfora. Chociaż zawsze był w mieszkaniu! Kilka razy byli po niego Niemcy, ale zawsze wychodzili z kwitkiem. „Nie ma męża w domu" mówiła pani Ludwika — i basta! Ale widzi pan, przyszedł ten fatalny piątek. . . . Ja zawsze mówię panie Karpiński, że piątek przynosi nieszczęście wszystkim ludziom. . . . Było to koło dziewiątej wieczór. Przyszli dwaj Niemcy. Zadzwonili. Pan Stróżewski myc do kryjówki. „Gdzie" pytają „jest właściciel?". „Nie ma go" mówi pani Ludwika. A wtedy te łobuzy — słowo „łobuzy" pan Dolski wymówił szeptem — wie pan co robią? Powiadają do pani Ludwiki: „won z domu! Wolno ci zabrać tylko małą walizeczkę z drobnymi rzeczami. Mieszkanie zostaje zarekwirowane dla rodziny niemieckiej!" No niech pan powie, panie Karpiński! Tylko co wypędzili z domu panią Ludwikę, a tu wtłacza się trzech żołnierzy z ciężkimi walizami, a za nimi Niemka, mówię panu panie Karpiński, podobno taka wielka i gruba jak słup ogłoszeniowy i z nią dwoje obrzydliwych dzieciaków. No, ładnych czasów doczekaliśmy się w Warszawie! Ta ropucha odrazu w przedpokoju fuknęła: „Brrr, jak zimno!" Czekaj małpo, my cię jeszcze rozgrzejemy! Nie wiem jak tam było dalej, ale dość, że przyszła noc, podobno godzina druga, jak opowiadają ludzie ze Skolimowskiej. Niemka i zasrańce spały już. Nagle jeden bękart i drugi prosiak zaczęły skamleć, że zimno. No to stara maciora wygramoliła się z łóżka, wzięła trochę drzewa z kuchni i przychodzi do pieca, żeby podpalić. Otwiera drzwiczki pieca, a tu, panie, piec jak nie zawoła strasznym, rozpaczliwym głosem: „Lud-wi-ka!" . . . No bo przecież ta kryjówka pana Stróżewskiego była w piecu, rozumie pan! . . . Biedaczek, pan Stróżewski, nie wiedział nawet co ma powiedzieć, to już widać z przyzwyczajenia krzyknął na żonę, choć chyba dobrze słyszał co się stało. . . . Ah, co się tam musiało w tej chwili dziać! — Pan Dolski ujął głowę obiema dłońmi. — Co się musiało dziać! Babsko narobiło straszliwego wrzasku, obudzili się wszyscy w całej kamienicy i na całej Skolimowskiej. Podobno, jak opowiadał mi dozorca, gdy przyszli policjanci, to leżała na ziemi nieprzytomna, a co się ocuciła i spojrzała na piec, to znów fik i już traciła przytomność. A tymczasem Niemcy przyszli z karabinami, z rewolwerami, z granatami, z czym kto chciał. . . .

— A dlaczego ten idiota nie uciekł? — zapytałem pana Dolskiego, przerywając mu w porę, gdyż niewątpliwie wymienił by jeszcze armaty. — Przecież miał czas, zanim przyszła policja.

— Jakie pan śmieszne rzeczy mówi, panie Karpiński! Jak mógł

uciekać, skoro ten piec był zamknięty na haczyki od zewnątrz? On był na zawiasach! Stał przy ścianie jak pudło kaflowe. Z jednej strony miał zawiasy, a z drugiej haczyki. Pani Ludwika zawsze zamykała na haczyki, gdy pan Stróżewski był już w środku. . . . No i Niemcy połapali się w czym rzecz. Nie domyślili się tylko, że ten piec jest na zawiasach i haczykach, więc rozbijali go, aż zobaczyli w środku biednego, nieszczęsnego pana Stróżewskiego. Ah, mówię panu panie Karpiński, zbili go na kwaśne jabłko, a najwięcej biła go ta niemczura. No i zawieźli niebogę do więzienia. . . .

— Dobrze, że mi pan o tym powiedział, panie Dolski — przyznałem się. — Bo i ja też właściwie myślałem raz, żeby sobie urządzić takie schowanie w piecu. . . .

— O nie! Niech ręka boska broni, panie Karpiński! — Tu pan Dolski znów objął głowę dwiema dłońmi. — Piec to najgorsze schowanie i już skom-pro-mi-to-wa-ne! Niech pan nigdy nie chowa się do pieca. To panu mówi Dolski. Niech pan sobie zapamięta!

Rzeczywiście, jak się okazuje, i piec też nie jest dobrym schowaniem. . . .

LIST DZIESIĄTY

Obywatelstwo Lądu Wielkiej Nadziei

Warszawa, w grudniu, 1941.

Mój drogi,

przyjaciołom swoim, którzy czasem — pod wpływem jakichś trudności — stawali w połowie drogi i rozkładali bezradnie ręce, przypominałem słowa Napoleona, że „sztuką łamania przeszkód jest sztuka nie uważania tego lub owego za przeszkodę“. A przynajmniej, zanim jakąś przeszkodę uzna się za niepokonalną, trzeba uprzednio spróbować czy istotnie jest ona nie do sforsowania. Zastosowałem tę właśnie „receptę“ do siebie, gdy miałem się ostatecznie zdecydować co z sobą zrobić.

Powróciłem do Warszawy z mocnym postanowieniem, że nie będę udawał nieobecnego, czy zmarłego, nie będę ukrywał się i nie wyjadę z kraju. Wróciłem z jasnym planem dalszej pracy, uważając poza tym, że w Warszawie ostatecznie będę się czuł najbezpieczniej. Ostatnie wydarzenia i chmurki, jakie zebrały się nad moją głową, przestały więc mieć dla mnie znaczenie zes zkód.

Ale wystarczył tydzień pobytu w Warszawie, aby atmosfera

wytworzona wokół mnie zaczęła być nieznośna i aby życie w niej stało się tak dalece obrzydliwe, że nawet dumne wskazanie Napoleona, wyznawane przeze mnie jako zasada, szybko zbladło. . . . Tę atmosferę stworzyły zupełnie małe, zupełnie niewinne „przeszkódki". Stworzyły ciągle spotykane kłopotliwie zdziwione, często przerażone oczy znajomych, przyjaciół, krewnych. Te oczy zdawały się mówić: kochamy cię, udzielimy ci pomocy jakiej pragniesz, ale bądź z daleka od nas, bo za tobą wlecze się śmierć.

Zacząłem się czuć jak człowiek, który powinien nie żyć, jak zjawa, jak zmora. Widziałem, że ciągle straszę ludzi, że ich przerażam. I wreszcie doszedłem do przekonania, że tu przecież chodzi nie tylko o mnie; że każdemu życie miłe. Ludzie są przecież tylko ludźmi.

Trzeba było zerwać z metodą „niewidzenia niebezpieczeństwa" i pomyśleć o rozstaniu się z Warszawą. Okazuje się, że człowiek skompromitowany i poszukiwany nie może żyć w miejscu, w którym się skompromitował i w którym go szukają. To zapewne jest jednym z niepisanych praw pracy nielegalnej. I może jest ono, to prawo, szczęściem i zbawieniem dla ściganego? Ono bowiem nie pozwala hazardować się, i broni przed lekkomyślnym narażaniem życia.

Pierwszy plan był prosty i wykonalny natychmiast. Droga miała prowadzić przez Zakopane, Słowację, do Węgier i — jakoś tam dalej. Zacząłem ten plan realizować. Pojechałem do Zakopanego.

Jakże dawno nie widziałem Zakopanego. I jakże się ono zmieniło. Na dworcu, wśród wielkiej ilości plakatów niemieckich, jeden przedstawia narciarza, z podpisem, oczywiście po niemiecku: „Przyjeżdżając tutaj pamiętaj, że jesteś w nowej niemieckiej stolicy sportów zimowych. Czuj się tutaj nie jak gość, ale jak gospodarz. Nie zapominaj, że jesteś zwycięzcą!" Nad sklepami niemieckie szyldy, na skrzyżowaniach niemieckie tabliczki z nazwami ulic, wśród których nie brak oczywiście „Adolf-Hitler-Strasse". Na ulicach prawie sami Niemcy. Wielu inwalidów niemieckich. Trzaska, Karpowicz, Morskie Oko — wszystko niemieckie i wszystko „nur für Deutsche". Takie same jak dawniej są tylko zakopiańskie fiakry i tacy sami są zakopiańscy gazdowie. I takie same jak dawniej są zimne, wysokie skały Tatr, z krzyżem na Giewoncie.

Dowiedziałem się, że sprawa przejścia na stronę słowacką jest do zrealizowania.

— Dziewięćdziesiąt dziewięć procent jest za tym, że pana złapią, a jeden — że pan przejdzie — mówił mi kandydat na mego przewodnika.

To znaczy, że zagadnienie nie było beznadziejne i że można było o nim rozmawiać. Ale zamiast do Słowacji, wybrałem się spowrotem do Warszawy. . . . W Zakopanem, właśnie w czasie rozmowy z przewodnikiem, błysnęła mi myśl, która wydała mi się daleko rozsądniejsza, niż próba ucieczki do Słowacji. Pomijajac tę jedną szansę na sto, największe zniechęcenie ogarnęło mnie, gdy rachowałem na zimno: w Tatrach mogę wpaść w ręce niemieckie; powiedzmy, że przejdę do Słowacji — mogę tam znów wpaść w ręce niemieckie; powiedzmy, że nie wpadnę i przedostanę się z kolei do Węgier — ale tam też mogę wpaść w te same ręce niemieckie. . . .

Jechałem więc do Warszawy i w pociągu przemyśliwałem nowy plan.

Przy cmentarzu na Nowym Bródnie, w małej, ponurej herbaciarni, gdzie rozgrzewali się skostniali dorożkarze i karawaniarze, spotkaliśmy się z Antkiem Tatarkiewiczem i z następcą Palusa w naszej grupie, którego ostatnie nazwisko brzmi: Ludwik Broncel. Wszyscy byliśmy ubrani w takie same łachy jak inni goście tego lokalu, więc nie wyróżnialiśmy się tutaj zupełnie. Przedstawiłem przyjaciołom mój pomysł wydostania się z Polski drogą legalną i to odrazu za Ocean.

— Trzeba będzie zrobić odpowiednie papiery — mówiłem, — z których będzie wynikało niezbicie, że urodziłem się w którymś z krajów amerykańskich i że mam prawo do obywatelstwa tego kraju. Poślemy to do Berlina, do odpowiedniego konsulatu — i zobaczymy. Jeżeli z pierwszym krajem się nie uda, zrobimy próbę z drugim, a jeżeli z drugim też nie wyjdzie — spróbujemy z trzecim. . . .

— To jest zupełnie nierealne — zawyrokował Broncel.

— Ja też myślę, że to będzie bardzo ciężka sprawa . . . — powiedział Tatarkiewicz.

Antek dodał jednak zaraz, że wierzy w moje szczęście i dlatego plan może się udać. Broncel kręcił uparcie nosem:

— Nie wierzę, nie wierzę absolutnie. . . .

Ta rozmowa toczyła się przed kilku tygodniami. Teraz, w wigilię Nowego Roku, gdy list ten piszę do Ciebie, uśmiecham się do małego, kolorowego znaczka, wetkniętego w klapkę mojej marynarki: jestem już obywatelem państwa południowo-amerykańskiego.

Dzieje tego obywatelstwa przypominają trochę fantazję z jakiejś powieści awanturniczej.

Zaczęło się od decyzji, który kraj ma być moją ojczyzną. Wychodziłem z założenia, że o tym powinien rozstrzygnąć los. Wzięliśmy trzy karty, ustalając, że as — to Brazylia, król — Argentyna, dama — Urugwaj. Wszystkie kraje są neutralne,

wszystkie zatem były „do przyjęcia". Antek potasował karty i rozłożył je ne stole. Odwróciłem środkową i dalej wszystko już poszło wedle przygotowanego planu. . . .

Nie chcę Ci mówić którą kartę wybrałem. Niech to pozostanie narazie tajemnicą. Dla ułatwienia opowiadania, nazwijmy tylko ten kraj, symbolicznie, Lądem Wielkiej Nadziei. To kraj, w którym mieszka dość dużo Polaków, w którym słońce świeci jak przed wojną, i w którym jest wielka wolność.

Przede wszystkim, potrzebna była metryka urodzenia na Lądzie Wielkiej Nadziei. Pierwsza trudność polegała więc na zdobyciu oryginalnego wzoru takiej metryki. Tu, ze znakomitym pomysłem wystąpił Broncel.

— Jeżeli jest w Warszawie chociaż jeden człowiek, mający metrykę urodzenia na Lądzie Wielkiej Nadziei — oświadczył — będę miał tę metrykę w ciągu tygodnia. . . .

I podjął się sam realizacji tego pomysłu.

Pewnego dnia w gadzinowym „Nowym Kurierze Warszawskim" ukazało się małe, nic nie mówiące ogłoszenie: „Wezwanie do Polaków urodzonych na Lądzie Wielkiej Nadziei. Każdy, urodzony na Lądzie Wielkiej Nadziei winien we własnym interesie porozumieć się natychmiast z polsko-lądowym towarzystwem handlowym". Dalej były podane godziny przyjęć i adres. Broncel nie pominął żadnego szczegółu w zorganizowaniu tej imprezy. Porozumiał się ze swoim przyjacielem, który był właścicielem jakiegoś biura, i nim tamten zorientował się jako-tako o co właściwie chodzi, już na drzwiach biura wisiały szyldy improwizowanego przedsiębiorstwa. Chodziło o to, żeby można było z interesatami gdzieś porozmawiać. . . .

W ciągu tygodnia, pierwsza i równocześnie główna trudność została pokonana. Z metryki, uzyskanej podstępem, zrobiono zdjęcia fotograficzne. Sfotografowano specjalnie precyzyjnie znaczki stemplowe i pieczęcie. Właściciel otrzymał spowrotem swoją metrykę, a szyldy „Polsko-Lądowego Towarzystwa Handlowego" znikły z drzwi biura. W ciągu kilku najbliższych dni, nowiutki blankiet i świeżutkie, pachnące jeszcze farbą znaczki stemplowe Lądu Wielkiej Nadziei leżały przede mną. Wkręcałem w maszynę do pisania duży arkusz z pięknym herbem państwowym Lądu Wielkiej Nadziei i, wedle przygotowanego wzoru, wypisywałem wszelkie informacje, dotyczące mego urodzenia. . . .

Miałem znów inne nazwisko. Ustaliliśmy, że tym razem będę się nazywał „Svatopelko Venceslao Molenda". W tym zmienianiu nazwisk mam już dużo doświadczenia. Wiem, że kierować się trzeba zasadą, aby daty urodzenia i imiona rodziców były za każdym razem inne niż poprzednio. Należy też nie zapominać o tym, że daty winny być łatwe do zapamiętania. Najlepiej

wybierać Sylwestra, Nowy Rok, Prima Aprilis, dzień imienin, dzień ślubu. Tu właśnie, w tej nowej metryce wypisywałem, że urodziłem się 24 grudnia. Nalepiłem w odpowiednim miejscu znaczki stemplowe i podpisałem przez nie, zachowując właściwe wykrętasy: Lourival Juliano Torres „Official de Registro Civil". Potem przystawiłem, gdzie należało, pieczątki i — starym zwyczajem — złożyłem metrykę w kilka zgięć, chowając ją do buta, pod skarpetkę, żeby nabrała „patyny"....

Łatwo jest przykładać pieczęcie, ale wyjątkowo w tym wypadku trudno było o same — pieczęcie. Nasz „nadworny" grawer wyjechał na kilka tygodni z Warszawy i właśnie wtedy gdy trzeba było wykonać szybko kilka stempelków, stanęliśmy wobec pytania: jak to zrobić? Ale w dwa dni później wszystkie pieczęcie były gotowe. Antek zamówił je, zupełnie oficjalnie, w wielkim zakładzie grawerskim na Marszałkowskiej.... Dziwnie wyglądały te pieczątki! Naprzykład jedna miała treść: „Namiasta herbaty LOURIVAL JULIANO TORRES, skład hurtowy w Warszawie". Druga pieczęć, z herbem państwowym Republiki Lądu Wielkiej Nadziei miała dopisek: „Znak fabryczny namiastki herbaty".... Oczywiście, wszystko co miało zapach herbaty zostało usunięte, a pozostało tylko to co rzeczywiście było potrzebne.

Sporządzenie innych dokumentów było już fraszką. Zaświadczenia stwierdzające, że „Svatopelko Venceslao Molenda" wyjechał z Lądu Wielkiej Nadziei gdy miał lat pięć, że nie był obywatelem polskim i że nie służył w wojsku polskim — Antek Tatarkiewicz przygotował mi z łatwością. Teraz dopiero zameldowałem się w dzielnicy miasta, w której nigdy dotychczas nie mieszkałem, jako pan Molenda — i do konsulatu Republiki Lądu Wielkiej Nadziei w Berlinie poszła pierwsza poczta. O adres konsulatu nie było trudno: wystarczyło zajrzeć do książki telefonicznej Berlina, leżącej w każdym urzędzie pocztowym.

Na odpowiedź czekałem cierpliwie cały tydzień. W ciągu tego czasu Broncel doprowadzał mnie do pasji swoim krakaniem, że trzeba będzie powrócić do starych planów ucieczki na Słowację. Przekonywał mnie, że skoro nie znam języka Lądu Wielkiej Nadziei, sprawa mego obywatelstwa nie może być załatwiona pozytywnie.

— Co powiesz, gdy zapytają, cię, gdzie mieszkają twoi krewni na Lądzie Wielkiej Nadziei? Co odpowiesz, gdy zapytają cię, dlaczego do tej pory nie starałeś się o obywatelstwo i paszport? Co powiesz, gdy zapytają dlaczego nie uczyłeś się języka ojczystego?...

Całe szczęście, że to ja starałem się o paszport, nie zaś Brocel, który nie potrafiłby odpowiedzieć na te proste pytania. Mnie odpowiedź na nie wydawała się łatwa.

Z Berlina przychodzi list.

Zacny konsul Republiki Lądu Wielkiej Nadziei — niech mu Pan Bóg da zdrowie i awans na ambasadora — pan Navarro da Correta doniósł mi, że moje prawo do obywatelstwa Lądu Wielkiej Nadziei jest bezsporne, prosi tylko o zakomunikowanie mu, kiedy, jakim statkiem i za jakim paszportem przyjechałem do Polski.

Teraz dopiero do mego przedsięwzięcia zapalił się całym sercem także Broncel. Zaczął zaraz biegać po Warszawie, szukając materiału do odpowiedzi: kiedy i jakim statkiem? Dorwał się wreszcie do aktów pewnej zlikwidowanej linii okrętowej i przyniósł mi, dumny jak myśliwy z upolowanego niedźwiedzia, pożądaną wiadomość: 21 listopada 1920 wypłynął z Lądu Wielkiej Nadziei i przybył do Hamburga statek pasażerski „Bagé". Czegóż trzeba było więcej? Wysłałem do pana Navarro da Correta długi telegram: Przyjechałem razem z ojcem za jego paszportem, gdy miałem pięć lat; z Lądu Wielkiej Nadziei wypłynęliśmy statkiem „Bagé"; nietety, paszportu ojca nie mam; ojciec umarł, a paszport gdzieś się zagubił; mam natomiast zaświadczenie policyjne z Wilna z roku 1929, stwierdzające, że mój ojciec, pochodzący z Polski obywatel Lądu Wielkiej Nadziei, przyjechał do tego miasta ze mną i został zameldowany; ten dokument wyślę do Berlina jeszcze tego samego dnia. . . .

Wykonaniem tego zaświadczenia zajął się Broncel. Do konsulatu wysłany został „oryginał" w języku polskim i tłumaczenie na niemiecki.

W trzy dni później otrzymałem nowy list z Berlina. Nie był już niestety tak przyjemny, jak poprzedni. Mój konsul zawiadamiał mnie jednym zdaniem, że sprawa skierowana została do stolicy Republiki, a o wynikach zostanę zawiadomiony. Treść tego listu zaniepokoiła mnie nieco. To też z tym większą radością powitałem następny list, na który czekałem jakieś dwa tygodnie. Pan Navarro da Correta zaprosił mnie do Berlina „celem załatwienia formalności paszportowych i omówienia sprawy powrotu do mego rodzinnego Lądu Wielkiej Nadziei".

Teraz sprawa jest całkiem jasna i prosta. Jeżeli nie wpadnę w ręce Niemców w ciągu najbliższych tygodni, nie wpadnę już nigdy. Zacząłem czuć w sercu i na skroniach ciepło Lądu Wielkiej Nadziei. Ostatni list pachniał wolnością. Miałem głębokie przekonanie, że tę partię rozgrywam dobrze i że ją wygram. Więc grałem konsekwentnie dalej.

Z uśmiechem wspominam pierwsze zetknięcie się z władzami niemieckimi w Warszawie w sprawie otrzymania pozwolenia na wyjazd do Berlina. Pierwsze zetknięcie się ze „wspaniałą, sprężystą" administracją niemiecką, w której trudno dostrzec nawet cień biurokracji, cechującej przedwojenną administrację polską. . . .

W tydzień od złożenia podania w niemieckim zarządzie miejskim, całą sprawę załatwił magistrat. I to jak załatwił! Mimo wielu wad Niemców, wszystkie administracje na świecie powinny brać z nich przykład. Tak, Niemcom nie można odmówić wielkich talentów organizacyjnych.

W podaniu swoim napisałem, że jestem obywatelem Republiki Lądu Wielkiej Nadziei, że mam wezwanie konsula i że proszę o zezwolenie na wyjazd do stolicy Rzeszy. W trzy dni później urzędnik magistratu już był u mnie w domu, zaopatrzony w kartonową teczkę, na której było pięknie wykaligrafowane moje nazwisko: Molenda.

— Przychodzę do pana z polecenia zarządu miejskiego — przedstawił się urzędnik. — Pan składał podanie, tak? Otóż do załatwienia pańskiej sprawy potrzebna jest tylko drobna formalność.

Tu urzędnik rozłożył akty na moim stole, wyjął wieczne pióro i rzekł:

— Tak, tak, aha! Pan jest cudzoziemcem. . . . Hm, aha! Chodzi nam o dodatkową wiadomość: ile metrów sześciennych ma pańskie mieszkanie. . . . Tak, hm, tylko to jedno. . . .

— To potrzebne jest do otrzymania pozwolenia na wyjazd? — zdziwiłem się. — No, ale jak potrzebne, to niech pan zmierzy.

Urzędnik niemieckiego zarządu miejskiego wyjął z kieszeni płócienny centymetr, wymierzył ściany, zapisał i schował akty do teczki.

— Postaram się, żeby tę sprawę szybko pchnąć naprzód — obiecał.

I poszedł.

Zdaje się, że w trzy dni po tym, otrzymałem z magistratu pismo następującej treści: „W odpowiedzi na podanie Pana z dnia . . . niemiecki zarząd miejski zawiadamia Pana, że nie został Panu przyznany przydział benzyny do motocykla“. . . .

Hm! Prosiłem o pozwolenie na wyjazd do Berlina, a oni wymierzyli moje mieszkanie i powiadają, że nie dostanę benzyny. Wszystko to zostało załatwione szybko i sprężyście. Ale trzeba było odpowiedzieć na to pismo. Więc odpowiedziałem. Tak tylko, żeby magistrat miał zajęcie. Napisałem: „W odpowiedzi na zapytanie, wyrażone w piśmie z dnia . . . pod numerem . . . (powołałem się na ten właśnie list), uprzejmie wyjaśniam, że podatek za mego psa wpłaciłem do kasy Dyrekcji Tramwajów i Autobusów i że otrzymałem pokwitowanie z Piekarni Miejskiej“ . . .

Okazało się, że kompetentnym urzędem do udzielania pozwoleń na wyjazd do Rzeszy jest urząd gubernatora, o czym nie wiedziałem. Zmarnowałem niepotrzebnie cały tydzień. Ale wreszcie poszedłem do „odnośnego“ urzędu.

Ubrałem się możliwie elegancko (Niemcy mają respekt dla ludzi dobrze ubranych i patrzących na nich z góry), przypiąłem na klapę palta chorągiewkę Lądu Wielkiej Nadziei, największą jaką mogłem kupić, i zameldowałem się w Pass-Stelle w Pałacu Brühla.

W gmachu, gdzie dawniej mieściło się nasze Ministerstwo Spraw Zagranicznych, w pokoju Nr. 3 na parterze, urzęduje pod olbrzymim portretem Führera mały, chudy Niemiec, załatwiający podania cudzoziemców. Jest to niewątpliwie najgrzeczniejszy urzędnik w całym tym budynku.

— Pocóż pan chce jechać do Berlina? — pyta i natychmiast stara się przekonać mnie, że jestem nierozsądny. — Teraz, w czasie wojny to jest nawet niebezpieczne. Niech pan raczej załatwi swoje sprawy pocztą, telefonem. . . .

— Nie, muszę jechać osobiście — upieram się. — Jestem wezwany do Berlina, a poza tym, jestem cudzoziemcem, obywatelem państwa neutralnego i nie macie prawa utrudniać mi wyjazdu.

Urzędnik chrząknął, pomyślał i zostawił mnie na chwilę samego. Wrócił z „pocieszającą" odpowiedzią:

— Owszem, udzielimy panu zezwolenia. Ale nie wcześniej niż za trzy kwartały.

— Czy pan oszalał? — krzyknąłem. — Za trzy kwartały was tu może. . . .

Chciałem powiedzieć: już nie być, ale ugryzłem się w język. Przynależność cudzoziemska dawała mi wprawdzie wielkie przywileje, ale i one miały granice.

— Bardzo mi przykro — zakończył rozmowę urzędnik. — Wcześniej nie będzie pan mógł pojechać do Berlina. . . .

Tak załatwia się w tym urzędzie cudzoziemców, obywateli państw neutralnych. Trzeba to uznać za załatwienie *pozytywne*, wobec ustosunkowania się owego Pass-Stelle do Polaków, chcących wyjechać do „Niemiec", których granica ciągnie się obecnie kilka kilometrów za Warszawą. Ogonki klientów tej instytucji są codziennie tak długie, że ruch regulują policjanci. Do środka wpuszczają paza kolejką tylko Reichsdeutschów i cudzoziemców. Polacy i Volksdeutsche muszą wyczekiwać niekiedy kilka dni, zanim staną przed ordynarnym urzędnikiem w mundurze SS. i złożą podania, zaopatrzone w marki stemplowe z wielką głową Führera. Podania o pozwolenie na wyjazd do Płocka, do Poznania, do Łodzi, na jakąś wieś za Jabłonnę — słowem — na obszary „inkorporowane" do Niemiec. Odpowiedź na takie podanie przychodzi przeważnie po kilku miesiącach i przeważnie ma jednakową dla wszystkich treść: „powody nie są dostateczne; zezwolenia na wyjazd do Rzeszy nie udzielono". . . .

Więc do Berlina mam jechać dopiero za dziewięć miesięcy?

Gardziłbym samym sobą, gdyby doprowadzenie do skutku

mojego wyjazdu na Ląd Wielkiej Nadziei rozbiło się o tę małą trudność.

Myśląc o wyjeździe z Polski, muszę stwierdzić, że cieszę się, iż mogłem doczekać w Warszawie chwili, gdy zachowanie się przeciętnego Niemca wskazuje wyraźnie na gangrenę toczącą aparat okupacyjny; na załamanie wśród Niemców na wszystkich szczeblach hierarchii administracyjnej i wojskowej; na upadek wiary w zwycięstwo niemieckie, wiary, która do niedawna jeszcze przebijała z każdej twarzy niemieckiej. Jakże dziwne, jakże paradoksalne są te objawy na tle tylu zwycięstw wojskowych! Wystarczyły lekkie niepowodzenia, zatrzymanie marszu kolumn niemieckich na Wschód, aby na tyłach zapachniało rokiem 1918.

Przyjmij jako rzecz pewną, że nie dzieje się to wskutek braków materialnych. Polska dzisiejsza jest dla Niemców przysłowiową krainą mlekiem i miodem płynącą. Niczego im tutaj nie brakuje. Wszystkiego, a szczególnie żywności, mają w bród. Mają nawet za dużo. Do Generalnego Gubernatorstwa przysyła się jeszcze na odkarmienie różnych urzędasów, gestapowców, SA-manów i innych szwabów. W wielkim dostatku opływa w Polsce niemiecka ludność cywilna, a cóż dopiero wojsko, dla którego stoją otworem nietylko kuchnie koszarowe, ale i wszystkie restauracje „nur für Deutsche", i bogato zaopatrzone kantyny Wehrmachtu. Żołnierz niemiecki ma w Polsce — kosztem skrajnej nędzy Polaków — dużo jedzenia, jest dobrze ubrany, ma do dyspozycji kina, teatry, kawiarnie, ciastka, domy publiczne; daleko jest od frontu, wypoczywa; zatem, zdawałoby się, winien być szczęśliwy. Ale innego zdania jest dzisiaj społeczeństwo polskie, przyglądające się niesamowitym, niezrozumiałym obrazom rozkładu armii niemieckiej.

Dla ilustracji — choćby taki drobiazg: w okolicy Dworca Głównego w Warszawie żołnierze niemieccy sprzedają wojskowe koce, bieliznę, prześcieradła, buty, płaszcze, benzynę, opony samochodowe, chleb, mięso, konserwy. Można tam kupić za 50 złotych rewolwer, za 100 złotych rower, za 300 złotych motocykl, za 150–250 złotych konia. Opowiadano mi, że cała szajka żołnierzy sprzedała komuś pięciotonowy samochód ciężarowy, który, skolei, skierowany został urzędowo do Kraftfahrparku i tam, w warsztatach przemalowano go, by oddać nabywcy. Sam niedawno widziałem taką scenę: wojskowy samochód ciężarowy naładowany chlebem; dwaj żołnierze obsługują pospiesznie tłum klientów: jeden wydaje chleb, drugi bierze dwa złote za bochenek, trzeci stoi na straży i rozgląda się nerwowo na wszystkie strony. Po chwili samochód, pusty już, odjeżdża.

Gestapo i żandarmeria urządzały kilkakrotnie obławy. Podobno rozstrzelano wielu żołnierzy i Polaków, którzy od nich

kupowali. Ale ten swoisty handel bynajmniej nie ustaje, a plac przy dworcu i jego okolica noszą znaną już w Warszawie nazwę: „giełda żołnierska". Wiele restauracyj warszawskich otrzymuje codziennie mięso, pieczywo i tłuszcze — wszystko w większych ilościach — od wojskowych niemieckich, którzy sami przywożą kradzione artykuły samochodami lub przynoszą w koszach. Żołnierze niemieccy są przekupni. (Tego przynajmniej w ciągu pierwszego roku okupacji, nie było.) Łapownictwo wśród Niemców jest dzisiaj objawem powszechnym.

Okazami łapowników są SS-mani, a szczególnie policja. Ci zwalniają ludzi za odpowiednią opłatą z więzienia, uwalniają od robót przymusowych i t.p. Do rodzin ludzi przypadkowo aresztowanych, bardzo często zwracają się teraz Niemcy, proponując zwolnienie wzamian za jakąś sumę, która może być pokryta również klejnotami, zegarkami, złotem. . . .

Wszystkie te wypadki nie należą do wyjątków. Jest ich coraz więcej. Stały się w pewnym sensie „pozasłużbowym" programem zajęć żołnierza niemieckiego. Polacy jasno zdają sobie sprawę z faktu, że żołnierz niemiecki w Polsce wkracza na drogę nie rokującą armii niemieckiej nic dobrego.

Obok zaznaczającej się coraz bardziej demoralizacji wojska, rysuje się także załamanie psychiczne żołnierza. Bunty oddziałów i samobójstwa oficerów wyraźnie na to wskazują, chociaż Niemcy starają się tuszować wobec opinii te wypadki. Wiemy o założeniu kilku obozów dla zbuntowanych; o masowym wystrzeliwaniu tych ludzi; o istnieniu w Skierniewicach obozu z dwoma tysiącami żołnierzy, którzy odmówili wyjazdu na front wschodni; wiemy o wypadkach dezercji oficerów i o samobójstwach. Widujemy wreszcie żołnierzy prowadzonych pod bagnetami, często nawet w grupach po kilkudziesięciu.

Oczywiście, nie są to wydarzenia, które miałyby wstrząsnąć armią niemiecką; które miałyby sprowadzić katastrofę zaraz. Nawet przy tych wyraźnych objawach załamania moralnego i psychicznego, szerzących się w garnizonach niemieckich w Polsce, armia niemiecka będzie się mogła bić jeszcze lata całe. Zaś istnienie i rozwijanie się tych objawów wskazuje jednak na fakt, że wartość tej armii będzie stale malała.

Można się liczyć z tym, że duch żołnierza niemieckiego będzie upadał coraz bardziej w miarę przedłużania się wojny i oddalania się powrotu do domu. W miarę narastania gór trupów na froncie i w miarę bombardowania miast niemieckich.

Gdy obserwuje się zmiany, zaszłe w stanie duszy pierwszego-lepszego Niemca, w ciągu dwóch lat okupacji, z tym większą wyrazistością uwypukla się niewzruszona postawa Polaków. Każdy Polak jest dzisiaj psychicznie i moralnie tak samo mocny, jak był na początku okupacji. I tak samo jak wtedy, wierzy

w zwycięstwo sprzymierzonych i w odrodzenie Polski. Tak samo jak wtedy, wierzy, że to zwycięstwo jest bardzo bliskie. Tę wiarę widać na każdym kroku, a najczęściej w małych sprawach codziennych.

Oto na przykład, zaprosiła mnie kiedyś jakaś obca mi zupełnie pani, żebym przejrzał jej bibliotekę i wybrał książki, które nadawałyby się do sprzedania. Był tam duży, różnorodny księgozbiór. Pogrzebałem w książkach i wybrałem trochę. Teraz ta pani przegląda odłożone przeze mnie książki i mówi:

— Może pan wziąć wszystkie, ale poezyj narazie jeszcze nie sprzedam. Mój syn jest poetą, nie zrobię mu tej przykrości. On jest teraz w Japonii, ale wojna może się skończyć za parę miesięcy i wróci. . . .

Nie mniej wiary w szybkie zakończenie wojny pokłada inna pani, żona oficera, który jest gdzieś w świecie, w szeregach wojska polskiego. Gdy jako nowoupieczony cudzoziemiec szukałem mieszkania, ktoś podał mi adres tej pani.

— Tak, miałam zamiar odnająć jeden pokój — odpowiedziała na moje pytanie — ale jakoś rozmyśliłam się. Koniec wojny może nastąpić lada chwila i, przyznam się panu, że oczekuję powrotu męża w najbliższym czasie. A odnajmować mieszkanie na miesiąc, czy dwa, to się nie opłaci. . . .

Oczywiście nie wszyscy są takimi optymistami, jak te dwie panie — matka poety i żona oficera. Nie wszyscy spodziewają się zwycięstwa w ciągu dwóch miesięcy. Ale, że Niemcy poproszą o pokój w ciągu czterech-sześciu miesięcy — w to wierzy conajmniej połowa Polski. Kto kracze jeszcze o roku wojny, uważany jest za pesymistę; kto mówi o dwóch czy czterech latach — za nieumiejącego czytać między wierszami komunikatów niemieckich, za półinteligenta, a nawet — za defetystę.

Najlepszym świadectwem doskonałej postawy psychicznej Polaków jest wielka ilość tajnych pism, które obecnie docierają już chyba do każdego domu i do wszystkich zakątków w Polsce. Wobec tego zalewu słowa, rodzącego się w kryjówkach niedostępnych dla oka Gestapo, Niemcy są zupełnie bezradni. Jeszcze niedawno Frank powtarzał swoją zapowiedź likwidacji prasy tajnej, a do tropienia jej Niemcy mają w samej Warszawie więcej agentów, niż jest redaktorów i kolporterów.

Tymczasem „gazetki" ciągle są i z każdym miesiącem jest ich więcej. Ilość periodyków tajnych ukazujących się obecnie w Polsce, należy obliczać conajmniej na stopięćdziesiąt. Wśród nich wielką popularność zdobyły sobie ostatnio dwa tygodniki satyryczne, pełne znakomitych dowcipów i karykatur. W ghecie wychodzi pismo drukowane w żargonie. Wśród Niemców kursują „organy" niemieckie, wydawane przez Polaków. Dziś nie ma już chyba żadnej siły, która mogłaby zlikwidować prasę

tajną. Chyba — kapitulacja okupantów. . . . Bo jak dotąd, Polacy nie przerażają się ani trudnościami, ani represjami, ani ofiarami, jakie płaci naród polski za wydawanie swej prasy. Niemcy sami stwierdzają, że Polacy to zawzięty i hardy naród. Jakaż gorycz musi zalewać dusze szpiclów niemieckich, gdy muszą węszyć za piwnicami i norami, w których drukowana jest prasa — i to nie tylko po polsku, ale nawet po czesku! I to z przeznaczeniem dla Protektoratu. . . .

Skoro wspominam o goryczy, zalewającej dusze niemieckie, trzeba zanotować, że tym piołunem jest nie tylko prasa podziemna. Ostatnio mieliśmy kilka wydarzeń, przez które — wyobrażam sobie — Niemców zła krew zalewała.

Pamiętasz narożnik Krakowskiego Przedmieścia i Koziej? W tym narożniku założona została restauracja „nur für Deutsche", która otrzymała sielską nazwę „Zur Hütte". W Warszawie, oczywiście wśród Niemców, zaczęła ona słynąć z nadzwyczajnej kuchni, a niebawem i z kabaretu, urządzonego nad restauracją na piętrze. Lokal był czynny całą noc. Był on przeznaczony dla „elity" niemieckiej. Przychodzili tam różni dygnitarze wojskowi i cywilni. Nawet sam gubernator warszawski, Fischer, druga osoba po Franku.

Lokal cieszył się wielkim powodzeniem przez szereg miesięcy. Aż pewnego pięknego dnia jesiennego, przechodnie mogli zauważyć kilkudziesięciu gestapowców, kręcących się we wściekłym humorze po wesołym do niedawna narożniku. . . .

Oto bowiem „Gaststätte zur Hütte" była wspaniałym pomysłem wywiadu. Wszystko jedno czyj był ten wywiad — polski, angielski, sowiecki czy nawet republiki Kuby — był to popis zręczności wrogów Rzeszy Niemieckiej. Okazało się, że jedynym Niemcem zatrudnionym w restauracji był kucharz. To też tylko on jeden zjawił się do pracy w dniu, w którym po reszcie pracowników i po pięknych tancerkach nie było już śladu. . . . Całe towarzystwo, spełniwszy swe zadanie, zwinęło manatki i znikło.

Bywają sytuacje, w których Niemcy zdradzają swoją głupotę. Niedawno mieliśmy właśnie możność oszacowania ich talentów policyjnych, gdy na murach Warszawy rozlepiono olbrzymie plakaty-listy gończe. Wyznaczyli 40 tysięcy marek lub 80 tysięcy złotych nagrody za pomoc w odszukaniu dwóch ludzi, którzy pewnej nocy wylądowali na spadochronach w okolicy Katowic. Opis tych spadochroniarzy był istotnie wystarczający by ich odszukać. A więc pierwszy: „wzrost średni, lat około 40"; drugi: „w szarym płaszczu, w czapce cyklistówce". Tylko tyle. O pierwszym nie pisali nawet, jak był ubrany, a o drugim jakiego był wzrostu i ile mógł mieć lat. Ten list gończy był conajmniej przez dwa tygodnie tematem żartów, dowcipów, a dla

policji niemieckiej mieliśmy jedynie wdzięczność za uświadomienie nas, że jakieś samoloty zjawiają się nad Polską, zrzucając ludzi — jednych średniego wzrostu, innych w cyklistówkach. . . .

Rozpisałem się o sprawach „tajnych", „ściśle poufnych", o sytuacjach paradoksalnych, więc wspomnę jeszcze o owym młodym człowieku z pociągu Kraków-Warszawa, który — jak pisałem Ci w jednym z poprzednich listów — zadenuncjował wobec policji niemieckiej dziewczynę, wiozącą do Warszawy szynki.

Powracam specjalnie do historii tej, aby zrehabilitować rzekomego szpicla, na którego, podobnie jak inni pasażerowie, byłem niesłychanie oburzony. Ten człowiek zaimponował mi swoim psychologicznym podejściem do policji niemieckiej.

Posłuchaj: w Warszawie ukazuje się tajne pismo odbijane na powielaczu, p.t. „Myśl i Czyn". Antek Tatarkiewicz przyniósł mi niedawno różne tajne druki — i między innymi nowy numer „Myśli i Czynu". Na ostatniej stronie tego pisemka znajduje się felieton, zatytułowany „Agent niepolicyjny" i opatrzony podtytułem „Z autentycznego opowiadania". Oto ten felieton:

„. . . Teraz trzeba usunąć kilka cegieł, poczem po drewnianych schodkach schodzi się na dół. W wilgotnej norze, wykopanej pazurami ludzkimi, pod piwnicą, mieści się laboratorium. Stąd wychodzą materiały wybuchowe, zapalające. Pracuje dwóch młodych ludzi. Jeden w grubej, ciemnej jesionce, w cyklistówce, w okularach w czarnej cienkiej oprawie. Drugi w zniszczonym płaszczu, poplamionym i w takim samym starym kapeluszu z załamanym rondem, prawie zasłaniającym oczy. Ten drugi ma podłużną, bladą twarz, policzki zapadnięte. Na ścianie, na długim sznurku, owiniętym dokoła gwoździa, pali się żarówka elektryczna".

Przypominasz sobie już, czytając tę charakterystykę, młodzieńca z pociągu, o którym Ci pisałem. W felietonie następuje teraz krótkie opowiadanie o poznaniu się „szpicla" z blondynką, o szynkach, o denuncjacji. Młody człowiek stwierdza, wedle tego opowiadania:

„ — Miałem takie wewnętrzne przeczucie, że jeżeli nie zrobię jakiegoś zamieszania z przedziale, będę musiał nie przyznać się do swojej walizeczki. Wtedy tę walizkę mi zabiorą. . . . Całe szczęście, że wziąłem adres blondynki podczas rozmowy. Poznała mnie odrazu, ale zrobiła taką minę, iż pomyślałem, że się na mnie rzuci z pazurami. Była śmiertelnie blada i przerażona. Bała się. Ale dogadaliśmy się jakoś i przyjęła pieniądze za te szynki. Żegnając się, pocałowałem ją w rękę i zapytałem, czy ma do mnie jeszcze żal? Nie mogła odpowiedzieć. Była tym wszystkim bardzo

zdziwiona i zaskoczona. Miała łzy w oczach, tak samo jak w pociągu, w chwili, gdy ją zobaczyłem pierwszy raz. Potem podeszła do mnie, spojrzała mi prosto w oczy i zapytała drżącym głosem: — Więc pan jednak nie jest agentem niemieckim? . . .

Roześmiałem się, jeszcze raz pocałowałem ją w rękę.

— Pierwszorzędny kawał . . . — mówi człowiek w okularach.

Przez wprawne palce konspiratorów przechodzą szklane rurki, gumowe, miniaturowe miseczki. Zdaleka od stołu z narzędziami i chemikaliami płonie knot maszynki spirytusowej.

— Jutro będzie próba tego krakowskiego materiału — mówi ten w okularach. — Myślę, że jest bardzo dobry. Jeśli nie zawiodą nasi chłopcy, to za sto pożarów można ręczyć. . . .“

Ucieszyłem się, przeczytawszy ten felieton. Nie ulega wątpliwości, że chodzi o tę samą sprawę, która przypadkowo rozgrywała się w mojej obecności. Podoba mi się ten odważny konspirator. Szkoda, że nie był moim przyjacielem. I mądrze zrobił, że opowiedział tę swoją dziwną przygodę komuś, kto z kolei mądrze zrobił drukując ją w tajnym piśmie. Dowiedziałem się w ten sposób, że człowiek którego uważałem wówczas za szpicla, jest w istocie dzielnym pracownikiem Polski Podziemnej.

Bardzo jestem ciekawy, czy dochodzą do was jakieś wiadomości o tych drobnych szczegółach naszego życia okupacyjnego. I czy Wy, rozsiani po świecie, urobiliście sobie chociaż przybliżony obraz życia w Polsce dzisiejszej. Życia zupełnie już niepodobnego do normalnych czasów przedwojennych, gdy co innego niż dziś kryło się pod pojęciem radości, pod pojęciem smutku i nawet — pod pojęciem chleba. Gdy gmachy szkolne pełne były młodzieży; gdy kina i teatry roiły się od polskiej publiczności; gdy radio nadawało „Podwieczorki przy mikrofonie“; gdy przez Nowy Świat, krakowską AB, lwowską Akademicką, wileńską Mickiewicza falowały wieczorami tłumy spacerującycych; gdy przed mogiłą Nieznanego Żołnierza stał posterunek polski; gdy Warszawa tonęła w różnokolorowych światłach neonów. . . . Gdy wszystko było inaczej.

Minęło już dwadzieścia siedem miesięcy okupacji. Dla nas ten okres jest dostateczną perspektywą by widzieć i odczuwać dawne, minione lata, jak piękny sen, jak wspomnienie dawno przeczytanej cudownej bajki. Jakże małe, śmieszne i nawet, w pewnym stopniu, przyjemne są w naszych wspomnieniach te wielkie niegdyś kłopoty, zmartwienia, które nas pasjonowały, złościły, buntowały. Z jakim sentymentem patrzy dziś człowiek nawet na strzępki wiszącego gdzieś w zapomnieniu na płocie, plakatu arcykomicznej instytucji przedwojennej — O.Z.N. . . .

Teraz jest trzecia zima wojenna. Zima gorsza niż poprzednie, cięższa do przetrzymania. Zima bez węgla, drzewa, bez kartofli

i bez ciepłego ubrania, natomiast z wielkimi mrozami, z nieustannymi aresztowaniami, z epidemią tyfusu i z licznymi depeszami niemieckimi, zawiadamiającymi o śmierci więźniów w obozach koncentracyjnych. Ludzie przeżywają tę zimę w warunkach conajmniej bardzo ciężkich. I niewątpliwie jakoś ją przeżyją. Gdy jednak z wiosną mianoby zapytać kogokolwiek: jak przetrwałeś zimę? — każdy dałby jednakową odpowiedź: tak jakoś, sam nie wiem jak. . . . Bo istotnie trudno powiedzieć, jak ludzie przetrwają o głodzie kilka miesięcy mrozów. Tona węgla kosztuje trzy tysiące złotych, a możliwości zarobkowe, nawet w handlu, skurczyły się już ostatnio do minimum, zaś pensja urzędnika wynosi sto kilkadziesiąt albo dwieście złotych miesięcznie. . . .

Tej zimy śmierć przyszła Niemcom z bardzo wydatną pomocą: w Warszawie co drugie dziecko jest chore wskutek przeziębienia i niedożywienia. Na warszawskich cmentarzach wyrastają co kilka dni nowe aleje grobów najmniejszych, najniewinniejszych ofiar okupacji. Ale i tej zimy, jak w latach poprzednich, każdego rozgrzewa myśl o wiośnie i pokrzepia nadzieja na zmianę, jaką ta wiosna przyniesie.

Warszawa w trzecim roku okupacji ma wygląd miasta bardzo biednego i bardzo smutnego. Ludzie naogół ubrani są nędznie i nędznie wyglądają. Na ulicach, wśród żebrzących, spotyka się coraz więcej znajomych, dawnych kolegów pracy. Wystawy sklepów świecą pustkami. We wnękach bram i zburzonych domów drobni sprzedawcy pourządzali kramiki: sprzedają różną tandetę wojenną. Nie ma dla Polaków kin („Tylko świnie siedzą w kinie" — głoszą slogany, wypisywane „nieznaną" ręką na domach, w których mieszczą się kina), nie ma również teatrów. (Jedyny „Teatr Miasta Warszawy" urządzony przez Niemców, Polacy bojkotują.) Poza tem na przygnębiający wygląd Warszawy wpływa wielka ilość Niemców, wśród których ostatnio znajduje się bardzo wielu inwalidów i szczeniaków czternasto-szesnasto-letnich; ci ostatni ubrani są w mundury lotnicze i szkolą się w Warszawie w licznych szkołach lotniczych. Ruch kołowy, to prawie wyłącznie samochody wojskowe i riksze. Znaczna część dorożek konnych została zlikwidowana wskutek braku paszy dla koni. Spotyka się wielu ludzi w łachmanach, świecących, mimo mrozów, gołym ciałem.

Na wszystkich ulicach warszawskich stukają drewniane podeszwy butów i świecą ubóstwem papierowe płaszcze, ubrania, suknie. Trzeba powiedzieć, że te podeszwy wydają dźwięk melodyjny i przyjemny. Szczególnie nowe, nie przesiąknięte jeszcze wilgocią. Drewniaki są w powszechnym użyciu pomimo silnych mrozów. Noszą je wszyscy — kobiety, mężczyźni, dzieci. Oczywiście, tylko Polacy. To obuwie nadaje ulicy warszawskiej

bardzo specjalny charakter. Klekot drewnianych butów rozbrzmiewa wszędzie przez cały dzień. Wystawy najwytworniejszych niegdyś magazynów obuwniczych pełne są butów w przeróżnych fasonach, w których nie ma ani grama skóry. Ale czyż można się dziwić, że obuwie dla Warszawy robią zakłady stolarskie i tokarskie, a nie szewcy? Przecież teraz prawdziwych pantofli żaden sklep nie sprzeda taniej jak za półtora tysiąca złotych! Tak samo nie można się dziwić, że w domenę majstrów krawieckich weszli obecnie fabrykanci wyrobów papierowych; ubranie, które przed wojną kosztowało dwieście złotych, teraz kosztuje trzy tysiące pięćset — pięć tysięcy złotych. W naszym życiu pełnym ponurej treści, stykamy się na każdym kroku z paradoksami, które, choć zdobyły sobie prawo obywatelstwa, rozśmieszają nas samych. Codziennie przechodzę przed składem trumien Łopackiego na Placu Zamkowym i codziennie widzę wystawę, pełną najnowszych modeli . . . ubrań! Ubrań z papieru, które bynajmniej nie są przeznaczone dla nieboszczyków. Więc wszystko tak bardzo poplątało się, że buty robią stolarze, ubrania produkuje fabryka obić tapetowych Franaszka, a magazynem konfekcji stał się skład trumien. . . .

Zewnętrznie, dzisiejsza Warszawa nie wiele już ma w sobie z dawnej stolicy Polski. Niemcy muszą być z tego bardzo zadowoleni, bowiem od początku swego panowania pracują usilnie nad zepchnięciem Warszawy do rzędu nic nie znaczącego miasta prowincjonalnego. Od początku wypalają ogniem i żelazem ośrodek, promieniujący na cały kraj myślą, duchem, charakterem. Celu jednak nie osiągnęli, bo mimo wymordowania ogromnej części inteligencji warszawskiej, mimo zrabowania wszystkich naszych zabytków kultury i sztuki, mimo zamknięcia szkół wyższych i średnich, mimo rozgromienia wszystkich organizacji polskich, prasy polskiej, mimo zburzenia pomników, mimo doprowadzenia ludności polskiej do najskrajniejszej nędzy — nie pozbawili Warszawy jej charakteru naturalnej stolicy Polski, nie zagasili płomienia, który, wśród wszystkich miast polskich, tutaj, w Warszawie, pali się najsilniej. I dalej — mimo wszystkich wysiłków germanizacyjnych, mimo przemianowania ulic, szyldów, mimo dziesiątków tysięcy Niemców sprowadzonych do Warszawy — nie zniemczyli miasta, nie zdobyli go dla siebie, tak jak o tym marzyli. Każdy z nich sam musi stwierdzić, że Warszawa jest miastem tak polskim, jak francuski jest Paryż, jak angielski jest Londyn. Stworzenie stolicy w Krakowie jest taką samą namiastką wojenną, jak całe Generalne Gubernatorstwo. Po zakończeniu wojny ersatze będą należały tylko do smutnych wspomnień przeszłości.

Gdy teraz, w trzecim roku wojny myślę o rozstaniu się na

dłuższy czas z Warszawą, mimo woli staje mi przed oczami niezapomniany obraz z 7 września 1939. Wychodziliśmy z redakcji, aby do niej powrócić za kilka dni. . . .

— Dobrze patrzeć, robić notatki — mówił dyrektor. — Musicie napisać duże reportaże, bo w sobotę wydamy wielki numer. . . . W sobotę!

Przypominam sobie te słowa, wypowiadane z taką pewnością siebie: w sobotę! . . . A tu już tyle sobót za nami. Nasz gmach w połowie zburzony. Przy naszych biurkach rozsiedli się ludzie, którzy nie nauczyli się jeszcze poprawnie pisać po polsku. Nasze linotypy składają komunikaty z Berlina, artykuły opluwające nasz naród. Długoletni współpracownicy techniczni koncernu, pan Hergel i pan Lehman zawiesili własnymi rękami portret swojego Führera, otrzymali niemieckie krzyże zasługi za „ofiarne wytrwanie na posterunku" i rozpoczęli urzędowanie od sporządzenia dla Gestapo listy najaktywniejszych naszych kolegów.

Kiedyż, kochany dyrektorze, przyjdzie nasza sobota? Kiedy powrócimy? Kiedy wydamy ten nasz spóźniony — ze względów niezależnych od redakcji — numer? Przygotowuję się do wyjazdu z Warszawy, ale wierzę, że przecież napewno doczekamy się tej wielkiej soboty. I że przecież napewno wrócimy. Wiem tylko, że nie wszyscy. . . . Niektórzy padli na froncie we wrześniu, wielu zginęło w kaźniach i przed plutonami egzekucyjnymi. Musimy pamiętać: o tych naszych kolegach-bohaterach napiszemy w pierwszym numerze. Napiszemy śliczne wspomnienie. I tablicę z ich nazwiskami wmurujemy wewnątrz gmachu. Najlepiej będzie się nadawała ta ściana na parterze, pod zegarem, nawprost drzwi. Włączymy tam również nazwiska Romana Radwańskiego i zecera maszynkowego Piotra Palusa.

Ale tylko kiedyż, kiedyż przyjdzie *nasza* sobota? Kiedyż wydamy numer z naszymi reportażami? . . .

Muszę już skończyć ten list: skostniała mi ręka z zimna. Za oknem rozpadał się śnieg. Do pokoju wkrada się nastrój melancholijny.

LIST JEDENASTY

Dwie wyprawy do Berlina

Berlin, w lutym, 1942.

Mój drogi,

zdarzają się sytuacje, w których niańką człowieka jest los, owa siła tajemnicza, chwytająca w pewnym momencie za rękę swego wybranka i prowadząca, ponad niebezpieczeństwami, nie-

znanymi drogami przypadków do nieznanej przystani. Czuję właśnie, że od czasu gdy zaczął mi się palić grunt pod nogami, gdy znalazłem się wyraźnie na krawędzi przepaści, kierują mną jakieś fluidy, podszeptujące mi myśli niesamowite i decydujące o każdym niemal kroku. Brnę coraz głębiej w tym gąszczu przypadków i skojarzeń, odbijam się jak piłka od jednego niebezpieczeństwa do drugiego, ciągle popełniam jakieś gafy, które następnie okazują się najmądrzejszymi posunięciami. Uciekając przed ścigającymi mnie Niemcami — ulokowałem się w Berlinie.

Jak dotąd, wszystko idzie jak z bajki. Wierzę więc, że jestem na dobrej drodze. Szkoda tylko, że jest to droga mojej ucieczki przed niebezpieczeństwem, nie prowadząca przy tym do niczego więcej.

Od ostatniego listu, w Berlinie jestem już drugi raz. Przyjechałem tu na początku stycznia, potem powróciłem do Warszawy, potem, po nowym pięciotygodniowym pobycie w Warszawie, znów przyjechałem do Berlina. Nazbierało się tyle ciekawych spraw i sprawek do opowiadania, że nie wiem doprawdy od czego zacząć.

Kłopotu z pierwszym przedostaniem się do Berlina nie było prawie żadnego. Broncel otrzymał wzór niemieckiej karty granicznej i wkrótce miałem w kieszeni jeszcze lepszą przepustkę niż oryginalna. W ogóle od dawna stwierdziłem, że nasza drukarnia jest solidniejszą firmą niż drukarnie niemieckie. Ulokowałem się w przedziale pierwszej klasy i jako neutralny cudzoziemiec przyjechałem na dworzec Friedrichstrasse w Berlinie. Na granicy Generalnego Gubernatorstwa i Rzeszy, w naszym polskim Olkuszu, który otrzymał nazwę „Ilkenau", przedstawiłem strażnikom dokumenty, zapytałem o której godzinie będziemy w Berlinie — i odpowiedziałem nieznacznym kiwnięciem głową na ich podniesione prawice i „Heil Hitler", gdy opuszczali mój przedział. Było to w kilka dni po rozmowie z tamtym chudym, młodym urzędnikiem z Pass-Stelle. Przypomniałem sobie tę rozmowę z nim, gdy rano odsłoniłem firankę w wagonie kolejowym i przyglądałem się dworcom berlińskim, przez które przejeżdżałem.

W przedziale długo rozmawiałem z jakimś dygnitarzem partyjnym, który wsiadł we Wrocławiu. Musiał być dygnitarzem, bo miał antypatyczną gębę i dużo orderów. Rozmowa zeszła wkrótce na aktualny temat nalotów brytyjskich na Niemcy. Dygnitarz partyjny niczym nie różnił się w swoich opiniach od gadzinowych gazet, wydawanych w Polsce. Mówił, że bomby nie padają prawie nigdy na objekty strategiczne w Niemczech, najczęściej natomiast na kościoły i szpitale. Poszliśmy spać, wyspaliśmy się, zapomnieliśmy o nocnej rozmowie. A teraz

wyglądam przez okno i od razu po obu stronach toru w okolicy Warschauer Strasse Bahnhof widzę gruzy, ruiny, nad którymi wznoszą się wysokie kominy fabryczne. W obrębie Wielkiego Berlina widać takich obrazków dużo.

— Tu wszędzie były pewnie kościoły i szpitale . . . — mówię do dygnitarza partyjnego.

Ale dygnitarz partyjny mruknął tylko coś pod nosem i przygotowywał się do wyjścia.

W tej chwili zacząłem rozumieć, dlaczego oni robią w Warszawie takie trudności z udzieleniem zezwolenia na wyjazd do Rzeszy. Bo nie czynią żadnych trudności tylko tym, którzy wyjeżdżają na roboty przymusowe i którzy prawie nigdy nie wracają.

Wylądowaszy na dworcu, przede wszystkim nie mogłem sobie odmówić drobnej przyjemności: oryginalny Reichsdeutsche oczyścił mi buty. To dobrze wpłynęło nie tylko na obuwie, ale i na moje samopoczucie.

Wyjeżdżając pierwszy raz z Warszawy do Berlina, nie miałem właściwie żadnego wyobrażenia o tym, jak Niemcy żyją w swoim własnym kraju, w swojej własnej stolicy. W pewnej mierze ulegałem tylko, podobnie jak wszyscy niemal moi rodacy, błędnemu założeniu, że rabując całą Europę, Niemcy muszą mieć u siebie wszystkiego w bród. Ale już po godzinie pobytu w Berlinie, można się zorientować, że Rzesza jest dziurawym workiem, który prawdopodobnie nigdy nie napełnia się transportami żywności, sprowadzanymi z krajów okupowanych. Bo bez kartek można kupić tylko niektóre jarzyny; poza tym wszystko jest zracjonowane. To też wyobrażasz sobie moje zakłopotanie, gdy zacząłem biegać po Berlinie w poszukiwaniu jakiejś kawiarni, w której mógłbym zjeść śniadanie bez kartek. Niestety pierwszą wizytę w konsulacie musiałem złożyć naczczo. Tam dopiero, w konsulacie Republiki Lądu Wielkiej Nadziei, zaofiarowano mi kilkanaście numerków aprowizacyjnych.

Ale otóż moja pierwsza wizyta w konsulacie! I pierwsza rozmowa z panem Navarro da Correta, człowiekiem, od którego teraz wszystko zależało. Jest to typowy południowiec amerykański: czarne, kędzierzawe włosy, duże brwi, krótkie, strzyżone wąsy, oczy bystre i czarne jak węgle. Poza tym jest to człowiek w średnim wieku, wzrostu średniego, o zgrabnej, wysportowanej figurze i pięknie ubrany. Mówi biegle po niemiecku akcentem berlińskim.

Rozłożył na swoim wielkim stole teczkę z papierami dotyczącymi mojej sprawy i zaczął je przy mnie przeglądać.

— Starałem się załatwić pana sprawę szybko — mówił — bo rozumiem, że warunki życia w Polsce muszą być teraz ciężkie.

Ciągle otrzymuję od obywateli Lądu Wielkiej Nadziei, mieszkających w Polsce, rozpaczliwe listy.

— Istotnie — potwierdziłem. — Niemcy zamienili Polskę w kraj głodu i nieszczęść. Ale nam, cudzoziemcom, jest jeszcze stosunkowo dobrze. Przynajmniej mamy gwarancję bezpieczeństwa osobistego. . . .

Konsul odłożył na bok moją metrykę, którą przysłałem mu z Warszawy i jeszcze jeden papier.

— Właściwie wszystko jest już załatwione — powiedział, wskazując palcem na ten papier. — Na depeszę moją, którą wysłałem do Departamentu Stanu Lądu Wielkiej Nadziei, przyszła odpowiedź, że wszystkie informacje dotyczące pana osoby są zgodne z prawdą i otrzymałem polecenie wydania panu paszportu.

Pośpieszyłem wtrącić, że żałuję, iż nie zachowałem niestety paszportu mego ojca. . . .

— Z tego paszportu i tak nie miałby pan teraz pożytku — uspokoił mnie konsul.

Wypełniłem szereg formularzy, na każdym podpisałem się dwa razy i w dwu miejscach odcisnąłem palec wskazujący i kciuk prawej ręki. Konsul zabrał te formularze i wyszedł z nimi z gabinetu. Po chwili wrócił w towarzystwie starszego pana z olbrzymią czarną czupryną i w okularach w złoconej oprawie, który przedstawił się jako wicekonsul Marqeso da Campaho.

— Złoży pan przysięgę na wierność Republice Lądu Wielkiej Nadziei — oświadczył Navarro da Corretta.

Marqeso da Campaho przyszedł właśnie, aby być świadkiem przysięgi, którą odbierał konsul generalny. Powtarzałem za nim po niemiecku formułę przysięgi. Da Campaho stał przed nami z rękami splecionymi na wydętym brzuchu. Gdy skończyliśmy, każdy z nas złożył podpis na jeszcze jednym papierze. Teraz Navarro da Corretta poczęstował mnie cygarem, oczywiście hawańskim, i wyszedł z gabinetu.

Zostałem sam, pogrążony w wygodnym fotelu. Wszystko wydawało mi się w całej sprawie jasne i naturalne. Jednej tylko rzeczy nie mogłem zrozumieć: depeszy ze stolicy Lądu Wielkiej Nadziei. Tego, że wszystko zostało sprawdzone i że wszystko się zgadza! Wszystkie moje informacje na temat mego urodzenia na Lądzie Wielkiej Nadziei i praw do obywatelstwa tego państwa, były przecież od początku do końca zmyślone. Nazwisko Molenda było też produktem fantazji; miejsce swego urodzenia wybrałem z mapy Republiki Lądu Wielkiej Nadziei, a poza tym każdy najmniejszy nawet papierek był sfałszowany. Jakże się to stało, że tego nikt nie zauważył? Gdybym wiedział, że papiery, które sporządziła tajna drukarnia w Warszawie będą przesłane do stolicy Lądu Wielkiej Nadziei do sprawdzenia, zawahałbym się z wysłaniem ich do Berlina, i kto wie czy nie zrezygnowałbym z

całego tego przedsięwzięcia. Dla pozytywnej odpowiedzi z Lądu Wielkiej Nadziei znajduję tylko jedno wytłumaczenie: gorący klimat tego kraju, gdzie upały rozleniwiają zupełnie ludzi. Wyobrażam sobie jak załatwiono tam moją sprawę: wysoki urzędnik Departamentu Stanu leży na leżaku wśród palm pod wielkim parasolem. Przynoszą mu depeszę z Berlina. Pewien obywatel Republiki zagubiony w dalekiej Polsce, nie ma paszportu, ale przedstawia inne dowody swego obywatelstwa. Wysoki urzędnik jest już zmęczony, nie czyta dalej depeszy. Mniejszemu urzędnikowi wydaje polecenie: odpowiedzieć do Berlina, że wszystko jest w porządku; niech temu Molendzie wydadzą paszport i niech nie zawracają głowy dygnitarzom, kiedy jest tak gorąco.

Oczywiście, jest to groteska. W rzeczywistości było prawdopodobnie inaczej. Ale nie mniej, siedząc tutaj, odczuwałem wielką wdzięczność nietylko wobec konsula, ale wobec dalekiego a jakże bliskiego mi równocześnie kraju. Ląd Wielkiej Nadziei stał się moją drugą ojczyzną. Dręczyła mnie świadomość, że sposób, jakim stałem się obywatelem tego kraju był zaprzeczeniem „fair play", ale przy tym tłumaczyłem sobie, że przecież będę miał kiedyś okazję wyjaśnienia mego postępku, przeproszenia ludzi którzy uwierzyli w moje fałszerstwa i podziękowania Republice. Jakże bardzo pragnę mieć możliwość odwdzięczenia się temu krajowi!

Konsul Navarro da Correta wrócił po dziesięciu minutach. Wręczył mi małą książeczkę w zielonych, skórzanych okładkach.

— Proszę podpisać się pod fotografią — powiedział.

Następnie przetłumaczył mi na niemiecki specjalną notatkę, zrobioną w paszporcie w języku Lądu Wielkiej Nadziei, żebym mógł przejechać bezpłatnie statkami, pływającymi pod banderą Republiki. . . .

— Teraz niech pan jedzie do Polski — zakończył rozmowę. — Ja już rozpocznę starania u władz niemieckich o pozwolenie na wyjazd. Jeśli nie będzie specjalnych przeszkód, za dwa miesiące będzie pan jadł banany i ananasy. . . .

Polecił mi tylko zameldować się u władz policyjnych w Warszawie i podał adres prezesa kolonii obywateli Lądu Wielkiej Nadziei w Warszawie z zaleceniem nawiązania z nim kontaktu. Pożegnał mnie przyjaznym uśmiechem.

Od tej chwili stałem się cudzoziemcem, pełnoprawnym obywatelem Republiki Lądu Wielkiej Nadziei. Schodząc po schodach czułem się lekko i wesoło. Teraz dopiero mogłem swobodnie, bez żadnych obaw, spacerować po ulicach Berlina.

I dlatego spacerowałem przez całe dwa dni. Przede wszystkim szukałem śladów wizyt lotników angielskich i zmartwiłem się, że

ich tak mało. W samym centrum Berlina — na Unter den Linden jest bardzo mało zniszczeń. Ale przynajmniej gmach opery spotkał ten sam los, co naszą warszawską operę we wrześniu 1939. W bocznych ulicach centrum i w dzielnicach niecentralnych widać daleko więcej zniszczonych domów. Pocieszam się jednak, że wojna jeszcze nie skończona i przyjdzie może czas, gdy Berlin będzie przeżywał to samo piekło, jakie przeżywała Warszawa w swym krwawym wrześniu, i że w rezultacie stanie się takim samym miastem ruin, jakim stała się Warszawa.

Wprawdzie lotnictwo nie wyrządziło tu jeszcze wielkich szkód, ale nie można nie zauważyć, że wojna wycisnęła na Berlinie silne piętno. Przede wszystkim w dziedzinie gospodarczej. Na każdym kroku odczuwa się tu brak artykułów pierwszej potrzeby. Naprzykład papierosy sprzedawane są tylko pół godziny dziennie i to w bardzo małych ilościach. W sklepach w ogóle nie wiele można kupić. Brak nawet papieru listowego, ołówków, nie mówiąc o przedmiotach najpotrzebniejszych, bez których ludność musi się narazie obywać. Gdy się rozmawia o tym z pierwszymlepszym Berlińczykiem, ten ma odpowiedź przecinającą wszelką dyskusję:

— Ale my odnosimy zwycięstwa. Dopóki jest wojna, wszystko trzeba poświęcić dla wojska i dla państwa, to jest dla zwycięstwa ostatecznego. . . .

To nic, że na wystawach wielkich salonów samochodowych czy w witrynach wielkich magazynów zamiast towaru wystawiony jest wizerunek Hitlera. Niemcy tłumaczą to sobie logicznie: że samochody potrzebniejsze są pod Moskwą i pod Leningradem niż w Berlinie.

Niemiecka maszyna wojenna pozbawiła Berlin młodych mężczyzn. Ten brak rzeczywiście daje się zauważyć na każdym kroku. Zresztą najlepiej o tym świadczy duża ilość sklepów zamkniętych i opatrzonych nalepkami: „Zamknięte z powodu powołania właściciela do wojska". W wielu zawodach typowo męskich, mężczyźni zastąpieni zostali przez kobiety. Naprzykład salony fryzjerskie obsługiwane są prawie wyłącznie przez kobiety, gdzie niegdzie tylko pracują mężczyźni zupełnie starzy.

Obserwując zachowanie się Niemców w barach, restauracjach, kawiarniach, nawet w ogonkach do sklepów, można zauważyć, że ci ludzie spokojnie przyjmują wszystkie ograniczenia, że rozumieją konieczność złożenia pewnej ofiary ze swoich wygód i przyjemności na rzecz wysiłku wojennego. Może w rzeczywistości Niemcy są już zmęczeni wojną i zwycięstwami, które tak bardzo obniżyły ich stopę życiową, ale nie bardzo można to zauważyć. Przeciwnie, w każdej rozmowie z nimi — wszystko jedno czy z robotnikiem czy z inteligentem — padają zdecydo-

wane słowa pochwały dla kierowników Trzeciej Rzeszy i wiary w zwycięstwo niemieckie.

— Ta wojna była potrzebna — mówił mi jakiś przygodnie poznany Niemiec. — Wygramy ją napewno. Nawet gdyby wojna skończyła się jakimś kompromisem, my odniesiemy zwycięstwo. . . .

Nie wnikałem, co ten Niemiec miał na myśli, ale nie ulega wątpliwości, że słowa jego są przykładem dobrej postawy moralnej Niemców w Rzeszy.

Gdy wróciłem do Warszawy i z przyjaciółmi dzieliłem się swoimi spostrzeżeniami i uwagami z Berlina, Antek Tatarkiewicz oświadłczył, że to niczego jeszcze nie dowodzi.

— Podczas tamtej wojny — powiedział — Niemcy też w ciągu dwu czy nawet trzech lat trzymali się bardzo dobrze. Ich morale, to naciągnięta struna, która tak właśnie jak w poprzedniej wojnie, niewiadomo kiedy może trzasnąć.

Powróciwszy do Warszawy zabrałem się energicznie do przygotowań, związanych z wyjazdem na Ląd Wielkiej Nadziei. Nie łudziłem się co do tego, że siedząc w Warszawie trudno będzie wszystko załatwiać, nawet mimo najlepszych chęci konsula. Dlatego postanowiłem przenieść się w najkrótszym czasie do Berlina i tam na miejscu piłować konsula, ambasadę — i sprawę wyjazdu załatwić samemu. Stare przysłowie polskie mówi: „przez posły wilk nie tyje" — pamiętałem o tej prawdzie.

Konsul polecił mi zgłosić mój paszport u władz niemieckich w Warszawie. Więc wybrałem się jednego dnia do Gestapo w Alei Szucha, aby zarejestrować się tam jako obywatel Lądu Wielkiej Nadziei. Przeszedłem obok wielkich drabów w mundurach SS. i w hełmach polowych, którzy stali na warcie u wejścia do gmachu naszego Ministerstwa Oświaty. Od tak samo ubranego dyżurnego otrzymałem przepustkę i niebawem siedziałem przed urzędnikiem, starszym oficerem Gestapo, szpakowatym, z monoklem w oku. Obejrzał bardzo dokładnie mój paszport, przyglądał mu się i przez monokl i gołym okiem. Wreszcie zapytał:

— Skąd pan ma ten paszport?

— Z konsulatu — odpowiedziałem.

— Jakto, dopiero teraz pan zgłasza paszport do rejestracji, po przeszło dwu latach wojny?

— Nie mogłem wcześniej zgłosić, bo przedtem nie miałem paszportu. Otrzymałem go dopiero przed kilku dniami.

— A dlaczego nie zarejestrował się pan jako cudzoziemiec?

— Czekałem na paszport, formalności tak długo trwały.

— W jaki sposób dostał pan ten paszport z Berlina?

— Przywiózł mi go do domu konsul. . . . Inaczej nie mogło być, skoro władze niemieckie odmawiają cudzoziemcowi,

obywatelowi neutralnego państwa, wyjazdu do swojego konsula!

To ostatnie, powiedziane silniejszym i lekko ironicznym głosem, zmiękczyło faceta. Poprawił monokl i, siląc się na uśmiech, powiedział teraz znacznie delikatniejszym tonem:

— Ja pana przepraszam, że tak mówię, ale to dlatego, że byłem zdziwiony tym długim okresem nierejestrowania się pana. Ale to nic, wszystko jest już wyjaśnione. . . .

Wyjął z szuflady podłużną pieczęć z napisem ,,Angemeldet" i drugą, okrągłą, z kogutkiem w środku. Przyłożył pieczęcie, napisał datę, zapisał coś w swojej książce i wręczając mi paszport nie zapomniał powtórzyć jeszcze raz:

— Bardzo pana przepraszam, jeżeli uraziłem. . . .

Nie potrzebnie mnie przepraszał, bo ostatecznie nie mogę powiedzieć, żebym wyszedł stamtąd obrażony.

Spełniłem też drugie polecenie konsula: poszedłem do prezesa kolonii obywateli Lądu Wielkiej Nadziei. Nazywał się pan Natalio, miał sklep z galanterią, w twarzy zaś — stanowczo więcej cech człowieka z ghetta warszawskiego niż południowca amerykańskiego. Zresztą mówił akcentem wybitnie żydowskim. Powiedziałem, że byłem w Berlinie, że skierował mnie do niego konsul, że konsul otrzymuje rozpaczliwe listy od obywateli Lądu Wielkiej Nadziei w Polsce, że trzeba coś radzić. . . . Oczywiście, nie wspomniałem ani słowem o swoim zamiarze wyjazdu. Pan Natalio wziął sobie do serca moją rozmowę i po kilku dniach otrzymałem od niego zawiadomienie, że w jego mieszkaniu odbędzie się zebranie wszystkich członków kolonii ,,w związku z rozmową z konsulem generalnym przybyłego ostatnio z Berlina członka kolonii, p. Svatopelko Venceslao Molenda".

No i odbyło się to zebranie. Przyszło trzynaście osób. Wszyscy byli bardzo niezadowoleni, że konsul im nie pomaga, a najwięcej pretensji było pod adresem prezesa kolonii, że nie interweniuje u Niemców w sprawach członków kolonii, że nie postarał się dla nich o węgiel na zimę, że jest niemrawy, że, słowem, jako prezes, nie udał się. Te zarzuty tak oburzyły pana Natalio, że wstał i oświadczył, iż rezygnuje z prezesury. Domyślasz się, że zebrani zaczęli wybierać nowego prezesa i że tym nowym prezesem wybrano mnie!!

— Niestety, moi panowie — próbowałem się wykręcić. — Ja mam bardzo dużo roboty. Nie będę mógł poświęcić sprawom kolonii swego czasu, dlatego nie ma sensu, abym ja był prezesem.

— To byłoby niepatriotycznie! — odrzekł jakiś młody człowiek. — Jeżeli pan chce, będziemy pracowali obaj: ja będę sekretarzem. Chodzi o to, żeby coś robić, a pan zna konsula i panu pójdzie łatwiej.

Inni poparli patriotycznego młodzieńca i ostatecznie zostałem

prezesem kolonii obywateli Republiki Lądu Wielkiej Nadziei. . . . Odrazu zacząłem urzędować. Poleciłem sekretarzowi napisać protokół z tego zebrania i wysłać go listem poleconym do konsulatu w Berlinie. Podyktowałem mu też list do szefa okręgu w Warszawie w sprawie przydziału węgla dla członków kolonii. Nazajutrz jako prezes podpisałem protokoł i list, ograniczając do tego swoją działalność i zasługi. Muszę się jednak pochwalić, że w odpowiedzi na ów list, Niemcy przyznali po tonie węgla dla każdego. . . .

Wśród różnych drobnych wydarzeń — nie zawsze, niestety, wesołych — upływały ostatnie tygodnie mojego pobytu w Polsce. Zacząłem wreszcie żegnać się z najbliższymi. Pojechałem na wieś, gdzie marzły żona i córka. Przyrzekłem żonie, że postaram się wydobyć z konsulatu zaświadczenie, stwierdzające, że jest żoną obywatela Lądu Wielkiej Nadziei. Przywiozłem jej od razu gotowy polsko-niemiecki dowód osobisty na nazwisko Molenda. Prosiłem, żeby po otrzymaniu zaświadczenia przeniosła się do jakiegoś miasta i żeby tam zameldowała się na swe nowe nazwisko. Uważałem, że taka kombinacja jest przynajmniej gwarancją, iż nie wywiozą jej z dzieckiem na roboty do Niemiec. Jednym z moich projektów było zabranie żony zagranicę, ale nie orientując się w szansach realizacji tego projektu, nie mówiłem o nim; nie chciałem narażać żony na ewentualne rozczarowanie.

Wszystko wskazywało na to, że do Berlina będę mógł wyjechać spokojnie i bezpiecznie. Ale — jeszcze raz *ale*!

Na trzy dni przed ustalonym terminem wyjazdu z Warszawy, po południu pakowałem swoje najważniejsze drobiazgi do walizki. Byłem zmęczony i chciałem wcześniej położyć się spać. To też gdy zadzwonił telefon i przyjaciele zapraszali mnie na pożegnalną kolację, niechętnie wyszedłem z domu. Ale znów, jak w tylu już wypadkach, za rękę poprowadziło mnie moje przeznaczenie, chroniąc mnie przed nieszczęściem. Cóżby się bowiem stało, gdyby nie to wyciągnięcie mnie z domu na kolację, gdyby nie to, że kolacja przeciągnęła się do późnej nocy, gdybym nie musiał przenocować u przyjaciół? . . .

Nazajutrz rano miałem wyznaczoną wizytę u dentystki. Nie poszedłem więc już do domu, tylko wprost do gabinetu dentystycznego. Stamtąd zatelefonowałem do domu. Chciałem się dowiedzieć, czy nie ma dla mnie jakiejś poczty. Odezwał się obcy mi zupełnie głos. Poprosiłem do aparatu właścicielkę mieszkania. Głos zapytał wtedy w jakiej sprawie. Odpowiedziałem, że w osobistej. Po chwili usłyszałem głos mojej gospodyni i tajemnicze słowa:

— Dzień dobry wujaszku. Przepraszam, ale nie będziemy mogli zobaczyć się teraz, może za kilka dni. . . .

Zrozumiałem, że znów zdarzyła się jakaś fatalna historia. Tym fatalniejsza, że przecież — jeśli policja czyha na mnie w domu — mój paszport obywatela Lądu Wielkiej Nadziei przestał już mieć wartość. Pamiętałem jednak, że w chwilach niebezpieczeństw nie wolno gorączkować się, że nie należy myśleć o samym niebezpieczeństwie, ale o szukaniu ucieczki przed nim. Siedziałem więc w fotelu dentystycznym, z szeroko otwartymi ustami i zastanawiałem się nad nowym „planem operacyjnym".

Już tego samego dnia dowiedziałem się, o co chodzi. Oczywiście, jeszcze jedna wsypa. Ale równocześnie spadł mi wielki kamień z serca, bo stwierdziłem, że to nowe poszukiwanie mnie nie ma nic wspólnego z poprzednimi awanturami, a tymsamym maska cudzoziemca nadal mnie osłania.

Sprawa ta była zupełnie nowa i zupełnie przypadkowa. Powracając z Berlina do Warszawy, zatrzymałem się u swoich starych przedwojennych przyjaciół w Katowicach. Są to Polacy nie tylko głęboko czujący po polsku, ale i ofiarni patrioci polscy. Porozumiewa się z nimi w różnych sprawach, „urzędujący" obecnie na Śląsku Mikuła, którego poszukiwały władze niemieckie w Warszawie w dniu aresztowania Piotrusia Palusa. Oni właśnie prosili mnie o pomoc w pewnej ważnej dla Polaków na Śląsku sprawie i przez nich spadł na mnie ten całkiem niespodziewany kłopot.

Od dawna wiedziałem o istnieniu „granicy policyjnej" między Zagłębiem Dąbrowskim i Śląskiem. Wprawdzie oba te obszary „włączone" zostały do Rzeszy, ale ze względu na wielką ilość Polaków mieszkających w Zagłębiu Dąbrowskim, Niemcy stworzyli tę wewnętrzną granicę, izolując kilkaset tysięcy Polaków w wąskim pasie między granicą Gubernatorstwa Generalnego a Śląska, od którego — w pojęciach niemieckich — zaczyna się dopiero „czysta" Rzesza. W ten sposób, Polacy mieszkający w Sosnowcu nie mają możności porozumiewania się nawet ze swymi rodzinami mieszkającymi w Katowicach — i odwrotnie. Są tam, wprawdzie przepustki, ale tylko dla Niemców i Volksdeutschów. Cała moja pomoc w tej sprawie miała polegać na dostarczeniu moim przyjaciołom tysiąca przepustek, wykonanych na podstawie wzoru, jaki zabrałem z sobą do Warszawy. Przewiezienia tych przepustek podjął się pewien inżynier, pracujący w kopalni, który miał właśnie za dwa czy trzy tygodnie przyjechać służbowo do Generalnego Gubernatorstwa.

Do tych swoich przyjaciół miałem tak wielkie zaufanie, że inżynierowi podałem bez wahania mój adres prywatny. Poleciłem mu, by zgłosił się do mnie do domu, przyrzekając, że gotowe druki będą na niego już czekały. Paczka istotnie prędko była gotowa. Nie zapomniałem też dołączyć do niej potrzebnych pieczęci dyrekcji policji niemieckiej w Katowicach. Przyjechał,

zabrał tę paczkę i byłem przekonany, że wszystko będzie w porządku.

Tymczasem, gdy ja siedziałem w najlepsze z przyjaciółmi przy kolacji pożegnalnej — Gestapo odbierała telefonogram z Katowic: . . . Na przejeździe granicznym, między Gubernatorstwem Generalnym a Rzeszą, zatrzymany został samochód, w którym znaleziono paczkę z fałszywymi drukami i pieczęciami niemieckimi. Przewożący tę paczkę podał jako źródło jej pochodzenia osobę cudzoziemca, Svatopelko Venceslao Molenda i jego adres. . . .

Inżynier prawdopodobnie wsypał wszystko na śledztwie. Domyślam się, że liczył na moją „cudzoziemskość", na to, że ja wywikłam się jakoś z tej całej sprawy, a tym samym i jemu łatwiej się będzie uratować. Mylił się biedak, bo takie sprawy Gestapo załatwia szybko. W półtorej godziny od mego wyjścia, zielony samochód policyjny z kilku uzbrojonymi w karabiny SS-manami zajechał pod mój dom.

Ta niespodzianka postawiła mnie w zupełnie nowej sytuacji. Przekreśliła automatycznie możliwość zaopatrzenia mojej żony w papiery Lądu Wielkiej Nadziei, a mnie nie pozwoliła już na spokojny — jak poprzednio — wyjazd do Berlina.

Przede wszystkim więc, aby przedostać się powtórnie do Rzeszy, nie skorzystałem już z przepustki granicznej i postanowiłem przejść przez zieloną granicę. Nocą, przy fatalnej jak na tego rodzaju eskapadę pogodzie, przekradłem się przez pas graniczny, przechodzący wielką, otwartą przestrzenią, pokrytą bielutkim śniegiem. Ponieważ przy księżycu noc była widna, okryłem się białym prześcieradłem. Idąc, widziałem tylko ślady butów mego przewodnika, który też miał białe prześcieradło na sobie. To upewniło mnie, że strażnicy niemieccy nie mogą nas dostrzec. Do rana przeczekałem we wsi, odległej o kilka kilometrów od granicy, już po stronie Rzeszy. Następnie dotarłem do najbliższej stacji kolejowej — a z tamtąd dalsza droga poszła już łatwo. Cały dzień musiałem jednak przesiedzieć w Sosnowcu, aby następnej nocy sforsować z kolei granicę „policyjną" między Zagłębiem Dąbrowskim i Śląskiem.

Sosnowiec, stolica Zagłębia, zachował charakter miasta polskiego. Wprawdzie wszystkie szyldy, tablice z nazwami ulic, reklamy na słupach ogłoszeniowych są tylko w języku niemieckim, ale wszędzie na ulicach rozbrzmiewa tylko mowa polska. Miasto jest daleko cichsze, niż było przed wojną i smutne. Już wychodząc ze stacji, nie sposób nie zauważyć osobliwości w wojennym życiu Sosnowca: dorożek i furmanek, zaprzągniętych w ludzi, noszących na rękawach opaski z gwiazdami Syjonu. Niemcy zabrali Żydom konie, pozostawili im jednak pojazdy.

Więc Żydzi wprzęgli się w te pojazdy sami. Naogół, Żydzi sosnowieccy mają znacznie większą swobodę ruchów, niż ich współwyznawcy w Warszawie i w innych miastach GG. Ghetto nie jest tutaj oddzielone murami i posterunkami policyjnymi od reszty miasta. Jest tylko dzielnica, w której muszą wszyscy mieszkać. Poza tym w Sosnowcu jest kilka ulic, po których Żydom nie wolno chodzić. Wolno im natomiast pracować w przedsiębiorstwach niemieckich w całym Sosnowcu; uposażenie ich jednak jest ograniczone przez miejscowy Arbeitsamt.

Polacy żyją w atmosferze takiego samego smutku i przygnębienia, jakie ciażą na całym naszym życiu w Gubernatorstwie Generalnym. Każdy jednak jest przekonany o przejściowości obecnego stanu i — tak samo jak my w Warszawie — każdy wierzy w szybkie odrodzenie się państwa polskiego. Organizacje podziemne rozwijają ożywioną działalność. Na płotach fabrycznych „jakieś ręce" wypisują ciągle: „Niech żyje Polska!", „Pracuj powoli — pokonasz Hitlera!", w wielu miejscach rzucają się w oczy słowa-hasła: R.A.F., Sikorski, Churchill. Nawet zawędrowały tu z Warszawy malutkie nalepki trójkątne: „A ja powiem wam na ucho, że z Niemcami bardzo krucho!"

Ale Niemcy pracują w Sosnowcu również „normalnie i aktywnie". Na hałdach rozstrzeliwują Polaków, więzienia przepełnione, wielu mieszkańców miasta — w obozach koncentracyjnych. Przed nowym budynkiem zarządu miasta, do którego prowadzi aleja wysadzana drzewami, stoi wysoka szubienica. 1-go września zeszłego roku powieszono na niej czterech harcerzy, których złapano podczas wykonywania jakiegoś sabotażu. Egzekucja ta była szczególnie „uroczysta". Spędzono na nią organizacje hitlerowskie, a Hitlerjugend zjawiła się ze sztandarami i orkiestrą. Podczas wieszania bohaterów grzmiał werbel, a po dokonaniu egzekucji orkiestra odegrała jakiegoś marsza. Szubienicę tę pozostawiono jako symbol „sprawiedliwości nowego ładu". Niemcy, nawet w popełnieniu swoich zbrodni, pamiętają o propagandzie. Nawet mordując, nie zapominają o zainscenizowaniu odpowiedniego tła dekoracyjnego, jeżeli ono jest potrzebne ich wyrachowaniom propagandowym.

Następnego dnia rano jadłem śniadanie w małej kawiarence katowickiej, w której niegdyś, przed wojną spotykałem się na dobrej kawie ze swymi kolegami redakcyjnymi z „Polski Zachodniej" i z radia. Jej właściciel, Józef Sobecki, jest teraz stuprocentowym Niemcem. Na szyldzie jest już napis: Joseph Sobetzky; w sali, na miejscu dawnego, małego portretu prezydenta Rzeczypospolitej, wisi wielki portret Hitlera. Herr Sobetzky w klapie marynarki nosi trzy różne medaliki ze swastykami. W oknie wystawowym kawiarni jest, jak na każdej innej wystawie, karton z kołem trybowym ze swastyką w środku i z

cyferką pod spodem — 100 %. Znaczy to, że pracownicy tej firmy w 100 % należą do organizacji zawodowej. . . . W kawiarni na wprost portretu Führera Herr Sobetzky wywiesił dwie sentencje, wykonane standartowym drukiem. Na jednej Gauleiter śląski Bracht podaje swym poddanym do wiadomości, że Hitler jest geniuszem i prorokiem, budującym nowy porządek na tysiąc lat. Na drugiej bezimienny autor pisze: „Jeżeli usłyszysz kogoś mówiącego w Katowicach po polsku — zastrzel go; wymaga tego interes państwa niemieckiego".

Herr Sobetzky stawia filiżankę kawy na moim stoliku i rozmawiamy. Jak starzy znajomi. O wszystkim, o czym można mówić. A więc — zmiany w wyglądzie miasta, nasi wspólni znajomi, kawa, pogoda. . . . Herr Sobetzky nie jest jednak zadowolony z takiej rozmowy. Zahacza o sprawy niebezpieczne. Wreszcie mówimy o tysiącu lat „nowego porządku".

— Teraz wszystko pędzi tak szybko — mówi — że godzinę można uważać za rok. . . .

Ale tego można tylko słuchać. O tym nie można dyskutować. . . .

Katowice! Miasto, w którym pracowałem kilka lat, w którym w oczach moich rosła polskość po sześciuset latałch niewoli Śląska. Wszystko tu teraz zimne i obce. Słowo polskie zamarło zupełnie. Przypominają je tylko rozlepione na murach plakaty: „Jeżeli usłyszysz kogoś mówiącego po polsku — zastrzel go. . . ." Podobno, jak wynika ze statystyk niemieckich, na 180.000 mieszkańców Katowic, jest obecnie dwa procent Polaków — resztę wypędzono i wymordowano. Przed wojną stosunek był odwrotny: sami Polacy i kilka procent Niemców. Ale przed wojną słychać było tych Niemców, czuło się ich obecność. Dziś Polaków nie słychać tu wcale. Nawet nagrobki polskie na cmentarzach zostały usunięte. Żeby nie było śladów, że tu byliśmy i że to miasto, tak samo jak cały Śląsk, jest częścią państwa polskiego.

Jedyne ślady, jakie zachowały się, to polskie budownictwo powojenne. Nawet na okazałym gmachu Sejmu Śląskiego pozostały orły polskie w pasie ornamentacyjnym, otaczającym budynek. Ale i te ślady drażnią Niemców. Polacy nie zdążyli dokończyć budowy Muzeum Śląskiego, więc — choć monumentalny gmach był już pod dachem — Niemcy postanowili go rozebrać. Przed kilku laty byłem na uroczystości położenia kamienia węgielnego pod projektowane wówczas dzieło architektury nowoczesnej; teraz słuchałem warkotu świdrów pneumatycznych, umieszczonych na szczycie gmachu. . . . Prawdopodobnie potrzebny im jest plac na pomnik Führera.

We wrześniu 1939, gdy pancerne oddziały niemieckie wchodziły do miasta, w walkach ulicznych chlubnie spisała się młodzież

polska. To też gdy Katowice padły, Niemcy wyładowali swoją wściekłość przede wszystkim na młodzieży. Na rynku, który dawniej nazywał się Placem Józefa Piłsudskiego, a dziś Adolf-Hitler-Platz, przed gmachem Sejmu i w parku Kościuszki, odbywały się masowe egzekucje. Przed gmachem Teatru Wyspiańskiego rozstrzelano ponad stu harcerzy. Podobno stojąc przed plutonem egzekucyjnym wszyscy chłopcy trzymali się pod ręce i śpiewali hymn narodowy. Opowiadają o tym w Katowicach sami Niemcy.

Wsiadając do berlińskiego pociągu pośpiesznego, który stał na peronie w Katowicach, czułem się niezbyt pewnie. Nie miałem już w klapie palta mego kolorowego znaczka z flagą Lądu Wielkiej Nadziei. Miałem natomiast podwójne dokumenty: jedne — obywatela republiki południowo-amerykańskiej, ukryte w „zakonspirowanej" kieszeni, drugie zaś — niewinne, nic nie mówiące, na wypadek gdyby w pociągu miano mnie legitymować. Oprócz dowodu osobistego na nazwisko Bazyli Wereczenko (narodowości ukraińskiej, stale zamieszkały w Katowicach), miałem też zaświadczenie ukraińskiego przedsiębiorstwa „Masłosojuz", stwierdzające, że jadę służbowo do Berlina celem zakupu maszyn rolniczych. Wszystkie te „dowody" wykonane zostały przez Broncla w ciągu jednej nocy, ostatniej nocy mego pobytu w Warszawie.

Do Berlina przyjechałem spokojnie, przez nikogo nie legitymowany. Udałem się natychmiast do konsulatu. Miałem wprawdzie pewne obawy, czy przed domem konsulatu nie czyha już na mnie jakiś „anioł stróż", ale Niemcom w Warszawie nie przyszło do głowy, by człowiek poszukiwany przez nich uciekł właśnie do Berlina! Rozmowę z konsulem rozpocząłem od szczerego wyznania, że w Warszawie szuka mnie policja, że przeszedłem przez zieloną granicę i że sam nie wiem, czego właściwie Niemcy chcą ode mnie. . . .

— To fatalne! — zawyrokował, niczym nie speszony pan Navarro da Correta. — Ale tu nie powinien już panu spaść włos z głowy . . . — dodał.

— W każdym razie — oświadczyłem — ja już nie wracam do Polski. Przyjechałem tu, aby jak najprędzej pojechać dalej. . . .

Zaraz pierwszego dnia pojechałem na Burgstrasse, do prezydium policji, spełniając polecenie konsula, który telefonicznie porozumiał się z tym urzędem w sprawie zameldowania mnie w Berlinie. Niemcy mają bowiem taki niezbyt wygodny dla cudzoziemców zwyczaj, że na to aby starać się o wyjazd zagranicę z Berlina, trzeba przede wszystkim otrzymać prawo stałego zamieszkania w stolicy Rzeszy.

Stanąłem w ogonku kilku osób. Załatwiał mnie sierżant policji, człowiek o ziemistej cerze, zgarbiony, conajmniej siedemdziesięcioletni. Powiedziałem mu, że jestem obywatelem Lądu Wielkiej Nadziei, że chcę wracać do domu, że polecił mi tu przyjść mój konsul, i że do Berlina przyjechałem przed kilku godzinami. W odpowiedzi na to otrzymałem pięć wielkich formularzy i cztery kalki kopiowe; musiałem zaraz odpowiedzieć pisemnie na cały szereg pytań. Wypisywałem więc zamaszyście wszystkie dane, dotyczące mnie, i wreszcie utknąłem na rubryce: skąd przybył do Berlina?

Czy miałem napisać, że z Warszawy? Oczywiście nie! Napisałem, że przybyłem z Poznania (Poznań włączony jest do Rzeszy i komunikacja między Poznaniem a Berlinem jest zupełnie swobodna), podałem jakiś „mój" adres w tym mieście, postawiłem datę, podpisałem się i — oddałem. Staruszek rozpoczął teraz urzędowanie nad moim meldunkiem. Na każdym egzemplarzu przystawiał pieczęcie, podpisywał wyraźnie swoje nazwisko i, po kilku minutach, wręczając mi jedną kopię, powiedział:

— Teraz to pójdzie do Poznania, do sprawdzenia. Jak wróci, będzie pan zawiadomiony listownie. . . .

Do Poznania? Do sprawdzenia? Nigdy w życiu tam nie mieszkałem! Nie wiem nawet, czy istnieje Danziger-Strasse, którą podałem na tym formularzu!

Stary sierżant napewno nie domyślał się jak uderzyły we mnie jego słowa. Uśmiechnąłem się, udając że jestem bardzo zadowolony i zapytałem, jak długo będę musiał czekać?

— Około tygodnia — odpowiedział.

Z gmachu prezydium policji wyszedłem zmartwiony. Perspektywy nie były wesołe. Zatrzymałem pierwszą spotkaną taksówkę i pojechałem odrazu do konsulatu. Gdy płaciłem taksę, usłyszałem za plecami:

— Herr Molenda!

Pan Navarro da Corretta wychodził właśnie z bramy.

— Czy pan jest już po obiedzie? — zapytał.

— Jeszcze nie. Chciałem właśnie przed obiadem porozmawiać z panem.

— To proszę, pojedziemy razem do restauracji.

Wsiedliśmy do czarnego Paccarda z literami CD, stojącego przed konsulatem. Konsul poinformował mnie najpierw po drodze, że restauracja Kranzlera na Kurfürstendamm to jedyne w Berlinie miejsce, gdzie można jeszcze dostać porządną rybę, trzeba tylko zapisać się na nią na dziesięć dni naprzód. Pan Navarro da Correta zamówił dwie porcje z myślą o wicekonsulu Marzeso da Camaho, ale tamten ma właśnie lekką grypę. . . .

Gdy ryba wjechała już na stół, zacząłem mówić o wizycie w prezydium policji.

— Czy uważa pan, panie konsulu, że mógł byłem napisać, że przyjechałem tu z Warszawy?

— Wyłączone! Gdyby pan tak napisał, narobiłby pan kłopotu i sobie i mnie.

— Oczywiście, pisząc, że przyjechałem tu z Poznania, postąpiłem rozsądniej, niż gdybym napisał, że z Warszawy. Odciąłem się zupełnie od Generalnego Gubernatorstwa, a tym samym od poszukującej mnie Gestapo. Ale obawiam się, że i tak kłopot jest nieunikniony. Bo przecież w Poznaniu odrazu ustalą, że wogóle tam nie mieszkałem, i że adres jest zmyślony.

— O to będziemy się martwili później, jak przyjdzie odpowiedź z Poznania — pocieszył mnie konsul. — Wytłumaczymy im, że pan źle zrozumiał pytanie, a zresztą pomyślę jeszcze o tej sprawie.

Dla pana Navarro da Correta zagadnienie to było daleko prostsze niż dla mnie. Rozmawialiśmy więc teraz tylko o tym, co jego interesowało, a mianowicie — o stosunkach w Polsce. Z wszystkich jego pytań, z żywego zainteresowania losem Polaków, przebijała szczera sympatia dla nas i niechęć do Niemców.

— Mnie się jednak zdaje — mówił konsul — że Niemcy byliby mniej wściekli i Polacy również mniej cierpieliby, gdyby Polacy nie postępowali z nimi tak brutalnie. Ja rozumiem, że to jest jedna z metod walki z okupantami, ale jednak ta brutalność szkodzi w opinii samym Polakom. . . .

— Daruje pan, ale nie bardzo pana rozumiem. Pan mówi o brutalności Polaków czy Niemców?

— Oczywiście, że Polaków!

I zaraz pan Navarro da Correta przytoczył kilkanaście przykładów brutalności — więcej: okrucieństwa Polaków w stosunku do spokojnych, przyjacielsko nastawionych Niemców. . . . A więc bandy Polaków polują na dzieci i kobiety niemieckie, aby je zamordować, stosując barbarzyńskie metody ucinania języków, wypalania oczu. . . . Dzieci niemieckie wyrzucane są z pędzących pociągów. . . . Żaden Niemiec nie może przejść spokojnie ulicą w godzinach wieczornych i nocnych, gdyż wszędzie czyhają bandy uzbrojone w noże i rewolwery. . . . Dwu patrolujących żandarmów zrzucono jednej nocy z mostu do Wisły. . . .

Gdy usłyszałem już dostatecznie dużo tych przykładów o *morderstwach* popełnianych przez Polaków, zapytałem skąd on o tym wie?

— No jakto! Przecież Niemcy zapraszają nas na konferencje informacyjne i mówią o wszystkim. Oni przecież mają dokładne dane. . . .

— I czy pan wierzy w to, co oni mówią?

— No, wie pan, trudno nie uwierzyć, jeżeli podają wszystko szczegółowo, z nazwiskami i nawet często rozdają fotografie. . . .

— Gdyby tak było istotnie, jak oni informują — próbowałem

przekonać konsula — niewątpliwie, byłoby bardzo dobrze. I niewątpliwie kiedyś przyjdzie chwila, gdy Polacy w taki właśnie sposób będą się rozprawiali z Niemcami. Niech mi pan jednak wierzy, panie konsulu, że to wszystko co oni mówią panom, przedstawicielom państw współpracujących z nimi i neutralnych, jest kłamstwem, jest produktem niemieckich laboratoriów propagandowych. Tak, Niemców w Polsce zabijają Polacy, temu nie można zaprzeczyć i żaden Polak nie będzie nawet próbował przeczyć temu. Ale jeżeli Polacy strzelają do Niemców, jeżeli mordują okupantów, to nie wolno tego nazywać ani brutalnością, ani barbarzyństwem. Jeżeli chodzi o Niemców, to, jak dotąd, ginie ich w Polsce mało. Giną tylko jednostki. Jest to tylko skromna, niemal symboliczna reakcja narodu męczonego w nieprawdopodobny sposób i mordowanego w nieprawdopodobnych rozmiarach. Niemiecka polityka okupacyjna ma natomiast zupełnie proste założenie: wymordować doszczętnie cały naród polski. Czy pan wie, że tajna prasa polska ustaliła, iż Niemcy mordują przeciętnie po 2.500 Polaków dziennie i, że od początku okupacji Niemcy rozstrzelali w miejscach straceń i wymordowali w obozach koncentracyjnych ponad półtora miliona Polaków? Czy pan wie, że Niemcy po wsiach mordują ludzi masowo? Że naprzykład ostatnio w pewnej wsi lubelskiej wpędzili pięciuset chłopów polskich, razem z księżmi, nauczycielami do dołu półtorametrowej głębokości i następnie rzucili w ten dół kilkanaście granatów? . . . Pan wierzy w brutalność Polaków i w te kłamstwa rozpowszechniane świadomie w Berlinie? Niechże się pan zastanowi, panie konsulu, czy przypadkiem te ich cyniczne kłamstwa nie mają usprawiedliwić w opinii świata największych w dziejach ludzkości zbrodni, popełnianych przez Niemców na Polakach, cierpiących dziś za to, że honor narodu nie jest dla nich frazesem, że są przywiązani do swego państwa i że kochają wolność?

Pan Navarro da Correta słuchał moich wywodów z wielką uwagą. Informacje moje były dla niego nowe i rewelacyjne. Przymrużał oczy, przygryzał wargę i powtarzał: — Niesamowite, fantastyczne. . . .

Wreszcie przyznał się:

— To bardzo ważne, co mi pan powiedział. O tym wszystkim nie miałem żadnego wyobrażenia.

Po podwieczorku, koło godziny szóstej leżałem na tapczanie w pokoju hotelowym, zastanawiając się nad konsekwencjami, jakie mogą wyniknąć z kompromitującej mnie odpowiedzi z Poznania. Te konsekwencje łączyły się ze sprawą poszukiwania mnie przez Gestapo w Warszawie. Obawiałem się, że mimo niebywałej tępoty gestapowców w Polsce, mogą się domyśleć, iż

znajduję się w Rzeszy i mogą przysłać jakiś „list polecający“ do policji w Berlinie. Wtem zadźwięczał telefon. Dzwonił pan Navarro da Correta. Zapytał co robię wieczorem.

— Wybieram się do kina.

— A nie zrobi panu różnicy, jeśli pan do kina pójdzie jutro?

— Oczywiście, że nie zrobi!

— Bo pan jest zaproszony na dziś na kolację przez panią ambasadorową. O siódmej przyjadę po pana samochodem.

— Proszę bardzo, będę oczekiwał. Jest rzeczą oczywistą, że powodem tego niespodziewanego zaproszenia była moja rozmowa o Polsce z konsulem, który — prawdopodobnie — opowiadał o moich informacja w najbliższym gronie współrodaków.

Senora Rosa Dalisca, małżonka ambasadora Republiki Lądu Wielkiej Nadziei, przyjęła mnie jak starego znajomego; więcej nawet: jak przyjaciela. Jest to młoda osoba o dużych, czarnych, wesołych oczach, o pięknej typowej urodzie z krajów południowo-amerykańskich. Mówiła źle po niemiecku, ale dodawało jej to jeszcze więcej uroku. Była uprzejma, dowcipna, gościnna, czarująca.

Kolację podano po ósmej, gdy przyszedł ambasador, pan Jantari Dalisca, starszy pan, wytwornie ubrany.

— Wszystko wiem o panu — powiedział, gdy pan Navarro da Correta mnie przedstawiał.

No, chyba nie wszystko! — pomyślałem. Z rozmowy okazało się, że ambasador wie na szczęście istotnie bardzo mało. To mnie zupełnie uspokoiło.

— Docierają do nas najbardziej nieprawdopodobne wiadomości otym co się dzieje w Polsce — mówił ambasador. Tam musi być teraz strasznie. Czy to prawda, że dzieci umierają z głodu i że Niemcy nie wiele troszczą się o los biednych Polaków?

Ależ, oni bardzo się troszczą — odpowiedziałem. Starają się wszystko robić, co jest w ich mocy, aby wyniszczyć i wymordować jak najwięcej Polaków.

Naiwne zapytanie ambasadora o „troskę“ niemiecką jest dowodem szczelnego izolowania Polski od świata. Nawet tutaj, w Berlinie, nikt nie wie co się dzieje w Polsce.

Z tego domu, a szczególnie z tej pierwszej kolacji, wyniosłem rzeczywiście wiele miłych wspomnień. Poza tym, załatwiłem tam sprawę paszportu dla mojej żony i otrzymałem obietnicę ambasadora i jego uroczej żony, że ambasada poczyni wszelkie starania, aby nasz wyjazd — już nasz! — na Ląd Wielkiej Nadziei nastąpił w jaknajkrótszym czasie.

Miałem przed sobą conajmniej tydzień oczekiwania na wezwanie z policji. Tydzień niepewności. Po załatwieniu tej formalności policyjnej mogłem dopiero rozpocząć dalsze starania

o wyjazd, więc istotnie nie czułem się wesoło. Bowiem czekać — to największe przekleństwo dla człowieka, któremu się śpieszy. Ale powróciwszy do hotelu po kolacji u ambasadorowej, znalazłem wyjście z sytuacji.

Nazajutrz wymeldowałem się z hotelu. Portierowi oświadczyłem, że wyjeżdżam na kilka dni do Poznania i prosiłem, aby zatrzymał wszelką korespondencję dla mnie, jaka przyjdzie na moje nazwisko, gdyż po powrocie do Berlina znów zatrzymam się w tym hotelu. Wieczorem poszedłem do kina, a o wpół do pierwszej w nocy wsiadłem do pociągu i pojechałem — do Wiednia. Zamiast nudzić się w Berlinie, postanowiłem czynić to samo w Wiedniu, gdzie poza tym nie będzie mnie prześladowała zmora jakiejś nocnej wizyty policji, w związku z odpowiedzią z Poznania.

Zanim usnąłem w wygodnym wagonie pierwszej klasy, w którym na pasie skórzanym zwisającym spod okna zauważyłem polskie orzełki i litery P.K.P., myślałem o antypolskim filmie propagandowym „Heimkehr" — powrót do domu, na który poszedłem, namówiony przez konsula podczas obiadu u Kranzlera. Rzecz dzieje się przed wojną na Wołyniu, gdzie mieszkają prawie sami Niemcy. Władze polskie myślą tylko o prześladowaniu tych Niemców. W kinie w Łucku, podczas wyświetlania sceny z przemówieniem marszałka Śmigłego-Rydza, publiczność wstaje i śpiewa polski hymn narodowy. Siedzi tylko jeden, w mundurze kaprala polskiego i nie śpiewa. Zaczyna się awantura, i w rezultacie Niemiec (ten kapral był Niemcem) zostaje zabity. Na tle marsza żałobnego Chopina widać trumnę, wiezioną polną drogą, na cmentarz. (Niemki, które siedziały w kinie obok mnie, przykładały chustki do oczu, niektóre głośno chlipały. Takie straszne było to niemieckie cierpienie. . . .) Potem było jakieś więzienie, była jakaś zbiorowa egzekucja Niemców, którzy jednak cudem zostali uratowani, bo właśnie wybuchła wojna i samoloty Luftwaffe wylądowały przed więzieniem. . . . Radość tłumów niemieckich, wiwaty na cześć Hitlera, jego portrety wystawione wszędzie na drogach, „niemiecki" Wołyń „powraca" do Vaterlandu. . . . Jest nawet scena z polskim burmistrzem miasta Łucka, który wypędza ze swego gabinetu jakiegoś Niemca, grzmiąc po polsku: „Tylko bez żandych akcentów antypaństwowych!" Po głosie nietrudno poznać starego polskiego aktora, Bogusława Samborskiego. . . . Właściwie w tym całym filmie tylko to jedno, to ostatnie, jest naprawdę przykre i smutne. Polak, oglądający film, wstydzi się za tego jednego aktora. Poza tym propaganda jest tak licha, tak tandetna, że chyba reżyser liczył na wrażenie wśród takich widzów jak owe kobiety, które popłakiwały siedząc obok mnie. Wszystkie sceny są sztuczne i naciągane. Wszystko jest kłamstwem. Urzędnik Ligi Narodów zapytany kiedyś jak żyje mniejszość niemiecka w Polsce, odpowiedział: „Niemcom

w Polsce lepiej się powodzi niż w Niemczech.“ I to jest prawda. Polacy nie znęcali się nigdy nad Niemcami. Polacy wogóle nie znęcali się nad żadną mniejszością. Przedstawianie Polaków jako brutali, barbarzyńców, potworów, ma chyba ten sam cel, co udowadnianie przedstawicielom zagranicznym w Berlinie, że Polacy mordują obecnie niewinnych Niemców, a Niemcy zbierają tylko dowody brutalności polskiej i właśnie służą tymi informacjami, nawet fotografiami. . . .

Ale w filmie „Heimkehr“ nawet ta fantazja nie bardzo dopisała niemieckim reżyserom. Nie rozumiem tylko, dlaczego pan Navarro da Correta tak bardzo zachęcał mnie do pójścia na ten film. Czyżby wierzył w te kłamstwa filmowe, tak jak uwierzył w „zbrodnie“ Polaków, o których informują niemieccy urzędnicy ministerstwa spraw zagranicznych? . . .

Wiedeń! O wpół do dziesiątej rano szedłem wąską, starą uliczką, pnącą się pod górę, w kierunku centrum miasta. Pierwszy człowiek, z którym rozmawiałem, był . . . bardzo dziwny. U sprzedawcy gazet, widokówek i papeterii, właśnie na tej wąskiej uliczce w pobliżu dworca, zauważyłem ładnie grawerowane flagi różnych państw, a między innymi i „mojej“ republiki. Sprzedawca, starzec conajmniej osiemdziesięcioletni, rozłożył przede mną całą kolekcję flag różnych rozmiarów. Nagle dostrzegłem flagę polską.

— Te znaczki też wolno sprzedawać? — zapytałem.

— A dlaczego nie? Wszystko wolno. Pan może mówi po polsku?

— Trochę mówię — powiedziałem.

Staruszek uśmiechnął się i powiedział najczystszą polszczyzną:

— A ja mówię dobrze po polsku. Ja trzydzieści lat pracowałem na kolei w Krakowie. . . .

— To pan pewnie dobrze zna Polaków? — zapytałem już po polsku.

— Tak, znam dobrze i bardzo lubię Polaków. Oni przechodzą teraz wielkie nieszczęścia, ale to minie. Ten znaczek — wskazał na flagę polską — będzie jeszcze ważny i szanowany.

— Ja też tak myślę. . . .

— Czy pan nie jest Polakiem? — zapytał zaintrygowany.

— Nie, ja jestem obywatelem Republiki Lądu Wielkiej Nadziei, ale długi czas mieszkałem w Polsce.

— Bo pan mówi ładnie po polsku. Ja bardzo lubię język polski. . . .

— Ja też lubię. . . .

— Ja właściwie jestem więcej Polakiem niż Austriakiem — zwierzał się sprzadawca. — Miałem żonę Polkę, moi synowie ukończyli uniwersytet we Lwowie, mój ojciec pochodził z Bochni.

— To pan przecież jest Polakiem!

— Tylko matkę miałem Austriaczkę.

— Można wiedzieć jak pan się nazywa?

— Antoni Remiszewski! I piszę się przez *sz* i *i* na końcu. . . .

Jestem pewien, że gdy spotkam gdzie pana Antoniego Remiszewskiego po wojnie, wszystko jedno: w Wiedniu, czy w Krakowie, zobaczę w klapie jego marynarki miniaturowy znaczek, który „będzie jeszcze ważny i szanowany".

W stolicy dawnej Austrii byłem tydzień. Muszę stwierdzić, że jeszcze dziś jest to miasto, w którym nie można się nudzić. Ludzie są zupełnie inni, niż w Berlinie; atmosfera ulicy, kawiarni czy winiarni także różni się od atmosfery berlińskiej. Ale niesposób nie zauważyć, że jednak w dzisiejszym Wiedniu nie bardzo można poznań Wiedeń stary — i to nietylko ten z epoki Franciszka Józefa, ale i Dolfussa — Schuschnigga. Wiedeń przedwojenny należał do tych nielicznych miast na świecie, o których ludzie marzyli, w których szaleli i za którymi tęsknili. Wiedeń przedwojenny był miastem, w którym — zdawało się — dzień był piękniejszy niż gdzieindziej, bo słońce inaczej świeciło, i noc była piękniejsza, bo blask księżyca był tam inny niż gdziekolwiek.

Dziś, przyjeżdżając do Wiednia, człowiek mimowoli zastanawia się, czy aby wysiadł na właściwej stacji. . . . Wiedeń dzisiejszy nic już bowiem nie ma w sobie z tego uroku, który olśniewał każdego, kto tu niegdyś przyjeżdżał. Odnosi się wrażenie, że słońce, w którym błyszczał dawny Wiedeń, nie rzuca już na to miasto ani jednego promienia. Wiedeń dzisiejszy jest smutnym miastem a Wiedeńczycy zachowali zaledwie nikłe ślady swojej dawnej pogody ducha. Ale mimo to, jest zupełnie inny niż Berlin. Wiedeń jest wprawdzie daleko od frontów wojennych, ale wojna wycisnęła na nim piętno napewno nie mniejsze, niż na Berlinie. Ograniczenia we wszystkich dziedzinach życia nie pozwalają przybyszowi zapomnieć ani na chwilę, że jest wojna.

Chcesz taksówkę sprzed dworca? — Szofer wskazuje tramwaj i informuje: Wojna, taksówki są tylko dla rannych i chorych. . . . Chcesz kupić papierosów albo gazetę? — Wojna, odpowiada sprzedawca, bardzo mi przykro, ale kontyngenty są minimalne. . . . Chcesz kupić jakiś drobiazg, którego wzór leży na artystycznej wystawie wielkiego magazynu na Körtner-Strasse? — Subiekt rozkłada ręce: — Wojna, bardzo mi przykro, ale mamy tylko tyle co na wystawie, może pan spróbuje za dwa-trzy miesiące. . . . W wielkich lokalach wiedeńskich rozwieszone są na ścianach znaki V i slogany: „Deutschland siegt an allen Fronten!", które zdają się usprawiedliwiać pustą niemal kartę ménu i, bardzo często, pustą salę, w której kelnerzy ziewają po kątach.

Ograniczenia żywnościowe są takie same, jak we wszystkich innych miastach niemieckich. Bez kartek można zjeść tylko „Eintopfgericht". Wielkie składy towarowe świecą pustkami. Jednakowo trudno jest kupić pastę do zębów, jak naprzykład sznurowadła. W żadnym lokalu nie można dostać — za żadne pieniądze — ani sznycla wiedeńskiego, ani śniadania „po wiedeńsku". Nocne lokale i winiarnie są wprawdzie przepełnione ludźmi, ale konsumcja ogranicza się do kufla piwa wojennego za kilkanaście fenigów.

Wojna wpłynęła na Wiedeń przygnębiająco. Zastój w handlu i przemyśle niewojennym, niemal zupełne zniknięcie młodzieży męskiej, powołanej do wojska, wielu ludzi w żałobie, opustoszałe sklepy — tak mniejsze jak i wielkie — należące niegdyś do Żydów — to wszystko zaznacza się bardzo wyraźnie w ogólnym obrazie zewnętrznego życia Wiednia. Tego obrazu nie rozjaśnia nawet Prater, słynne wesołe miasteczko wiedeńskie, który w części tylko czynny, bawi niewybredną publiczność. Okres świetności Wiednia zamknał się z chwilą, gdy przestała istnieć niepodległa Austria. Dziś Wiedeń jest smutnym miastem smutnych ludzi.

Ale jest także miastem ludzi, łudzących się nadzieją, że światło wolności, które nastąpi w Europie po dzisiejszej nocy, rozjaśni również Wiedeń. Któregoś dnia, gdy wyszedłszy o północy z winiarni, szedłem do swego hotelu, zaczepił mnie jakiś podchmielony człowiek. Widocznie nie miał ochoty iść do domu, bo pytał czy nie wiem, która winiarnia w pobliżu jest jeszcze otwarta.

— Niestety nie znam miasta; nie mogę panu powiedzieć.

— A pan skąd tu przyjechał?

— Z Warszawy. . . .

— Z Warszawy! — powtórzył głośno i wyciągnął do mnie rękę. — Śliczne miasto! Czy Łazienki ocalały w czasie bombardowania? . . .

— Owszem, ocalały. Pan zna Warszawę?

— Tak, byłem w Warszawie w roku 1937. Jestem malarzem. Malowałem tam dużo. Ale co pan robi w Wiedniu?

— Tak sobie przyjechałem, żeby zobaczyć Wiedeń.

Wiedeńczyk wziął mnie wtedy pod rękę i mówił przyciszonym głosem:

— To już nie jest Wiedeń. . . . Pan się źle wybrał. . . . To tylko wspomnienie Wiednia. . . .

I, następnie, jak człowiekowi, któremu można zaufać, mówił o zmianach, jakie nastąpiły w Wiedniu od czasu Anschlussu.

— Ale my, Austriacy, nie wierzymy, żeśmy stracili już na zawsze niepodległość — mówił. — Będziemy o nią jeszcze walczyli. Będą niepodległe: Francja, Polska, i my też się odrodzimy. Austria też będzie państwem niepodległym.

Żegnając się, ścisnął mi mocno dłoń, obiema rękami, mówiąc:

— Chciałbym spotkać pana w Wiedniu za dwa lata. . . .

Ale takich ludzi w Wiedniu jest mało. W rozmowach z ludźmi przypadkowo poznanymi, daje się zauważyć rezygnacja lub aprobata dla obecnego stanu rzeczy. Pewna młoda niewiasta, żona oficera wysłanego na front wschodni, którą poznałem zwiedzając zamek w Schönbrunnie, mówiła z najwyższą pogardą o wszystkim co było przed Anschlussem.

— Hitler — mówiła — dał pracę wszystkim, którzy jej przedtem nie mogli znaleźć, ukrócił swawolę kapitalistów, wydziedziczył Żydów, a po wojnie da nam wszystkim warunki szczęśliwego życia. . . .

— A pani pracowała przed Anschlussem? — zapytałem.

— Właśnie, że nie! Ale zaraz po tem, dostałem pracę i teraz pracuję w sklepie, zatrudniającym siedem osób, podczas gdy za Dolfussa i Schuschnigga ten sam sklep zatrudniał tylko cztery osoby.

Ta niewiasta, jak wielu ludzi w Wiedniu, miała wpiętą w płaszcz broszkę z głową Hitlera i używała pozdrowienia: Heil Hitler!

To „Haitla" rozbrzmiewa zresztą w Wiedniu wszędzie — i w lokalach, i na ulicach. Nie tylko umundurowani partyjnicy, ale ludzie cywilni, stare babule, pucybuty wyciągają ręce do góry i skrzeczą: — Haitla! Ubóstwianie Hitlera przez Wiedeń wydaje się dziwne człowiekowi, przyjeżdżającemu tu z Berlina, gdzie na cywila, podrzucającego rączkę do góry i wymawiającego sakramentalne pozdrowienie: „Haitla", inni patrzą pobłażliwie, poznając w nim przybysza z prowincji. . . . „Heilhitlerowiczów" daleko więcej niż w Berlinie jest nawet w Warszawie, w Katowicach, gdzie każdy Niemiec uznaje tylko ten sposób pozdrowienia.

Rozmawiając z Wiedeńczykami o Polsce, można się przekonać, jak ogromną siłę stanowi propaganda niemiecka. Niemal każdy zagadnięty przeze mnie o sprawy polskie, powtarzał to, co po raz pierwszy usłyszałem z ust mego konsula: że Polacy są bandytami, barbarzyńcami, że mordują niemieckie kobiety, dzieci, że już przed wojną Niemcy w Polsce przeżywali gehennę. . . . Ta propaganda idzie równocześnie dwoma torami. Bo, niezależnie od przedstawiania Polaków jako zwyrodnialców, leniwców i nędzarzy, laboratoria Goebbelsa wypracowały jeszcze tysiące cudownych opowieści o pionierskiej pracy Niemców na terenach dawnej Polski. Każdy Wiedeńczyk może godzinami opowiadać o tym, jak Niemcy organizują gospodarstwa rolne, jak budują szosy i koleje, jak zakładają szkoły dla Polaków-analfabetów, jak uczą rzemiosł, jak propagują używanie cukru i soli — słowem, jak robią to wszystko, czego w Polsce nigdy przed tym nie było i czego Polacy zupełnie nie znali. Dodatki filmowe pełne są

obrazów z tej „misyjnej“ służby Niemców w Polsce, a za 20 fenigów można nawet kupić dużą książkę, z której wynika niezbicie, że dziki, nieznany kraj, Polska, jest wspaniale kolonizowany przez niemieckich pionierów. . . .

Gdy natomiast próbowałem demaskować te kłamstwa i wspominałem o zbrodniach niemieckich, o Oświęcimiu, Palmirach, Majdanku, usłyszałem nieomal w każdym wypadku:

— To są najhaniebniejsze łgarstwa wrogiej propagandy. . . .

Gdy powróciłem do Berlina, pismo z odpowiedzią z Poznania leżało już w prezydium policji. Poprosiłem jednak konsula, aby zapytał telefonicznie jak wygląda sprawa mego zameldowania w Berlinie. Byłem bowiem przygotowany na wielki kłopot.

— Bardzo dobrze! — odpowiedział konsul, odkładając słuchawkę, — niech pan jedzie na Burgstrasse. Jeszcze dziś otrzyma pan dowód zameldowania! . . .

Byłem zdziwiony i równocześnie rozpromieniony, gdy stary sierżant policji powiedział, trzymając w ręce papierek, nadeszły z Poznania:

— Przyszła właśnie odpowiedź z Poznania. . . . Zastrzeżeń nie ma żadnych. . . . Zaraz otrzyma pan prawo stałego pobytu w Berlinie. . . . I położył na stole arkusz papieru, na którym widziałem wyraźny nadruk. „Anmeldung bei der polizeilichen Meldebehörde, Berlin.“

Czekałem cierpliwie kilkanaście minut, zanim staruszek wypełnił formularz meldunkowy. Ta kancelaria wydała mi się teraz całkiem wesoła i przyjemna. Nawet jegomość z kosmykiem włosów osuniętym na czoło i czarnym kwadracikiem pod nosem, patronujący tu z poza oszklonych ramek, wyglądał raczej wesoło niż ponuro. Próbowałem zdaleka odcyfrować treść pisma z Poznania, ale peszył mnie czerwony napis na ścianie: „Baczność! Szpieg wszystko podpatruje i podsłuchuje!“ Domyślałem się więc tylko co tam mogło być: „Obywatel Republiki Lądu Wielkiej Nadziei Švatopelko Venceslao Molenda, nie jest zarejestrowany w kartotece przestępców politycznych i Gestapo w Poznaniu nie ma w stosunku do niego żadnych zastrzeżeń.“ . . . Tylko taka mogła być odpowiedź, a przynajmniej taki jej sens. I w tym wypadku wszystko się zgadza! Bo istotnie, nie mieszkając w Poznaniu, nie mogłem być rejestrowany w tamtejszej Gestapo. A dla tumanów z Gestapo poznańskiej było rzeczą bezsporną, że mieszkałem w Poznaniu, skoro prezydium policji w Berlinie napisało urzędowo, że miejscem mego zamieszkania jest Poznań. . . . Tego nie trzeba już było sprawdzać. Wystarczyło tylko skontrolować czy nie mam swego „konta“ w kartotece. . . .

Siedemdziesięcioletni sierżant wręczył mi wypełniony i ostemplowany blankiet oraz paszport ze świeżutką pieczęcią meldun-

kową. I od tej pory zacząłem być stałym mieszkańcem miasta stołecznego Berlina. Wypełniłem odrazu odpowiedni formularz w sprawie zezwolenia na wyjazd zagranicę, dołączyłem trzy fotografie moje, żony — i poszedłem.

Teraz dopiero mogłem rozpocząć starania o wyjazd. Przede wszystkim jednak trzeba było sprowadzić do Berlina żonę z dzieckiem, gdyż, jak już wspominałem, pierwsza moja wizyta w domu ambasadora zadecydowała o naszym wspólnym wyjeździe. Była to sprawa skomplikowana, ale chcąc ją załatwić, nie zastanawiałem się nad komplikacjami. Do jednego z moich najbliższych przyjaciół w Warszawie wysłałem depeszę, prosząc go o natychmiastowe przysłanie kogoś do Berlina. Odpowiedź otrzymałem w kilka godzin: Jutro wieczorem wyjść na spotkanie pociągu, przychodzącego z Warszawy przez Poznań na dworzec Friedrichstrasse. . . .

Jeśli dobrze pamiętam, pisałem Ci kiedyś, że w grupie naszej pracuje Basia Jarnecka, owa zgrabna, szczupła blondyneczka, nie wymawiająca litery r. Gdy spacerowałem po peronie dworca berlińskiego nie przyszło mi do głowy, że w oknie wagonu zobaczę roześmianą twarz Basi Jarneckiej.

Wziąłem od niej walizeczkę.

— Ostrożnie! — ostrzegła mnie. — Tam jest dla ciebie prezent: Antek przysłał ci trochę ciastek od Gajewskiego. . . .

Baśka przyjechała za fałszywą przepustką. Wykonanie w swoim czasie przepustki dla mnie okazało się bardzo pożyteczne. Teraz nasi ludzie mogą jeździć do Berlina jak na Bielany. Prosiłem Basię o wyekspediowanie do Berlina mojej żony z dzieckiem. Trzeba było przede wszystkim pojechać do nich na wieś, zaopatrzyć je w jakieś solidne dokumenty tymczasowe, w przepustkę graniczną. Trzeba też było wyposażyć żonę w świadectwo ślubu z obywatelem Lądu Wielkiej Nadziei na nazwisko Molenda, a córkę w metrykę urodzenia również na to samo nazwisko; te dokumenty musiały bowiem być złożone w konsulacie. I trzeba było to zrobić bardzo szybko i bardzo dyskretnie. Baśka miała wielką ochotę posiedzieć kilka dni w Berlinie, ale już następnego wieczora wracała do Warszawy. Baśka jest bardzo odważna. Przez długi czas „urzędowała“ jako stenografka przy odbiorze audycyj radiowych, po tym podejmowała się różnych trudnych zadań. Wszystko ją interesowało i pasjonowało. Nigdy nie bała się niczego. To też i przejazd za fałszywymi dokumentami z Warszawy do Berlina i z Berlina do Warszawy traktowała jako rzecz normalną, choć wiedziała co ją czeka w wypadku wsypy. Żegnając ją w Berlinie, zapytałem:

— Powiedz Basiu, czy naprawdę nie boisz się?

— Naprawdę! No cóż — odpowiedziała, — nic nie mogą mi zrobić. Najwyżej zastrzelą. . . .

Tak, najwyżej zastrzelą. To jest to, co Niemcy mogą zrobić *najwyżej*. Tego nie boi się nietylko Baśka. To już nie jest takie straszne.

W kilka dni później znów stałem na tym peronie. Tą samą drogą, przez te same niebezpieczeństwa, przyjechała żona z Kubusiem.

— Nie wiele brakowało a nie przyjechałybyśmy — powiedziała. — W Koluszkach przeprowadzali dokładną rewizję. . . .

Były powody do obaw. Żona posiadała nie tylko fałszywą przepustkę graniczną i fałszywe dokumenty osobiste polsko-niemieckie; wiozła również metryki i zaświadczenia na nazwisko Molenda, potrzebne do wystawienia paszportu Łądu Wielkiej Nadziei.

Wreszcie cała rodzina Molendów złożyła wizytę w konsulacie.

Atmosfera tego urzędu w czasie wystawiania żonie paszportu, była bardzo wesoła.

Niestety, przyjemna atmosfera panowała *tylko* w konsulacie. Pierwsze dni naszego wspólnego pobytu w Berlinie i moich usilnych starań o otrzymanie od władz niemieckich zezwolenia na opuszczenie Rzeszy, otworzyły mi oczy na kolosalne trudności, jakie trzeba jeszcze pokonać by doprowadzić do skutku wyjazd z Niemiec. Do prezydium policji złożyłem odpowiednie podanie. Ale gdy po kilku dniach pan Navarro da Correta udał się w tej sprawie z interwencją do prezydenta policji, usłyszał odpowiedź, która nie była dla mnie przyjemna:

— To potrwa trzy do czterech miesięcy. . . .

— Niech pan pójdzie do ambasadora — powiedział mi konsul. — On może coś wskórać przez ministerstwo spraw zagranicznych.

Znów upłynęło kilka dni i znów przyszło rozczarowanie.

Ambasadorowi powiedziano, że ta sprawa nie może być narazie rozpatrywana.

Ale gdybyż na tym kończyły się kłopoty!

Pewnego dnia dostałem z Warszawy depeszę, pisaną łatwym szyfrem: „Chory ma wysoką gorączkę, może być nieszczęście". To Gestapo warszawska szalała w poszukiwaniu mnie na moje obecne nazwisko. Później dowiedziałem się nawet, że właścicielkę mieszkania, od której odnajmowałem pokój, trzymano kilkanaście dni w więzieniu śledczym. Ta depesza była dla mnie ostrzeżeniem. Przyjaciele moi obawiali się, że Niemcy mogą zawiadomić o mojej sprawie centralę Gestapo w Berlinie. Dla mnie było sprawą jasną, że gdyby to nastąpiło, los nasz byłby przesądzony.

Zdecydowałem się więc na jeszcze jeden ryzykowny krok. Wyekspediowałem żonę z dzieckiem spowrotem do Polski, zatrzymując oczywiście u siebie świeżo wystawiony paszport żony i inne ej dowody „cudzoziemskie". To było jedyne rozsądne rozwią-

zanie sprawy. Wyrachowanie moje w tej decyzji było proste: jeżeli nie będzie już żadnych komplikacyj i wreszcie Berlin da zezwolenie na wyjazd, wówczas jeszcze raz ściągnę żonę z Polski. Jeżeli natomiast władze berlińskie kategorycznie odmówią, albo jeżeli policja zacznie mnie tu szukać — wówczas będę uciekał, wszystko jedno dokąd, byle tylko nie wpaść w ręce niemieckie. Wyjazd żony był konieczny. Nieszczęście mogło spaść lada chwila. Musiałem wybrać między dwoma niebezpieczeństwami: nakrycie w czasie podróży do Polski i nakrycie w Berlinie. Wybrałem to pierwsze.

I znowu zostałem w Berlinie sam. Dni wlokły się przeraźliwie wolno. Do prezydium policji ani do ministerstwa spraw zagranicznych nie było już poco chodzić: w jednym miejscu mówili, żeby przyjść za kilka miesięcy, w drugim — że jak sprawa będzie aktualna, zawiadomią o tym listem. . . .

Zacząłem się piekielnie nudzić. Senora Rosa Dalisca znalazła znakomite lekarstwo na nudy. Namówiła mnie, bym się uczył „ojczystego" języka. . . . I sama wynalazła mi nauczyciela! Uczę się więc, abym — gdy przyjadę do swojej „ojczyzny" — nie rozmawiał z rodakami na migi. Nauczycielem moim jest pan Richard Matysa, dawny lektor języka niemieckiego w Lizbonie i w Madrycie. Chodzi w mundurze Leutenanta Belagerungsartillerie z żelaznym krzyżem na piersi za waleczność na froncie sowieckim. W domu Leutenanta Matysy stoi na aparacie radiowym portrecik Führera, a w pokoju sypialnym wisi nad łóżkiem obraz Matki Boskiej, dziwnie mi znany, którego jednak przez długi czas nie mogłem sobie przypomnieć.

Na lekcje przychodzę o ósmej wieczór; wtedy w domu jesteśmy zawsze tylko we dwóch. Ale raz, gdy na godzinę dziewiątą miałem zaproszenie do ambasadorowej, a nie chciałem zrezygnować z lekcji, umówiłem się z moim nauczycielem na siódmą. Wtedy nie byliśmy sami. Żona Leutenanta układała do snu swego czteroletniego syna i rozmawiała z nami kilka minut. Od razu odkryłem w jej mowie, że nie była Berlinianką i że jej niemiecki nie jest wcale doskonały. Niebawem wszystko się wyjaśniło. Przez niedomknięte drzwi sypialni usłyszałem wyraźnie, po polsku:

— . . . Bądź błogosławiona między niewiastami . . . i bądź błogosławion owoc . . . żywota Twojego. . . .

Herr Leutenant Richard Matysa wstał i zamknął drzwi. Spojrzał na mnie podejrzliwie, trochę zawstydzony.

— Czy pan mówi także po polsku? — zapytałem.

Herr Leutenant uśmiechnął się. Nie miał już widocznie złudzeń, że dobrze słyszałem polski pacierz.

— Tak, mówię. . . .

Nie omieszkał też zaraz dodać, że pochodzą ze Śląska, że dziecko urodziło się w Opolu na Górnym Śląsku.

W tej chwili przypomniałem sobie skąd znam obraz wiszący w sypialni: to Matka Boska Piekarska z Piekar Śląskich; cudowny obraz, czczony od wieków przez Ślązaków; obraz, przed którym modlił się Jan Sobieski, jadąc ratować Wiedeń i przed którym Józef Piłsudski składał w roku 1922 hołd bohaterskiemu ludowi śląskiemu.

Od tej pory często rozmawialiśmy po polsku. A ile razy zobaczyłem chłopca, witałem go po polsku:

— Jak sie mosz Karlik, pieronie! . . .

Raz, gdy wychodziłem po skończonej lekcji, zawyły syreny alarmowe. Wróciłem więc i przesiedziałem nalot, gawędząc z panem Richardem Matysą.

— Jak Berlin reaguje na naloty Sprzymierzonych? — zapytałem.

— Pomału przyzwyczajamy się. . . .

— Czy nie uważa pan, że trudno będzie przyzwyczaić się do nalotów wielkich, powiedzmy takich, jakie przeżywa Hamburg?

— No tak, ale oni uwzięli się specjalnie na Hamburg. . . .

— Możliwe, że się uwzięli. Ale czy wyobraża pan sobie, co tutaj będzie się działo, jak Anglicy i Amerykanie zrealizują swoje fantastyczne plany produkcji bombowców? Przecież może dojść do takiej sytuacji, że Berlin może co dzień i co noc przeżywać gradobicie bombowe.

Mój nauczyciel powiedział „przyzwyczajamy się" — gdy zawyły syreny. Ale gdy zaczęła grzmieć artyleria przeciwlotnicza i jej nasilenie wzmagało się z każdą minutą, a od czasu do czasu zadrżała podłoga i zadźwięczały szyby, gdy wybuchła gdzieś w pobliżu bomba — z sypialni wyszła pani domu, ubrana w futro, ze śpiącym dzieckiem na ręku.

— Chodźmy do piwnicy — powiedziała. — Te naloty są okropne — dodała zaraz po polsku, patrząc na mnie. — Ale taki jak ten, to jest dopiero pierwszy od jesieni.

Dom zadrżał silnie, bomba musiała paść blisko.

— O Jezu! — wrzasnęła po polsku i wyleciała pierwsza na schody.

Herr Matysa zarzucił na ramiona płaszcz wojskowy, włożył czapkę, i schodząc do piwnicy prosił, abyśmy tam rozmawiali tylko po niemiecku i . . . nie o bombardowaniu.

Piwnica była już przepełniona ludźmi. Wszyscy zdradzali zdenerwowanie. Każdy silniejszy wybuch przyjmowany był głośnym westchnieniem albo jękiem. Leutenant Matysa miał białą, papierową twarz, taksamo jak większość ludzi w tej piwnicy, oświetlonej słabiutką żarówką. Jeden z obecnych, jakiś oficer SS, cmokał nieustannie swoją fajkę, która w ogóle się nie paliła.

Poza tym w piwnicy było piekielnie zimno; beczały dzieci. W półtorej godziny później znów odezwały się syreny. Wyszliśmy zmarznięci, wszyscy szczękali zębami. Nauczyciel zatrzymał mnie na herbacie.

— Tak, do tego nie przyzwyczaimy się chyba nigdy — powiedział.

— Szczególnie, że następne naloty mogą być wielokrotnie cięższe niż ten — dodałem. — Kto wie, może stokrotnie? I, kto wie, może będą się powtarzały dzień za dniem? . . .

— No, tego to już wolałbym nie doczekać.

— A ja myślę, że to jest nieuniknione. . . .

Gdy przez ciemne ulice Berlina wracałem do hotelu, po czarnym niebie ciągle jeszcze harcowały reflektory. Srebrne smugi światła krzyżowały się, gasły, to znów zapalały się, rzucając na ulice jasny blask, jak w noc księżycową. Berlińczycy oddychali z ulgą po nalocie, a ja zazdrościłem serdecznie lotnikom, którzy spełniwszy zadanie wracali do Anglii. Zazdrościłem im tego powrotu do Anglii po każdym nalocie na Berlin. . . .

Sprawa mego wyjazdu z Rzeszy staje się poprostu beznadziejna. W nastroju przygnębienia dni wloką się przeraźliwie wolno. Łażę bez celu po Berlinie. Poszedłem nawet kiedyś na Moabit, aby zbliska zobaczyć zewnętrzną stronę więzienia; ciągle jestem bowiem pod wrażeniem, że bramy tej instytucji otworzą się dla mnie lada dzień. . . .

Spacerując po mieście, widziałem raz, jak na miejsce, w którym bomby zburzyły szereg domów w dzielnicy Wilmersdorf, zajechały dwa samochody ciężarowe, pełne jeńców polskich, w mundurach, w polskich rogatywkach. Straszliwie wychudzeni, obdarci, wynędzniali. Niemiecki podoficer prowadził ich do pracy. . . .

Jakże to boli, jakże to zawstydza! Nie byli to jedyni Polacy, jakich widziałem w ciągu swego krótkiego pobytu w Niemczech. Bo już przed tym widziałem — i w Berlinie i w Wiedniu — brygady niewolników polskich, złożone z ludzi cywilnych, głównie z ofiar obław ulicznych w Warszawie i w innych miastach Polski. Wszyscy Polacy są ubrani w lekkie drelichy, przypominające strój więzienny, z dużą literą P na piersiach i na plecach. Ten strój jest jednakowy latem i zimą. W brygadach, przeznaczonych do najcięższych robót, znajdują się prawie wyłącznie inteligenci. Profesorowie uniwersytetów, księża, pisarze, młodzież. Od chwili porwania, ich rodziny nie wiedzą gdzie się znajdują, co się z nimi dzieje. I oni sami też nic nie wiedzą — oprócz tego, że są niewolnikami; i nic nie widzą — oprócz własnej tragedii i uzbrojonych żandarmów.

Innego rodzaju niewolników polskich spotkałem przypadkowo w jakiejś piwiarni berlińskiej. Usiedliśmy w kąciku z Leutenantem Matysą; był w cywilnym ubraniu, więc rozmawialśmy po polsku.

Podeszła do nas dziewczyna, osiemnaście-dwadzieścia lat, o dużych, niebieskich oczach, jasnych włosach i inteligentnej buzi. Kelnerka. Miała na sobie czarny fartuch. Zapytała po niemiecku czy życzymy sobie piwa.

— Pewnie nic innego nie dostaniemy — powiedziałem po polsku do Matysy.

— Dziewczyna otworzyła szeroko oczy, uśmiechnęła się i spojrzawszy uprzednio w stronę bufetu gdzie stał właściciel baru, zapytała szeptem, po polsku:

— Panowie jesteście Polakami?

Podchodziła szereg razy do naszego stolika, rzucając po kilka zdań. Żaliła się wobec ludzi obcych, ale bliższych niż inni, bo mówiących po polsku. Zabrali ją z domu, z Łodzi. Pociągiem bydlęcym, w okropnych warunkach, przewieziono ją do Niemiec, razem z setkami innych młodych kobiet. Miesiąc siedziała w obozie „rozdzielczym" pod Lipskiem. Transport podzielono na kilkanaście grup. Jej grupę przywieźli do Berlina. Przywieziono ją, razem z inną młodą Polką do tej knajpy. Pracuje bardzo ciężko. Dostaje markę i dwadzieścia fenigów tygodniowo. Właściciele baru są brutalni. Zmuszają do uległości wobec żołnierzy. Dwa razy w tygodniu trzeba się meldować na policji. . . .

— Co pani robiła przed wojną? — zapytałem.

— Studiowałam w Akademii Sztuk Pięknych.

Oczy Polki zabłyszczały łzami. Zaczęła coś mówić, przygryzła wargę, odeszła. Za chwilę znów wróciła.

W drugim końcu sali siedziało przy stoliku kilku żołnierzy w towarzystwie młodej dziewczyny w czarnym fartuchu. Studentka Akademii Sztuk Pięknych wskazała ją, mówiąc:

— My musimy przysiadać się do żołnierzy i pić razem z nimi. Tam właśnie siedzi moja przyjaciółka.

Patrzałem w piękne oczy dziewczyny i — nie mogłem nic powiedzieć, nawet dać wyraz memu współczuciu, nawet jednym ludzkim słowem pokrzepić ją. Biedne dziewczyny, biedne Polki!

Płacąc za piwo, zwinąłem banknot pięćdziesięciomarkowy i dyskretne wsunąłem „kelnerce" do ręki. Równie dyskretnie oddała mi ten banknot.

— Właściciele rewidują nas ciągle — tłumaczyła. — Nie możemy mieć nic więcej oprócz tego co nam płacą.

Nie mniej przykrego uczucia doznaje Polak w Berlinie, słysząc rozmawiających po polsku żołnierzy niemieckich.

Któregoś dnia, przed południem, piłem kawę w kawiarni, której jedynymi gośćmi byli trzej wojskowi, rozmawiający żywo po polsku. Podszedłem do nich. Dla palacza zapałki są starym i niezawodnym pretekstem do nawiązania rozmowy.

— Pan jest Polakiem?

— Nie, cudzoziemcem.

— A my jesteśmy z Polski.

Usiadłem przy ich stoliku. Zaczęliśmy rozmowę. Żołnierze niemieccy byli nietylko *z Polski*. Byli również Polakami. Dlaczego w wojsku? Zmobilizowano ich. Powiedziano, że są Niemcami, ponieważ urodzili się w Poznaniu.

— Ale dlaczego znaleźliście się panowie w Berlinie? — pytałem.

— Bo oni przysyłają Polaków najpierw na kursy do Niemiec.

— Chyba mają dość specjalistów wojskowych na miejscu, nawet w samym Poznaniu?

— Nie, nie o takie kursy chodzi — mówił jeden z trójki. — Nas przysłali tu na kurs języka niemieckiego. Uczymy się po niemiecku. Sześćdziesiąt chłopa polskiego w mundurach chodzi tu do Berlitza i ponieważ żaden nas nie umie po niemiecku ani be ani me, to nas uczą.

Istotnie, wszyscy mieli zeszyty i podręczniki Berlitza dla początkujących.

Wątpliwe, czy ci Polacy zapędzeni gwałtem do szeregów niemieckich, staną się Niemcami po ukończeniu kursu języka niemieckiego. I wątpliwe czy będą się bili za sprawę niemiecką. Raczej jest rzeczą pewną, że — nie. Są to tylko niewolnicy, na których siłą włożono mundury wrogiej armii. Nauczą się mówić po niemiecku, ale nie przestaną czuć i myśleć po polsku.

Jednak, mimo tej świadomości, spotkanie Polaków w mundurze niemieckim jest tak samo przykre, tak samo przygnębiające jak spotkanie jeńców czy niewolników z literą P, czy też jak spotkanie dziewczyny polskiej, którą wywieziono z domu rodzinnego i skazano na niewolniczą pracę w berlińskiej knajpie.

Życie w Berlinie jest beznadziejnie smutne i ponure. Czekać, czekać. Wszędzie można czekać. Ale w Berlinie — to jest straszne. Szczególnie dla mnie. Jestem w fatalnym nastroju. Zresztą tu nie można się weselić, nie można się bawić. Nie ma czym. Może tym jednym, że Niemcy drżą w obawie przed nalotami brytyjskimi.

Ale raz — chyba pierwszy raz w Niemczech — ubawiłem się serdecznie!

Któregoś dnia jadłem obiad u Kempinskiego, na Kurfürstendamm. Tłok był, jak zwykle w niedzielę. Przechodziłem przez różne sale w poszukiwaniu miejsca. Nagle od jednego stołu, przy którym siedziało około dziesięciu osób, zerwał się jakiś człowiek i zaproponował mi miejsce przy tym właśnie stole. Siedzieli tam sami Boliwijczycy, doskonale przecież znający znaczek Lądu Wielkiej Nadziei, który zwykle noszę. Jeden z obecnych dostatecznie już zawiany, zaczął przemawiać chwaląc wzniosłymi słowami Ląd Wielkiej Nadziei i jego naród. Wreszcie wstał i wzniosł kielich, pijąc za pomyślność mojej „ojczyzny"

i mojego prezydenta. Byłem wzruszony tym dowodem sympatii dla „mojego“ kraju i jako jedyny reprezentant Republiki Lądu Wielkiej Nadziei musiałem podziękować. Mówiłem więc o tradycyjnych więzach przyjaźni między naszymi narodami, o sympatii i o szczerej współpracy. Chciałem jeszcze powiedzieć, że granica istniejąca między naszymi republikami łączy je, nie zaś dzieli, ale niestety zapomniałem czy Boliwia ma wspólną granicę z „moją“ republiką.

Wśród takich drobnych wydarzeń upływał czas. Wreszcie pewnego dnia znów zainterpelowałem prezydenta policji na Burgstrasse.

— Musi pan się uzbroić w cierpliwość jeszcze conajmniej na sześć miesięcy, panie Molenda . . . — odpowiedział.

Nie, nie chciałem uzbrajać się w cierpliwość! Opuszczając gabinet prezydenta policji, powziąłem decyzję: przygotować plan przedostania się przez Alpy do Szwajcarii!

Przede wszystkim przekonałem mego konsula, że muszę mieć wizę szwajcarską. Hiszpania i Portugalia dały mi wizy tranzytowe w ciągu kilku dni, nie wątpiłem więc, że konsul będzie mógł załatwić również bez trudu wizę szwajcarską. Pewnego dnia zajechaliśmy razem pod Sweitz-Hause. Konsul generalny Szwajcarii zapewnił nas, że wizę otrzymam w ciągu dziesięciu dni. . . . Na wszelki wypadek wypełniłem formularze odrazu na dwa paszporty — dla siebie i dla żony. Wiem, że to trudne przedsięwzięcie, ale, ostatecznie, góry są od tego, żeby je przechodzić. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, następny mój list wyślę do Ciebie za kilkanaście dni — już ze Szwajcarii.

LIST DWUNASTY

Ucieczka na wolność

Londyn, w maju, 1942.

Mój drogi,

po Berlinie, Barcelonie, Lizbonie i Gibraltarze, następnym, już ostatnim etapem naszej drogi z Warszawy do Londynu, naszej ucieczki z niewoli, jest mały domek na przedmieściu stolicy brytyjskiej, opatrzony tablicą z napisem: „The Royal Patriotic School“. Jest to miejsce, w którym Anglicy przyjmują przybyszów z całego świata, coś w rodzaju kwarantanny, w której włóczędzy oczyszczają odzienie z kurzu różnych kontynentów, i równocześnie miejsce rekolekcyj, spowiedzi, gdzie nad zbadaniem duszy nieznanego człowieka pracują urzędnicy wywiadu.

Siedzę tu już kilka dni. Gdy skończę swoje zeznania, a

spodziewam się ich końca za kilka dni, zjawię się u Ciebie. Uprzedzam Cię o tem tym ostatnim listem, abyś nie zemdlał z wrażenia, gdy mnie zobaczysz. Zadzwonię do Twoich drzwi trzy razy — będziesz już wiedział, że to ja, po przyjeździe z Warszawy.

Dopiero tutaj, w tej „szkole patriotycznej" zaczynam sobie uświadamiać niezwykłość mojej eskapady. Dlatego nie dziwią mnie te setki arkuszy papieru, na których spisano już rozmowy ze mną, ani też nie mam pretensji do Anglików, że trzymają mnie tutaj tak długo.

— To jest fantazja pomnożona przez szaleństwo — powiedział mi spisujący moje zeznania kapitan brytyjski, który zresztą mówi świetnie po polsku z wyraźnym akcentem lwowskim. Kapitan pracuje „nade mną" bardzo ciężko. Nasze codzienne rozmowy kończymy nieraz po jedenastej przed północą. Do opowiadania mam dużo, naprawdę bardzo dużo.

W poprzednim liście pisałem Ci o swoich przygotowaniach wyrwania się z Berlina do Szwajcarii. Ale jak wiele innych planów, które upadały w trakcie realizacji, i tamten również — na szczęście zresztą — nie doszedł do skutku.

Pewnego dnia, wezwano mnie do ambasady.

— Zaczyna trochę świtać — powiedział ambasador na przywitanie. — Otrzymałem telegraficzne zawiadomienie z Lądu Wielkiej Nadziei, że w najbliższym czasie zostaniecie państwo wypuszczeni z Niemiec. . . .

— Ale czy Niemcy się zgodzą? — nie mogłem uwierzyć.

— Zdaje się, że już się zgodzili. W każdym razie, proszę natychmiast sprowadzić żonę z dzieckiem!

Słowa ambasadora oszołomiły mnie, dawno już bowiem straciłem nadzieję w skuteczność interwencji u władz niemieckich.

Razem z konsulem pojechaliśmy do prezydenta policji. Dygnitarz, który jeszcze niedawno radził mi uzbroić się w cierpliwość na pół roku, przyjął nas nad wyraz uprzejmie. Sam zabrał moje paszporty i wręczył je urzędnikowi, którego wezwał telefonicznie. Poczęstował nas cygarami i rozwodził się nad trudnościami przejazdu do Lizbony.

— Bilet kolejowy do granicy francusko-hiszpańskiej kupi pan w Berlinie. A dalej będzie pan musiał już jakoś sobie radzić.

— Oczywiście — odpowiedziałem uprzejmie. — Ale władze niemieckie pozwalają zabrać z sobą tylko dziesięć marek na osobę. Na przejazd przez Hiszpanię i Portugalię, szczególnie gdy się jedzie z małym dzieckiem, ta suma absolutnie nie wystarczy.

— Muszą panu pomóc po drodze pańskie władze konsularne.

— A czy nie udałoby się tak zrobić — zapytał konsul — żeby Devisenstelle pozwoliło wywieźć trochę więcej pieniędzy?

— O, to jest obecnie prawie niemożliwe! Najwygodniejsze byłoby takie rozwiązanie sprawy — dodał zaraz prezydent — żeby państwo dostali prawo przelotu z Berlina do Lizbony samolotem. Ale z komunikacji powietrznej wolno korzystać wyłącznie Reichsdeutschom. . . .

Urzędnik przyniósł paszporty. Wizy wyjazdowe były już gotowe. Prezydent policji, żegnając nas, życzył mi szczęśliwej podróży.

Teraz wszystkie wysiłki skierowałem przeciw następnej fortecy w Berlinie: Lufthansie. Ponieważ konsul nie miał zaufania do tego przedsięwzięcia, uważając je za skazane zgóry na niepowodzenie, zacząłem szturmować ambasadę. Z ambasady wyszło pismo do urzędu Ribbentropa, które sam zaniosłem i na które żądałem natychmiastowej odpowiedzi. W dwa dni później urzędnik ambasady oświadczył mi przez telefon:

— Dyrekcja Lufthansy otrzymała polecenie. . . . Proszę pojechać do biura na Wilhelmstrasse i opłacić miejsca. . . .

Droga rysowała się już prosto i łatwo. Do końca jednak wyskakiwały jakieś niespodziewane sprawy, które nie pozwoliły mi ani chwili poczuć się bezpiecznie i spokojnie. Na drugi dzień po opłaceniu podróży lotniczej, zatelegrafowałem do przyjaciół o wysłanie do Berlina żony. W godzinę później wysłałem drugą depeszę: wstrzymać wyjazd! W międzyczasie przeczytałem bowiem wiadomość, że w Poznaniu złapano na przejściu granicznym dwie Polki, które legitymowały się fałszywą przepustką graniczną; trybunał specjalny skazał je na śmierć; wyrok wykonano. Nie mogłem w takich warunkach ryzykować przemycania żony i dziecka za fałszywą przepustką. I jakże szczęśliwie, że tego nie zrobiłem, nawet gdyby przejście żony odbyło się bez kłopotu!

Pewnego dnia otrzymałem w hotelu dwa pisemne wezwania do głównej kwatery Gestapo w Berlinie — jedno dla mnie, drugie dla żony. Nie wiedziałem o co chodzi, poczułem się dość niewyraźnie. Ale konsul gorąco nawawiał, żebym poszedł zaraz. Wymusiłem więc tylko na nim, żeby dowiedział się uprzednio o co chodzi. Chodziło o zwykły wywiad, jaki tajna policja niemiecka przeprowadza z każdym, wyjeżdżającym zagranicę. Poszedłem. Wielki, ponury dom na Albertstrasse. Badano mnie wiele godzin. Wszystko ich interesowało: co robiłem od urodzenia aż do ostatnich godzin. Od początku do końca kłamałem, kłamałem, tylko kłamałem. W mówieniu kłamstw, dotyczących mojej osoby doszedłem już do tak wielkiej wprawy, że żaden z tych dwu urzędników Gestapo rozmawiających ze mną nie miał wątpliwości, że mówię najuczciwszą prawdę. Podawałem najbardziej fantastyczne rzeczy o mojej rodzinie, mieszkającej obecnie na Lądzie Wielkiej Nadziei — wszystko notowali, z adresami, ze szczegółami. . . .

Kilka razy przysyłali wezwania do żony. Ciągle odpowiadałem, że wyjechała na krótko z Berlina, że lada dzień wróci. (Żona moja była bowiem również zameldowana jako stała mieszkanka Berlina.) Obawiałem się jednak jak ognia jej zeznań w Gestapo: wiedziałem, że nie będzie umiała wybrnąć z tych niezliczonych pytań, na które trzeba odpowiadać tylko kłamstwami. Że wystarczy jedno jej nieopatrzne powiedzenie, a cały ten misternie budowany bajeczny okręt, którym mamy wypłynąć na wody wolnego świata, rozleci się. Więc umyślnie przetrzymywałem żonę w Polsce do ostatniej chwili.

Późnym wieczorem, na kilka godzin przed startem samolotu pasażerskiego z dworca lotniczego Tempelhof, na peron Friedrichstrasse Bahnhof wjechał kurier z Warszawy, w którym była moja żona z Kubusiem. Po raz drugi w Berlinie! Tym razem granicę między Gubernatorstwem Gen. i Rzeszą przejechały łatwo, choć również za fałszywą przepustką. Strażnik graniczny, rewidujący bagaże, pytał pasażerów co mają w walizkach. Żona, przygotowana na rewizję, musiała mówić prawdę. A więc:

— Mam kilka kilogramów kiełbasy, pół szynki, trzy kilogramy masła. . . .

Pasażerowie parsknęli śmiechem, a najgłośniej śmiał się strażnik, Ślązak mówiący po polsku.

— Dobry ma pani humor jak na wojenne czasy! — powiedział.

I nawet nie fatygował się, żeby sprawdzić zawartość walizki. Uważał, że usłyszał świetny dowcip — i poszedł dalej. Tymczasem żona rzeczywiście wiozła to co mówiła, przygotowana na głodowanie w Berlinie! Nie spodziewała się bowiem, że tak szybko mamy opuścić Rzeszę.

Wreszcie nastąpiła chwila od tak dawna oczekiwana: wcześnie rano pakujemy nasze manatki. Do drzwi naszego pokoju hotelowego ktoś zapukał. Był to konsul.

— Odwiozę państwa na miejsce. . . .

W chwilę po tym pędziliśmy przez zaspane jeszcze, mroczne ulice Berlina na Wilhelmstrasse, gdzie przed biurem Lufthansy oczekiwał nas autobus, którym z kolei pojechaliśmy na lotnisko.

Pan Navarro da Correta ucałował serdecznie Kubusia i dał jej paczkę słodyczy na drogę. Ściskając mi rękę, powiedział:

— Do zobaczenia na Lądzie Wielkiej Nadziei. Niech pan tylko nie zboczy z drogi. . . .

I uśmiechnął się dziwnym uśmiechem, patrząc mi podejrzliwie w oczy.

— Nie zboczę! — przyrzekłem. — I dziękuję panu bardzo za wszystkie uprzejmości. . . . Mil gracias! Tantas gracias! Hasta la vista!

— Hasta la vista! — odpowiedział konsul.

Lekcje u Leutenanta Matysy przydały się przynajmniej dla pożegnania konsula w „ojczystym“ języku.

Leutenant Matysa! Dziwny człowiek. Widziałem się z nim w przeddzień wyjazdu. Wieczorem, spacerując po zaciemnionej Unter den Linden, mówił ze mną zupełnie inaczej niż dotychczas. Mówił o Polsce, o Śląsku, o Ślązakach. Przypomniał pacierz swego dziecka i nagle szeptem, głosem człowieka skruszonego, powiedział:

— Wiem co pan o mnie myśli. Ale skoro już się więcej nie zobaczymy, chcę panu powiedzieć, że w moich żyłach płynie krew polska. . . .

Lotnisko pokryte było gęstą mgłą. Z okien poczekalni nie było widać budynków. Nie było też widać samolotów. Odlot miał nastąpić o wpół do ósmej; mieliśmy już półtorej godziny opóźnienia. Kubuś zmarzł, więc tupał głośno buciorami i namawiał nas, żebyśmy pojechali tramwajem. Wreszcie mgła zaczęła rzednąć. Niebawem wchodziliśmy po schodkach do gondoli samolotu. Zawarczały silniki. Rozparliśmy się w wygodnych fotelach. Jeszcze minuta — i patrzyliśmy na Berlin z wysoka. Wszystko zostawało za nami i pod nami.

Kubuś jest dzieckiem epoki lotniczej. Gdy już płynęliśmy po chmurach zapytał:

— Czy my będziemy teraz rzucać bombki? . . .

Trasa prowadziła przez Stuttgart, Lion, Marsylię, Barcelonę i Madryt. We wszystkich tych miastach były postoje — najdłuższy, bo kilkanaście godzin, w Barcelonie. Najwspanialszym odcinkiem naszej drogi z Berlina do Lizbony był niewątpliwie przelot nad Pirenejami.

Tego samego dnia, wieczorem, po kolacji, wyruszyłem na wędrówkę po ulicach, uliczkach i tawernach rzęsiście oświetlonej Barcelony. Po raz pierwszy od tak dawna zobaczyłem miasto z zapalonymi latarniami ulicznymi, z neonami, miasto pełne winogron, bananów, pomarańcz, miasto, w którym nie ma Niemców! W jakimś cichym zaułku wstąpiłem do lokalu, gdzie rozbrzmiewała muzyka. Przy stołach, na których stały dzbany z winem, siedzieli rozbawieni Hiszpanie. Jedni śpiewali, inni rozmawiali, inni śmieli się głośno.

Gdy o północy wracałem do hotelu, przypomniał mi się jeden lokal, w którym byłem niedawno, daleko od Barcelony. Lokal w Warszawie, na ulicy Wspólnej. Tam też schodziło się dużo ludzi. Czasem przy fortepianie stawał znakomity śpiewak i śpiewał piosenki. Różne piosenki, przeważnie sentymentalne. Jedna z nich zaczynała się od słów:

„Znam uliczkę w Barcelonie. . . .“

Ale z tej tawerny barcelońskiej każdy wraca bezpiecznie do swego domu. A z tamtego lokalu, warszawskiego, nie zawsze

wszyscy wracają do swych domów. Pewnego wieczora, gdy tam byłem, weszło nagle czterech Niemców — w hełmach bojowych i z bagnetami na karabinach. Cały lokal zaległa cisza. Tym wyraźniej słychać było głosy Niemców, legitymujących poszczególnych gości. Kilka osób zabrali wtedy z sobą. Po tem pianista znów usiadł do fortepianu — i w lokalu spowrotem podniósł się gwar. Takie jest normalne życie lokali warszawskich.

Stolica Katalonii nie wylizała się jeszcze z ran ostatniej wojny bratobójczej. Pełno śladów bomb i pocisków artyleryjskich. Na peryferiach miasta, gdzie katalońscy robotnicy bronili się najzacieklej, dużo zburzonych domów. Na nie jeden z nich spadła bomba niemiecka. Tutaj lotnicy niemieccy „zaprawiali się" do burzenia Warszawy.

Barcelona leży daleko od frontów wojennych, ale — jak cała Hiszpania — żyje pod znakiem wojny i może dotkliwiej niż kraje wojujące znosi skutki wojny. Chleba nie ma nawet w wytwornej restauracji hotelu „Ritz". Na ulicach tłumy żebrzących dzieci. W gazetach pełno wiadomości o „błękitnej dywizji" wysłanej na front wschodni. . . .

Na drugi dzień o dziesiątej rano samolot wystartował z lotniska w Barcelonie.

Lecieliśmy teraz niezbyt wysoko, nad ugorami Hiszpanii. Kraj wygląda pustynnie, bazludnie, bardzo smutnie. Ziemia przepalona żarem południowego słońca, leży odłogiem.

W Madrycie czekaliśmy dwie godziny. Ale lotnisko jest tak daleko od miasta, że trzeba było zrezygnować z obejrzenia stolicy Hiszpanii. W poczekalni lotniska madryckiego wiszą portery generała Franco, Mussoliniego i Hitlera, w oknach są wystawione małe chorągiewki ze swastyką.

Gdy maszyna nasza zrywała się do lotu, żegnały nas wyciągnięte prawice Hiszpanów. Prawdopodobnie tak nakazują regulaminy. W trzy godziny później lądowaliśmy w Lizbonie, dokąd nie sięga już nawet niemiecki sposób pozdrawiania się.

Lotnisko w Lizbonie to centrum komunikacji lotniczej różnych krajów, wojujących i neutralnych. Nasz samolot, opatrzony wielkimi swastykami, stanął w odległości kilku metrów od samolotu brytyjskiego. Do biur lotniczych poszczególnych linii wchodzi się ze wspólnego korytarza; „trafiki" agnielskie i niemieckie mieszczą się obok siebie.

Lizbona! Świat, jak z bajki. Przez pierwsze dni czułem się tak dobrze, tak wspaniale, że aż było mi źle. Wciąż wydawało mi się, że śnię, że to wszystko nieprawda. Przed moimi oknami kołysała się wysoka, rozłożysta palma; wspaniała Avenida da Liberdade oświetlona była tysiącem lamp i kolorowych neonów;

na stole stała patera, pełna pomarańcz, ananasów, winogron, bananów, daktyli. Lecz ilekroć kto zapukał ostrzej do drzwi, zawsze drgałem nerwowo. To przyzwyczajenie, które nie prędko przejdzie.

Lizbona jest jednym z licznych w świecie skupisk Polaków. Już po kilku dniach wiedziano tu o moim przyjeździe. Nie dlatego, żebym był znany, żeby moje nazwisko cokolwiek mówiło, lecz dlatego poprostu, że przyjechał Polak z kraju. Zorganizowano cykl odczytów, które wygłaszałem wieczorami w świetlicy polskiej, mieszczącej się w suterenie wielkiego domu na ulicy Rodrigues Sampaio. Na odczyty te Polacy zjeżdżali nawet z prowincji. Łaknęli wiadomości z kraju. Jakaż to wielka radość móc głośno, otwarcie, wobec Polaków zebranych jawnie, mówić prawdę o Polsce i o Niemcach! Z boku, w pierwszym rzędzie siadał zawsze starszy pan z dużymi wąsami, okryty płaszczem żołnierskim; niegdyś minister Rzeczypospolitej. Ukrywał twarz w dłoniach, aby po chwili wyjąć chustkę i otrzeć zwilgotniałe powieki. W samym rogu siadała jakaś pani w dużym brązowym kapeluszu; ta wpatrywała się we mnie jak zahypnotyzowana, nie czując pewnie łez, które jej spływały po twarzy.

Drugiego dnia pobytu w Lizbonie, złożyłem wizytę posłowi Rzeczypospolitej. Poselstwo R.P. mieści się w starym domu na Rua dos Amoreiras. Gdy zobaczyłem po raz pierwszy od tak dawna orła polskiego na ścianie budynku, łzy zakręciły mi się w oczach. Niedawno widziałem, jak żołnierze niemieccy zdejmowali ostatniego w Warszawie orła na gmachu Komendy Miasta na placu Piłsudskiego. . . .

Rozmowa trwała długo, ale nagle została przerwana.

— Pan chce jechać do Londynu? — dziwił się poseł. — Po co? Czy pan się łudzi, że otrzyma pan tam jakąś posadę? Przecież wszystkie są już od dawna pozajmowane. . . .

Przymrużyłem oczy. Zakipiał we mnie gniew. Poseł podszedł z papierosami. Odmówiłem, ale nie rzuciłem się na niego z pięściami. Trzasnąłem drzwiami i poszedłem, głęboko przygnębiony, do swego pensjonatu. Straszni są ci starzy ludzie, ci starzy urzędnicy! „Pozajmowane posady", to znaczy: z Polski wyjechałem za późno o dwa i pół roku. . . .

Lizbona jest chyba jednym z najmilszych miast na świecie. Miasto nowe i wspaniałe. Miasto białych, nowoczesnych domów, palm, słońca, bogactwa i beztroskiego życia. Bardzo długa i bardzo szeroka Avenida da Liberdade, wysadzana dwu rzędami palmowych drzew, jest podobno najokazalszą ulicą na świecie. Piękno Lizbony tkwi przede wszystkim w jej malowniczym, górzystym położeniu. Przez środek miasta przechodzi równo tylko jedna, centralna aleja. Setki ulic, uliczek i zaułków pną się do góry. W samym sercu miasta, z jednej ulicy na drugą

wjeżdża się windą. Przez niektóre, bardzo strome ulice wloką się tramwaje o specjalnych podwoziach. Nowa Lizbona, zbudowana po trzęsieniu ziemi, które zupełnie niemal zburzyło miasto, liczy sobie zaledwie kilkadziesiąt lat. Jest to okres zbyt krótki, aby miasto było doskonałe pod każdym względem. Dlatego z wyrozumiałością trzeba patrzeć na pomniki lizbońskie, które są brzydkie i które zresztą nie podobają się samym Portugałom.

Tylko trzy godziny drogi powietrznej dzielą stolicę malutkiej Portugalii od stolicy wielkiej Hiszpanii. Jakaż jest olbrzymia różnica w życiu tych dwu krajów. Portugalia jest naprawdę daleko od wojny i jeżeli odczuwa wojnę to tylko w sensie dodatnim. Wojna bogaci ją. W Lizbonie niemal w oczach rosną imponujące gmachy, powstają całe dzielnice. Jednakowo są zapracowani urzędnicy banków na Rua Aurea, jak kelnerzy wielkich lokali rozrywkowych na Praca Rossio, czy w alei Liberdade.

Mimowoli powstawała zazdrosna myśl: a tymczasem Warszawa. . . . Całymi godzinami siedziałem wśród palm w słońcu wiosennym, patrzyłem na srebrne kaskady wody, lejące się z niewyczerpanych kamiennych dzbanów. Myślami błądziłem w Warszawie. Opierałem się o barierkę brzuchatego mostku, przeglądałem się w kryształowoczystej wodzie, obserwowałem harce złotych ryb.

Lizbona i Warszawa. Tu — kwitnące miasto, praca, wesołe życie, tam — ruiny, niewola, smutna wegetacja. Tu — słoneczna rozśpiewana aleja da Liberdade, tam — ponure lochy alei Szucha.

Rozmyślałem o kraju, o swoich bliskich i drogich, którzy pozostali tam, gdzie Niemcy rządzą a śmierć panuje.

Życie w Polsce okupowanej, niewola niemiecka, cały koszmar tragedii polskiej — to wszystko co w dalekim kraju wydawało się już nieomal normalne, naturalne, dopiero tutaj, w perspektywie czasu i przestrzeni zaczęło się rysować we właściwych kształtach i kolorach. Dopiero tutaj, gdy zacząłem oddychać powietrzem wolności, gdy poprostu nieswojo zacząłem się czuć w atmosferze bezpieczeństwa osobistego, mogłem spojrzeć na całość obecnego życia polskiego, a z podsumowania poszczególnych jego fragmentów, z połączenia poszczególnych wydarzeń, mogłem pokusić się o wyciąganie stwierdzeń zasadniczych.

A więc okupacja niemiecka trwa już trzeci rok. W ciągu tego czasu Niemcy wymordowali — jak obliczyły organizacje podziemne — ponad milion Polaków. Niektóre pisma ilość tę oceniają na półtora miliona. Rosjanie wymordowali mniej niż Niemcy, ale zato wywieźli wgłąb Rosji, przeważnie na Sybir, ponad milion Polaków, z których znaczna większość zginęła z głodu i mrozów. Konto niemieckie nie jest jednak pełne. Oto

bowiem w obozach koncentracyjnych (których istnieje około siedemdziesięciu) i w więzieniach przebywa ponad milion Polaków, którzy szybko wymierają, ustępując miejsca innym. W Rzeszy, przy najcięższych robotach przymusowych wyczerpujących ostatecznie siły fizyczne, przebywa ponad półtora miliona Polaków. W obozach jeńców, w szeregach armii niemieckiej, do których wcielano ich gwałtem, znajduje się około 700 tysięcy Polaków. Zatym już teraz ilość Polaków, o jaką zmniejszyła się ludność w Polsce, przekroczyła pięć milionów. Na państwo trzydziesto-pięciomilionowe, w którym Polaków było 27 milionów, jest to pozycja ogromna, przerażająca. Tym bardziej ogromna, tym bardziej przerażająca, że ofiary zbrodni niemieckich to przecież przede wszystkim inteligencja i młodzież.

Okupacja niemiecka przyniosła Polsce tylko spustoszenia i tylko śmierć. Śmiertelność podnosi się z miesiąca na miesiąc, w miarę ubożenia ludności i szerzenia się epidemii. Przed wojną przeciętna urodzeń w Polsce była jedną z najwyższych na świecie — dziś bijemy inny rekord: przeciętną zgonów. W Warszawie w ciągu pierwszych dwu lat okupacji zmarło 32 procent dzieci do lat pięciu, jakie zastała wojna wrześniowa. Maszyna niemiecka, zgładzająca naród polski, pracuje coraz szybciej. Obroty kół tej maszyny zwiększają swą szybkość z godziny na godzinę. Jeśli naród polski miałby przechodzić przez tryby młyna okupacyjnego czas dłuższy, powiedzmy dziesięć lat — zostaniemy zgładzeni całkowicie. Czekają nas tylko cmentarze. Może ocalałoby kilka milionów chłopów i robotników — i to tylko tych, których przepuści sito selekcji niemieckiej. Zginęłyby nie tylko świadectwa i ślady naszej dziesięciowiekowej kultury. Zginęlibyśmy jako naród. I nie miejmy złudzeń, że mogłoby stać się inaczej. Może nie zupełnie zdajemy sobie z tego sprawę, nie rozumiemy tego. Ale napewno wyczuwamy instynktem grożące nam niebezpieczeństwo — największe na przestrzeni naszych dziejów. Dlatego *cały* naród polski jest w walce. W nierównej walce, może beznadziejnej nawet. Postawa kraju wobec wroga napewno nie wynika z naszych frazeologicznych tradycyj rycerskich, albo zaprawy konspiracyjnej, której znakomitymi nauczycielami byli organizatorzy powstań narodowych, a później przewódcy ruchu socjalistycznego. Ale wynika właśnie z instynktu samozachowawczego. W polskim ruchu podziemnym biorą udział nawet dzieci — i płacą za to szczodrze swoją krwią. Polska stała się wulkanem, w którego wnętrzu wrze lawa rewolucyjna. Kratery tego wulkanu otworzą się jeśli zawiodą wszystkie nasze rachuby, jeśli naród stwierdzi, że jest zupełnie *sam*. W takim tragicznym wypadku nastąpiłaby ostateczna, śmiertelna rozprawa z wrogiem, rozprawa całego narodu. Walka podziemna, tocząca się obecnie, ma na celu tylko systematyczne osłabianie nieprzyjaciela i

przygotowanie społeczeństwa do powstania we właściwej chwili.

Zdrowy instynkt narodu zjednoczył nas w chwili wybuchu wojny. Gdy zaś przyszła ponura noc okupacyjna, idea wolności narodu i niepodległości państwa scementowała społeczeństwo w jedną bryłę, twardą jak granit. Dawne, przedwojenne przekonania polityczne i partyjne, różnice klasowe, wyznaniowe — stopiły się w tej jednej jedynej bryle granitowej, której nazwa NARÓD POLSKI zastąpiła wszystkie dawne szyldy, odznaki, kolory i programy.

Duch walki przenika wszystkich Polaków — nie tylko w kraju.

Nie awantura, nie przygoda, ani ambicja pcha Polaków w szeregi wojskowe, gdziekolwiek one powstają. To właśnie instynkt nakazuje walczyć o śmiertelnie zagrożony byt narodu. Kiedyś, gdy doczekamy szczęśliwej przyszłości, poeci i pisarze będą tworzyli epopeje o żołnierzu polskim, który różnymi szlakami wędrował do wygnańczych armii polskich.

W Lizbonie poznałem chłopca dwudziestoletniego, który idzie do wojska. Ale jak i od kiedy *idzie*! Jako ochotnik walczył we wrześniu, potem walczył we Francji. Potem dostał się do niewoli niemieckiej. Uciekł. Przeszedł pieszo Niemcy, Francję. Po drodze żebrał. Potem, sam jeden, bez przewodnika, przeszedł Pireneje. Nad jakąś przełęczą spotkał tylko jednego człowieka, zresztą też żołnierza polskiego, który spał snem wiecznym. (W kieszeni miał tylko jeden przedmiot: fotografię młodej dziewczyny, podpisaną po polsku „najdroższemu". . . .) W Hiszpanii wpadł w ręce policji. Dostał się do więzienia, potem do obozu w Mirandzie. Znów uciekł. I właśnie dotarł do Lizbony.

— Chcę iść do lotnictwa — powiedział do mnie. — I pierwszy mój lot chciałbym odbyć na Berlin. . . . Bo we wrześniu w Warszawie bomba zabiła moją matkę. . . .

Takich mścicieli polskich, którzy mimo wszelkich trudności i niebezpieczeństw przemierzeją tysiące kilometrów aby dostać się do polskich sił zbrojnych i aby walczyć z wrogiem, jest bardzo wielu. Idą przez dziesiątki granic, forsują wpław rzeki, przeprawiają się przez najwyższe góry, przechodzą przez więzienia, obozy i idą jak ćmy do światła — do wojska polskiego. Cóż za czarodziejską siłę magnetyczną ma to wojsko! Jakże gorący ogień patriotyzmu płonie w sercach Polaków!

Przyszli poeci i pisarze będą pewnie również pisali o Polakutułaczu, który, wypędzony z domu rodzinnego, szukał po całym świecie przytuliska. Ewakuacja wrześniowa ciągle jeszcze trwa. Ci sami ludzie, którzy we wrześniu 1939 zapełniali tłumnie wszystkie drogi i dróżki polskie, uciekając przez wrogiem, — wciąż jeszcze idą, wciąż szukają przystani.

Lizbona jest jednym z etapów w drodze Polaków. Statki pod różnymi banderami odchodzą stąd w różne strony świata. Nie ma statku, którym nie odpływaliby Polacy. Język polski rozbrzmiewa niekiedy w tym porcie głośniej, niż jakikolwiek inny, nawet portugalski. Ile razy żegnałem odchodzący statek, ulegałem dziwnemu wrażeniu. Oto Polacy wyjeżdżają w dalekie strony świata. Ale jadą tak, jakby wkrótce mieli powrócić. Żegnają się z pozostałymi w porcie bez żadnych wzruszeń. Dowidzenia. Pisz, jak będziesz miał czas. Jadą w świat, jadą jako uchodźcy, wygnańcy z kraju ojczystego, ale nie jako emigranci. Nigdy nie słyszałem tego słowa w porcie. Każdy wie, że wyjeżdża *tymczasowo*.

Dom runął. Jedni pozostali w płonących zgliszczach, inni rozbiegli się na wszystkie strony. Czy ci włóczędzy powrócą kiedyś, gdy dom polski odbudowany zostanie na nowo?

Mój wyjazd z Polski doszedł do skutku w niesamowitych warunkach. Gdy dziś, w Londynie, zastanawiam się nad tą mnogością przypadków i paradoksów, którymi usłana była droga ucieczki na wolność, rzeczywiście muszę uwierzyć w istnienie szczęścia, jakiegoś wielkiego, nieludzkiego szczęścia.

To szczęście sprzyjało mi do ostatnich chwil mego pobytu w Berlinie. Wszystko waliło się dopiero za mną.

Pewnego dnia w Lizbonie otrzymałem list polecony z konsulatu Lądu Wielkiej Nadziei w Berlinie. Pan Navarro da Correta pisał mi:

„W dwa dni po Pana odlocie z Berlina, zgłosili się do mnie funkcjonarjusze policji. Przedstawili mi dowody, z których wynikało, że dokumenty Lądu Wielkiej Nadziei otrzymał Pan nieprawnie, gdyż jest Pan obywatelem polskim, a Pańskie prawdziwe nazwisko jest zupełnie inne. Po skonfrontowaniu fotografii Pana, będącej w konsulacie, z fotografią, znajdującą się w posiadaniu Gestapo, jest dla mnie rzeczą jasną, że chodzi o Pana. Aczkolwiek rozumiałbym całkowicie Pański postępek, to jednak nie mogę nawet przypuścić, że wprowadził nas Pan w błąd. Dlatego będę Panu wdzięczny jeśli przyśle mi Pan w tej sprawie wyjaśnienie“.

Na list konsula odpowiedziałem natychmiast.

„Jestem do głębi oburzony Pańskim listem. Jakże mógł Pan mnie posądzić, że wprowadziłem w błąd Konsulat? To nazwisko, które rzekomo ma być moim *prawdziwym* nazwiskiem, było w istocie rzeczy fałszywe. A moje autentyczne nazwisko jest tylko jedno: Svatopelko Venceslao Molenda. Zresztą, o szczegółach tej sprawy chętnie porozmawiam z Panem po zakończeniu wojny“.

Miałem wielką ochotę napisać konsulowi całą prawdę. Posta-

nowiłem jednak grać wobec niego w dalszym ciągu swoją rolę.

Jeszcze w Berlinie przyrzekłem był sobie, że władzom „mojej“ Republiki podziękuję za wszystko i zdradzę tajemnicę mego „obywatelstwa“ dopiero wtedy, gdy wyląduję na wolnej ziemi.

Wreszcie przyszło rozstanie z Lizboną. Nie chciałem wyczekiwać tygodniami, a może miesiącami, na miejsce w samolocie. Więc wybraliśmy podróż statkiem. Nocą, przy blasku księżyca, z maleńkiego cichego portu na południu Portugalii odpłynął czterotonowy kargowiec belgijski „René Paul“. Było na nim kilkudziesięciu Polaków, którzy po różnych trudach, po krótkim odpoczynku w słonecznej Portugalii zdążali do swej „stacji docelowej“. Piękny, szczęśliwy kraj żegnali polskimi piosenkami, których melodia rozpływała się wśród białych domków i palm śpiącego miasteczka portowego. Spaliśmy w ubraniach i pasach ratunkowych. Na pokładzie, przy karabinach maszynowych czuwali na zmianę — Polacy, Francuzi i Belgowie. Następnego wieczora, gdy słońce czerwieniło się krwawo na niebie, a cienie skał brzegu afrykańskiego pokładły się na morzu, dobijaliśmy do Gibraltaru. Wsród niezliczonej ilości statków stojących w zatoce gibraltarskiej, na dwu powiewały dumnie bandery polskie. Były to nasze statki pasażerskie: „Sobieski“ i „Batory“.

Rozpoznali je belgijscy marynarze z „René Paul“, którzy mówili wśród Polaków:

— Wasze „pasażery“. . . .

Z rąk do rąk przechodziły lornetki. Polaków roznosiła duma. Rozradowanymi oczami wpatrywali się w biało-czerwone bandery.

— Czy ten drugi, z lewej strony, to napewno „Batory“? — pytali Belgów. — Niemcy już dawno ogłosili, że „Batory“ został storpedowany. . . .

„René Paul“ zbliżał się powoli do portu. Wszyscy Polacy ustawili się na pokładzie kargowca, twarzami zwróceni do Gibraltaru i zaśpiewali głośno, tak głośno, aby usłyszano na tych obu polskich statkach:

— Hej kto Polak, na bagnety! . . .

Ulokowaliśmy się na „Sobieskim“ i przez wiele dni i nocy staliśmy w Gibraltarze, w oczekiwaniu na konwój. Aż wreszcie pewnego rana obudziło mnie zimno i silne kołysanie statku. Byliśmy już wiele mil od Gibraltaru. Z daleka, z bardzo daleka, widać było jeszcze ciemne zarysy lądu. Obok nas leciało kilka mew. Przed nami płynął biały kontrtorpedowiec, kołysząc się silnie. Od czasu do czasu porozumiewał się z „Sobieskim“ świetlnymi znakami Morse‘a.

Ocean! Byliśmy już setki mil od Gibraltaru, a wciąż wydawało mi się, że gdy spojrzę z pokładu — z prawej strony zobaczę

Gibraltar pod czarną, garbatą górą, z kwadratowymi blokami żółtych domów, na lewo górzysty brzeg Hiszpanii, a jeszcze bardziej na lewo — ciemne piramidy Afryki.

Pewnego dnia zauważyliśmy mewę, lecącą obok statku. Dawno już mewy przestały nas konwojować — dlatego nikt nie potrafił wytłumaczyć skąd wzięła się ta jedna na pełnym oceanie. Widzieliśmy ją po południu, potem o zmierzchu. Gdy rano znów wyszedłem na pokład — mewa ciągle leciała. W Gibraltarze przyzwyczailiśmy sie do mew leniwych i wygodnych Dlatego ta tem bardziej dziwiła wszystkich. Zniknęła nam z oczu dopiero po dwu dniach.

Ocean w ciągu całej naszej podróży był cichy, spokojny, można powiedzieć — dostojny. Marynarze „Sobieskiego" wspominali inne podróże, tym samym szlakiem. Podczas sztormów, fale sięgają kilkunastu metrów wysokości. Statek jest wtedy ak łupina, rzucana z jednej góry na drugą, przewracana na boki, zatapiana to dziobem, to rufą — jest zabawką zuchwałych, złośliwych i potężnych fal. Nam sprzyjało szczęście. Morze było bardzo spokojne, bardzo łaskawe. Odnosiło się wrażenie, że było leniwe i znudzone. Statek kołysał się, ale tak tylko, żebyśmy nie zapomnieli, że płyniemy przez Ocean.

Opłynęliśmy od zachodu i północy brzegi irlandzkie i — po dziewięciu dniach drogi — zatrzymaliśmy się na redzie portu szkockiego.

Teraz, w londyńskiej „Patriotic School" rozmawia ze mną oficer brytyjski z lwowskim akcentem. Ma on już ustalony zwyczaj: zwykle, gdy wchodzę do jego pokoju, podaje mi papierosa i mówi:

— Więc jedziemy dalej. . . .

Koniec

SPIS RZECZY

SKŁADNICA KSIĘGARSKA

Firma Wydawnicza i Hurtownia Książek
8 Hope Street Edinburgh Tel. 26573

Wydawnictwa własne:

A. Mickiewicz — *Poezje T. I.*	6/6
J. Słowacki — *Anhelli i Ojciec Zadżumionych*	wyczerpane
J. Słowacki — *Kordian*	wyczerpane
Z. Krasiński — *Irydion*	6/-
Z. Krasiński — *Przedświt*	4/-
B. Prus — *Lalka.* 2 tomy	wyczerpane
M. Konopnicka — *O Krasnoludkach i Sierotce Marysi*	12/6
Por. Herbert — *Żądło Genowefy*, op. lotn.	wyczerpane
H. Zakrzewska — *Pojednanie*	wyczerpane
H. Terlecka — *Stepem i Oceanem, poezje z zesłania*	3/6
W. Skalski — *Zasady Inwentaryzacji i Bilansowania*	7/6
Platon — *Eutyfron*	2/-
— *The Bridgehead of East Prussia*	3/6
„Dux" — *Słownik polsko-ang. i ang.-polski z wymowa*	9/6
M. Chmielowska — *Przygody Kaczuszki*	4/-
J. Stojek harm. Hausman — *Marsz Czarnej Brygady*	1/-6
A. Laskowska — *Kalendarzyk Polaka w W.B.na rok 1944*	wyczerpane
Por. Herbert — *Żądło Genowefy*, w jęz. ang.	w druku
J. Meissner — *Szkoła Orląt*	w druku
J. Pomian — *Z Ziemi Polskiej do Szkockiej*	w druku
B. Pomian — *Ku Najjaśniejszej z Gwiazd*	w druku
W. Solski — *Pociąg odchodzi o północy*	w druku

Przedstawicielstwa:

Eckersley — *Essential English*, B.I, II, III	po	3/6
Eckersley — *Essential English*, B.IV		5/-
Eckersley — *Concise Grammar*		2/9
Worall — *English Idioms*		2/6
Kelly — *An Advanced English Course*		6/-
Fitikides — *Common Mistakes*		2/-
Judd — *Exercise in English*		3/-
B. Wysocka — *Polish Reader*		6/-
Horrabin — *Atlas Historyczny*, 8 tomów	po	3/6

Podręczniki szkolne oraz duży wybór książek polskich i angielskich